

**Tracy Hickman**

**StarCraft:**

**Nim nadejdzie ciemność**

**StarCraft: Speed of Darkness**

**Przełożyła: Izabela Matuszewska**



**Wydanie oryginalne: 2002**

Wydanie polskie: 2004

*Od wydawcy polskiego:  
Pragniemy podziękować panu Szymonowi Sokołowi za bezinteresowną pomoc,  
jakiej udzielił przy wydaniu tej książki.*

Wspaniałym mężczyznom i kobietom  
z *U.S.S. Carl Vinson (CVN-70)*.  
Niech Bóg idzie z wami, kiedy przemierzacie plażę  
i wynagrodzi was spokojnym morzem  
w drodze powrotnej do domu.  
*Vis per mare.*

# Rozdział 1

## Upadek

Złociste...

Tak nazywał owe rzadkie, doskonałe dni, które rozgrzewają duszę złotym blaskiem radości. Złocisty dzień przepelnia spokój.

Niektóre dni były szare, ciężkie od ołowianych chmur i deszczu, przecinane jaskrawymi błyskami płonącej bieli i hukami grzmotów. Inne wibrowały zimnym błękitem nad kopułami i dachami inkrustowanymi mrozem. Były nawet czerwone dni – wieczorne niebo odmalowywały wtedy pyłem wiosenne wiatry, zanim ziemię skuły zielone uprawy. Niektóre dni wydłużały się aż do późnej nocy i okrywały niebo aksamitnym, kobaltowym kocem.

Lubił te jesienne wieczory, kiedy mógł porzucić swój świat i wpatrywać się w bujną ciemność. Wyobrażał sobie, że Bóg poprzekłował kopułę nocy, aby przeświecało przez nią jego światło. Kiedy był dzieckiem, przyglądał się uważnie gwiazdom w nadziei, że uda mu się zajrzeć na drugą stronę i choć przez mgnienie oka uchwycić obraz stwórcy. Do dziś miał zwyczaj patrzeć w niebo, chociaż skończył dziewiętnaście lat i uważał, że jest zbyt dojrzały na takie rzeczy.

Każdy dzień widział w innych kolorach, każdego doświadczał we wszystkich odcieniach, każdy też pozostawiał ślad w jego pamięci i sercu. Żaden dzień jednak nie mógł się równać ze złocistym. To był kolor łanów pszenicy falujących na łagodnych wzgórzach wokół ojcowskiego gospodarstwa. Złociste było ciepło słońca na twarzy. Złocisty był blask, który wypełniał duszę.

Złocisty był kolor jej włosów i dźwięk głosu.

– Ardo, znowu marzysz – szepnęła wesoło. – Wracaj do mnie. Jesteś za daleko.

Otworzył oczy. Była złocista.

– Jestem tutaj, Melani – uśmiechnął się.

– Nieprawda. – Wyduła wargi. To była niezawodna broń, kiedy chciała postawić na swoim. – Znowu poszedłeś marzyć i zostawiłeś mnie samą.

Przewrócił się na bok i podparł głowę ręką, żeby lepiej widzieć Melani. Była tylko rok młodsza. Ardo miał dziewięć lat, kiedy jej rodzina przyleciała w kolejnym transporcie uchodźców religijnych, którzy spadli z nieba, aby dołączyć do innych świętych w Helaman.

Zjeżdżali się tu ze wszystkich niemal planet Konfederacji. Gwiazdni pionierzy mimo woli. Wśród pierwszych wyjętych spod prawa przez Ligę Zjednoczonych Potęg na Ziemi w trzydziestym pierwszym znalazły się grupy najgorliwszych wyznawców. To była stara śpiewka dla męczenników i świętych. W ciągu całej historii ludzkości ci, którzy nie rozumieli ludzi wierzących, przepędzali ich z miejsca na miejsce, z jednego domu do drugiego. Zostaną przewiezieni na inną planetę, do innego układu – to zaczynało brzmieć jak bolesna powtórka na lekcjach dziedzictwa. Tym razem zapakowano wygnańców do pechowych transportów projektu ATLAS. Po katastrofie przedsięwzięcia ci, którzy przeżyli, zaczęli rozpaczliwie szukać swych braci i sióstr. Kiedy wreszcie przywrócono połączenia między światami, patriarchowie wybrali na swój dom planetę zwaną Bountiful. Wkrótce potem na kosmodromie Zarahemla zaczęły lądować orbitalne transportowce. Nowo przybyłe rodziny rozjeżdżały się do odległych osad. Arthur i Keti Bradlawowie z córką byli jedną z pięciu rodzin, które przyleciały tego dnia. Ardo towarzyszył ojcu, kiedy wraz z innymi mieszkańcami wyszedł powitać przybyszów i pomóc im w osiedleniu się w Helaman.

Niewiele zostało mu w pamięci po tamtej Melani. Miał przed oczami mglisty obraz patykowatego dziewczątka, niezdarnego, onieśmiałego i samotnego. Po raz pierwszy zwrócił na nią bacniejszą uwagę, kiedy w czternastym roku życia „patykowate dziewczątko” przeobraziło się nie do poznania i wybuchło nagle w jego świadomości niczym motyl wyłaniający się z poczwarki. Rysy Melani cechowało naturalne piękno (patriarchowie krzywo patrzyli na makijaż i malowanie ciała). Ardo był wielkim szczęściarzem, że pierwszy zaczął się z nią spotykać.

Duszą i sercem zatracił się w jej przejrzystych niebieskich oczach.

Aureola długich błyszczących włosów igrała łagodnie z ciepłym wietrzykiem i unosiła się nad polami pszenicy. Wiatr niósł dalekie buczenie młyna i delikatny zapach pieczonego chleba.

Złocisty.

– Może i chodzę marzyć, ale nigdy nie zostawiam cię samej – powiedział Ardo z uśmiechem. Pszenica szeleściła wokół koca, na którym leżeli. – Powiedz mi, dokąd chcesz iść, a zabiorę cię ze sobą.

– Właśnie teraz? – Jej śmiech był jak słoneczny blask. – W twoje marzenia?

– Jasne! – Ardo podniósł się na kolana. – Dokąd tylko zechcesz, między gwiazdy.

– Nie mogę nigdzie iść – uśmiechnęła się. – Mam po południu sprawdzian z hydroponiki u siostry Johnson. Poza tym – dodała, poważniejąc – czemu w ogóle miałabym gdzieś chodzić? Wszystko, czego chcę, jest tutaj.

Złocisty. Kto by mógł odejść w taki złocisty dzień?

– W takim razie nigdzie nie idźmy – powiedział z zapalem. – Zostańmy tutaj i... pobierzmy się.

– Pobrać się? – zapytała zmieszana, ale przyglądała mu się badawczo. – Mówiłam ci, że mam dzisiaj sprawdzian z hydroponiki.

– Mówię poważnie. – Ardo przymierzał się do tego od dłuższego czasu. – Skończyłem szkołę, na agradziałkach taty sprawy idą całkiem dobrze. Zamierza przekazać mi dwadzieścia hektarów na samym końcu pól. To najwspanialsze miejsce, jakie można sobie wymarzyć, prawie na samym dnie kanionu. Nad rzeką jest tam taki zakątek, gdzie... gdzie... Melani?

Ale dziewczyna o złocistych włosach przestała go słuchać. Usiadła, zmrużyła niebieskie oczy i patrzyła w stronę miasta.

– Ardo, syrena!

Wtedy i on usłyszał. Dalekie zawrodozenie to się wznosiło, to opadało nad polami. Potrząsnął głową.

– Zawsze ją włączają w południe.

– Ale to nie jest południe, Ardo.

W tej samej chwili zaszło słońce. Ardo porwał się na równe nogi i spojrzał na pociemniałe niebo. Na widok wydłużającego się cienia płynącego po żółtych polach pszenicy oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

Od zachodniego krańca szerokiej doliny zbliżały się ku nim ryczące ogniste kule, a za nimi pełzły ogromne pióropusze dymu. Schylił się i poderwał Melani na nogi. Myślał gorączkowo. Muszą biec, znaleźć schronienie... Ale gdzie? Melani krzyknęła. Ardo uzmysłowił sobie, że nie mają dokąd uciec, że nie ma w pobliżu bezpiecznego miejsca, gdzie by się mogli ukryć.

Skulili ramiona, bo zdawało się, że kule ognia są tuż-tuż. Płomienie przesłoniły niebo. Niebawem wściekły ryk ognia ogłuszył wycie syreny ostrzegawczej. Mrok zasnuł całą dolinę. Na niebie pozostało pięć gigantycznych smug dymu, długie palce wyciągały się nad głowami Arda i Melani i sięgały w stronę zabudowań Helaman. Nagle kule zawirowały, wzniosły się nad miastem i spadły niszczącą furią płomieni na pola Segarda Yohansena, półtora kilometra za centrum osady.

Ardo zadrżał, może ze strachu, a może z emocji – w każdym razie zbudził się z odrętwienia. Złapał Melani za rękę i pociągnął.

– Chodź! Musimy zdążyć do miasta, zanim zamkną bramy! Szybko!

Melani nie trzeba było więcej ponaglać.

Ruszyli pędem.

\* \* \*

Nie pamiętał, jak się dostali do miasta.

Złocisty dzień zamienił się w brudnobrązowy i szarzał od dymu zasnuwającego niebo.

Był to przytłaczający kolor – siny i zimny. Zdawał się zupełnie nie na miejscu.

– Musimy znaleźć mojego wujka Arta – Ardo usłyszał swoje własne słowa. – Ma sklep na terenie warowni. Chodź! Szybko!

Z trudem przeciskali się przez centrum, które wypełniało się uciekinierami z innych rejonów miasta. Kiedyś Helaman było tylko wysuniętą placówką obronną na niezamieszkanym terenie Bountiful. W samym środku stał obwarowany fort. Od tamtej pory jednak osada rozrosła się daleko poza obręb tej pierwotnej warowni. W obecnych czasach ponad dziesięć tysięcy ludzi uznawało Helaman za swój dom. I teraz właśnie wszyscy oni cisnęli się na teren fortecy, szukając schronienia za obronnymi murami.

Po drugiej stronie potwornie zatłoczonego placu widać było szyld „Art Metalowe”.

Nagle od strony muru rozległ się terkot broni maszynowej. Potem powietrze rozdarł huk dwóch potężnych eksplozji, a następnie znów serie z karabinów.

Tłum na placu zawrzał. Ardo wyczuwał strach stłoczonych ludzi. Zewsząd dobiegały wołania, jedne przeraźliwe, inne uspokajające. Z góry spłynęła gęsta zasłona dymu.

– Ardo, proszę! – powiedziała Melani. – Ja... Gdzie pójdziemy? Co zrobimy?

Rozejrzał się dookoła. Czuł w ustach smak paniki, która wisiała w powietrzu.

– Musimy się przedostać na drugą stronę placu. – Zakasłał. – Robiliśmy to przecież setki razy – dodał, widząc wyraz oczu Melani.

– Ale, Ardo...

– Odległość jest ta sama, tylko trochę więcej ludzi, to wszystko.

Popatrzył w te piękne błękitne oczy, w których wzbierały łzy. Ścisnął ją mocno za rękę.

– Nie martw się. Jestem przy tobie.

Byli mniej więcej w połowie drogi, kiedy rozpętało się piekło.

Za murami wybuchła ściana płomieni. Szkarłatny blask rozświetlił kłęby dymu wiszące złowieszczo nad miastem. Krwawoczerwona luna zelektryzowała przerażony tłum. Krzyki, wołania i piski zbiły się w jedną kakofonię dźwięków. Z przeraźliwego jazgotu Ardo wyłowił kilka zrozumiałych zdań.

– Gdzie są wojska Konfederacji? Gdzie są marines?

– Nie kłóć się ze mną! Zabieraj dzieci! Trzymajcie się razem!

– To nie mogą być Zergi! Niemożliwe, żeby wdarły się tak głęboko na terytorium Konfederacji...

Zergi? Ardo słyszał pogłoski o tych stworach, ale uważał je za bajki dla niegrzecznych dzieci i wyrotowców, których Konfederacja starała się trzymać z dala od zewnętrznych kolonii. Nie pamiętał nawet wszystkich opowieści, które szeptano sobie trwożnie na ucho. Tymczasem te koszmarnie bajki najwyraźniej stanęły właśnie przed nimi w jak najbardziej realnej postaci.

W rozmyślania Arda wdarł się inny głos.

– Ardo, boję się. – Rozszerzone oczy Melani zaszyły mgłą. – Co to jest? Co się dzieje?

Nie potrafił jej odpowiedzieć. Otworzył usta, ale nie wyszło z nich ani jedno słowo. Tyle rzeczy chciał jej w tej chwili powiedzieć. Tyle rzeczy... których nie powiedział i żałował tego przez wszystkie następne lata. Nie wydobył z siebie ani jednego słowa.

Zabłysło światło. Ardo poczuł na plecach gorąco. Odwrócił się i zasłonił sobą Melani. Fragment wschodniego muru runął na ziemię. Stary parapet, pociągnięty z zewnątrz w dół, na oczach ludzi zamienił się w kupę gruzu. Wyglądało to tak, jakby przez wyrwę w obwarowaniu napłynęła wielka, ciemna fala. Po chwili Ardo zaczął w tej zamazanej masie rozróżniać szczegóły: połyskująca czerwono-fioletowa skorupa, zakrwawione ogromne szpony rozpruwające bezwładne ludzkie ciało, wygięte wężowate cielska pełzające po strzaskanych kamieniach muru.

To przechodziło ludzkie wyobrażenia... Prawdziwy koszmar spadł na Bountiful.

Zbity tłum zgromadzony na placu ryknął z przerażenia i rzucił się do ucieczki, byle dalej od wyrwy w murze. Nie było jednak dokąd uciekać, bo z przeciwnej strony fale zergańskich hydalisków też przelewały się nad szczytem muru i spadały na ulice jak czarne krople odrażającej mazi. Chwilę później stwory rozczapierzyły ostre szpony i na podobieństwo kobry rozpostarły szerokie kaptury. Wyprężyły się w górę ostre ogony i z karbowanych skórnych kieszeni w ramionach potworów wystrzeliły w stronę tłumu śmiertelne kolce.

Ci, którzy od zachodu stanęli twarzą w twarz z przerażającymi hydaliskami, rzucili się gwałtownie wstecz i zderzyli z falą uciekającą z przeciwnej strony.

Ardo usłyszał za plecami zduszony jęk Melani.

– Nie mogę... nie mogę oddychać...

Tłum napierał na nich z obu stron. Ardo rozglądał się rozpaczliwie za drogą ucieczki. Nagle kątem oka dostrzegł w górze jakiś ruch. Nad murem przelatywał pękaty, bulwiasty kształt, coś, co przypominało mózg odarty z kości i ciała, z którego zwisały, niczym trzewia, nitkowate drgające odnóża. Stwór kierował się w stronę środka placu.

Ardo słyszał opowieści, że Zergi chwytają kolonistów i porywają ze sobą. Los tych ludzi musiał być gorszy od śmierci.

Łzy napłynęły mu do oczu. Nie było dokąd uciekać. Nie mógł zrobić absolutnie nic.

Nagle zwierzchnik szybujący nad tłumem zadrżał i zatoczył się w powietrzu. Bok potwora rozerwało kilka eksplozji, a zaraz potem Zerg wybuchnął jedną wielką kulą ognia. Hydaliski, które wpadały właśnie na teren warowni, zatrzymały się niepewnie.

Kłęby dymu wiszącego nad miastem rozdarł klin pięciu konfederacyjnych wraithów. Ryk silników prawie całkowicie zagłuszał krzyki przerażonego tłumu. Dwudziestopięciomilimetrowe lasery myśliwców wystrzeliły rytmicznymi seriami. Piloci zatoczyli łuk i skierowali pulsujące błyskawice na Zergi przedzierające się przez skruszony mur.

Nagle jeden z wraithów złamał szyk i chwilę później eksplodował pod gradem strzał miotanych z ziemi przez rozwścieczone hydaliski.



Zergi, które wdarły się na plac warowni, nacierały bezlitośnie na tłum. Jednych zabijały, innych, wyciągniętych najwyraźniej na chybił trafił, wlokły gdzieś za sobą. Zagoniły ofiary w ślepy zaułek i teraz zbierały krwawe żniwo, poczynając od brzegów stłoczonej ciżby i coraz głębiej w jej środek.

Tymczasem z nieba pociemniałego od dymu spadła na napastników druga eskadra wraithów, za nią zaś lotem nurkowym mknął w kierunku placu konfederacyjny desantowiec. Odrzut z silników spowodował na ziemi istny huragan. Drzewa zgięły się wpół. Przez ryk silników nie było słycać niczego. Ludzie wokół Arda potoczyli się na ziemię, zasłaniając się przed wściekłymi porywami powietrza.

Desantowiec zawisł nad placem i opuścił rampę transportową. Ardo zamrugał. Przez tumany kurzu zobaczył w środku niewyraźną sylwetkę żołnierza Konfederacji machającego ku nim ręką.

Zobaczyli to również wszyscy inni zgromadzeni na placu i w oszalałym pędzie rzucili się do rampy. Niepowstrzymany ludzki nurt porwał Arda ze sobą. Dłoń Melani wyśliznęła mu się z ręki.

– Melani! – wrzasnął.

Próbował walczyć z naporem oszalałego tłumu. Jego głos zginął w huku silników desantowca.

– Melani!

Wreszcie zobaczył ją daleko za sobą. Zergi nacierały teraz ze zdwojoną zaciekłością, rozjuszone faktem, że statek Konfederacji pozbawia je łupu. Ardo osłupiał, widząc, jak łatwo i szybko potwory wdzierają się w tłum i zostawiają po sobie krwawe pokłosie. Jeszcze chwila i dopadną Melani.

Młócił rękami na oślep, przepychał się pod prąd uciekających kolonistów. Wrzasnął ze wszystkich sił.

Trzy hydaliski złapały Melani jednocześnie i zaczęły ją ciągnąć na bok.

– Ardo, błagam! – łkała. – Nie zostawiaj mnie samej!

Bezmyślny tłum wepchnął go w głąb desantowca. Szpony zergańskich bestii zadzwoniły o kadłub statku. Pilot nie mógł już dłużej czekać. Statek zareagował natychmiast. Poderwał się w górę i umknął przed Zergami, uwożąc Arda od jego domu, jego całego dotychczasowego życia, jego miłości.

*Nie zostawiaj mnie samej!* Ostatnie słowa Melani dudniły Ardowi w głowie, w duszy, coraz głośniejsze i głośniejsze, jakby miały mu rozsadzić czaszkę.

Świat zabarwił się na czarno i pozostał taki na długo.

## Rozdział 2

# Mar Sara

– Dobra, wy tłuste połcie mięsa! Trzymajcie się za tyłki! To będzie długie spadanie.

Szeregowy Ardo Melnikov nawet nie spojrział na sierżanta wywrzaskującego komendy. Facet był tylko „czapą” – czasowo pełniącym obowiązki dowódcy – na czas tego lotu. Po wylądowaniu prawdopodobnie więcej go nie zobaczy. Lepiej po prostu nie wchodzić mu w drogę, dopóki nie ustalą składu nowego plutonu Arda na tę misję. Krzyki czapy ledwo się przebijały przez ryk silników desantowca i grzmot powietrza o kadłub opadającego statku. Sierżant miał w sobie coś takiego, co po prostu wykluczało inny sposób bycia niż to groźne spojrzenie i podniesiony głos. Nieważne, on ma ich tylko niańczyć, dopóki nie staną na ziemi. Tam będzie czekał ktoś, kto im obrzydzi życie jeszcze skuteczniej.

Ardo potrząsnął ramionami, żeby oderwać plecy od ściany samolotu. Wnętrze desantowca zawsze przypominało rozgrzaną metalową puszkę, ale nigdy tak bardzo, jak w czasie pikowania przez atmosferę. Temu zaś konkretnemu statkowi dużo brakowało nawet do przeciętnego standardu chłodzenia. Ardo czuł pod łopatkami rosnącą mokrą plamę. Skóra przyklejała mu się do sztucznego tworzywa na ścianach, po twarzy spływały krople potu i kapały na ubranie. Poprzeczka unieruchamiająca skutecznie krępowała wszelkie ruchy, które mogłyby przynieść ulgę od dokuczliwej wilgoci zbierającej się pod załamaniami munduru.

A jakby tego było mało, desantowiec załadowano po same brzegi, żołnierzy upakowano ramię przy ramieniu, wręga przy wrzędze. Jeszcze gorszy od gorąca był coraz silniejszy smród, z którym gazowe skrubery nie dawały sobie rady.

Nie było na czym oka zatrzymać, poza jednakowymi, obojętnymi twarzami pozostałych rekrutów siedzących naprzeciwko. Nie było czego słuchać, oprócz warczenia sierżanta i huku powietrza za plecami. Nie było co robić, poza czekaniem i pogrążaniem się we własnych myślach... a tego Ardo pragnął uniknąć za wszelką cenę.

Dreńczyły go myśli czyhające gdzieś na granicy świadomości. Czasem miał wrażenie, że nawiedzają go duchy ukryte w jego własnej głowie. Nie znikwały, kiedy zamykał oczy, nawet

w największym hałasie nie tonęły na długo. Były boleśnie wyraziste i piękne, a zarazem okropne i druzgocące. Czekały sobie cichutko i cierpliwie, przyczajone w jakimś zakamarku świadomości i tylko wyciężywszy wolę, potrafił je Ardo trzymać na wodzy. Niekiedy, w chwilach nadmiernej pewności siebie sądził, że ujarzmił te widma, że je wygnał ze swojego życia raz na zawsze, ale wtedy podmuch wiatru przynosił zapach dojrzewającej trawy lub zaoranej ziemi, albo mignął Ardowi przed oczami kolor jasnego miodu, albo dobiegł z oddali roześmiany szept, i wszystkie upiory wracały z nową, jeszcze bardziej obezwładniającą siłą.

Na samą myśl o tym płakałby krwawymi łzami. Gdyby mógł.

Teraz pragnął tylko walczyć. Potrzebował tego, to była jedyna rzecz, która naprawdę trzymała upiory z daleka. Mógł się wtedy koncentrować tylko na misji i jej celach... no, w każdym razie na tych drobnych zadaniach, o których dowódca uznawał za stosowne ich informować. Wielka strategia nie wchodziła w zakres zainteresowań Arda. To nie jego sprawa, on ma robić tylko to, co mu kazano i myśleć przy tym w miarę możliwości jak najmniej.

I w pełni mu to odpowiadało. Nawet nie wiedział, co to za świat, w jaki właśnie nurkują.

Ryk desantowca stopniowo cichł. Statek wytracał energię w atmosferze planety. Silniki robiły teraz wszystko, żeby upodobnić samolot do ptaka w locie. Ardo zachichotał na myśl o tym porównaniu. Kwantradyn APOD-33 był jaskrawym dowodem na to, że wszystko może latać, jeżeli zaopatrzy się to w odpowiednio mocny silnik. I nieważne, jak się lata.

Oczywiście Ardo miał za sobą wiele treningowych skoków, które niczym się od siebie nie różniły i wcale nie próbował ich sobie przypominać. Po co roztrząsać coś tak bolesnego, jak to, że się nadal żyje i myśli? Lepiej skupić się na czymś innym... czymkolwiek innym. Zaczął się przyglądać twarzom żołnierzy siedzących wokół niego. Kto wie, może nadejdzie chwila, kiedy któryś z nich uratuje mu życie... albo narazi je na niebezpieczeństwo.

Naprzeciwko siedziała kobieta, która robiła wrażenie świetnej kandydatki na którąś z tych opcji, nie mógł tylko rozstrzygnąć na którą. Krótko ostrzyżone blond włosy sterczały schludnym językiem na dość kształtnej głowie. Twarz miała ściągniętą, nad wystającymi kośćmi policzkowymi błyszczały oczy o odcieniu stali. Okna duszy. Okna duszy tej kobiety były otwarte, a jednak nie przepuszczały ani promienia światła; wpatrywały się bez wyrazu w jakiś daleki punkt za plecami Arda.

Takie oczy mogłyby zmrozić nurt rzeki w środku lata, pomyślał Ardo. Jeśli chodzi o resztę, mógł się tylko domyślać, bo kobieta miała na sobie ciężki, zasilany skafander bojowy, starannie skrywający wszelkie cechy fizyczne jego właścicielki, ujawniający za to co innego – szlify oficerskie – a to dla szeregowca zawsze oznacza zagrożenie. To pierwsza rzecz, jakiej się uczy szeregowiec – unikać oficerów, a już na pewno nie wdawać się z nimi w swobodne rozmowy. Ardo pamiętał pewnego szeregowca, który wszedł w zbyt poufale stosunki z dowódcą oddziału. Skończył z dziurą w miejscu, gdzie przedtem miał głowę.

Kobieta nie odezwała się ani słowem od momentu, kiedy weszli na pokład desantowca... I

jej milczenie będzie mile widziane aż do końca podróży, pomyślał Ardo. Odzywaj się tylko, kiedy cię pytają. Nie proś się o kłopoty.

Jej przynajmniej jest chłodno, myślał z zazdrością. Zasilane kombinezony miały wbudowany system samochłodzenia, a przewód startowy skafandra kobiety podłączony był do magistrali statku. Ardowi przeszło przez myśl, że chłód pani oficer prawdopodobnie nie kończy się na powierzchni skóry.

Pewnego dnia on też posiadał wszystkie trudne umiejętności potrzebne do noszenia CMC-300, a może nawet najnowszego modelu 400? Oczywiście daleki jest jeszcze ten dzień, ale o ilez lepiej będzie nosić skafander bojowy niż kilka warstw nietrwałych ubrań i przydziałowej bielizny! Jeżeli uda mu się przeżyć dość długo, żeby dorobić się własnego kombinezonu, jego szanse wzrosną niepomiaralnie.

A na razie może przynajmniej zorganizują im jakieś ćwiczenia w posługiwaniu się bronią, bo jak dotąd nie miał okazji nauczyć się nawet tego.

Statek wypełniony był takimi samymi żółtodziobami jak on. Każdy miał taki sam przydziałowy, tępy wyraz twarzy żołnierza Konfederacyjnych Sił Bezpieczeństwa, każdy zgodnie z obowiązkiem ociekał konfederacyjnym potem pod konfederacyjnym mundurem polowym.

Uwagę Arda zwrócił jeden, wyjątkowo potężny szeregowiec. Facet był niewiarygodnie wielki. Ludzie z obsługi naziemnej mieli problem, żeby go przypiąć pasami, a on zaś ani na chwilę nie przestawał psioczyć. Ardo zastanawiał się, jakim cudem udało im się znaleźć mundur, który wszedł na tego ciemnoskórego olbrzyma. Kiedyś na ziemi Liga Zjednoczonych Potęg kwalifikowała takich ludzi jako „wyspiarzy mórz południowych”. Miał szeroką twarz o kanciastych rysach i pełnych wargach. Długie włosy tworzyły czarną grzywę spływającą mu z czoła naturalnymi falami na ramiona i kark. Był jednym z tych hurra-postrzeleńców, co to mają jedną myśl przewodnią – „wydrę im serca i zjem na śniadanie!”. Każdy chciałby wiedzieć, że ktoś taki jest gotów skoczyć za nim w ogień... i nikt by nie chciał skakać w ogień za nim.

– No dobra, sadzajcie ten złom na ziemi! – Olbrzym odrzucił w tył głowę i roześmiał się, błyskając wesoło oczami. – Mam tu kilku klientów do ukatrupienia! Upieczecie mi na ruszcie jakiegoś Zerga. A może mózgi zjeść na surowo?

To powiedziawszy, znów wybuchnął zbyt głośnym śmiechem i z całej siły klepnął po udach swoich sąsiadów. Obaj marines skrzywili się z bólu i aż łzy im stanęły w oczach.

– Zjemy ich sobie na obiad, co? Wielka zergańska uczta. Ha! Postawcie tylko tę skorupę na ziemi, bo za chwilę sam ją otworzę!

Pilot w zamkniętej kabinie nie mógł co prawda słyszeć tego żądania, ale najwyraźniej sam się palił, żeby wypełnić zadanie. Desantowiec obrócił się nieznacznie wokół osi. Ardo wiedział, że był to rutynowy manewr przed lądowaniem. Warkot silników przeszedł w cichsze zawodzenie, aż wreszcie, kiedy statek usiadł ciężko na ziemi, zamilkł z jękiem.

Pani porucznik nie traciła ani minuty. Zanim jeszcze poprzeczka podniosła się do końca, kobieta uwolniła się od przewodu zasilającego i pasów i jednym sprawnym ruchem ściągnęła z półki nad głową swój worek. Szła w stronę rampy, kiedy ta dopiero zaczęła się powoli opuszczać. Nawet niecierpliwy wyspiarz nie zdołał wyprzedzić szybkiej pani oficer, chociaż wyraźnie nie mógł się doczekać bitwy, którą miał tu nadzieję znaleźć, a jeśli nie, to z pewnością wywołać.

Ardo się nie spieszył. Poprawiał mundur, odklejał od skóry przepocony materiał. Nagle wiatr dmuchnął do środka nad otwartą rampą i w mgnieniu oka suche rozżarzone powietrze z zewnątrz niczym piec wymiotło z komory wilgoć. Ardo ściągnął z półki swój worek i razem z innymi skierował się niespiesznie do wyjścia.

– Ruszcie dupy, panienki – warknął czapa. – Nie będziemy tu sterczeć cały dzień.

Powietrze było przegrzane i suche. Ostry, gorący wiatr omiół Arda ze wszystkich stron i cały pot wyparował z niego prawie w tej samej chwili, w której chłopak postawił nogę na asfalcie stacji kosmicznej. Nigdy w życiu nie oddychał takim żarem.

Rozejrzał się ponuro dookoła.

Wstąpili do piekła.

Świat dookoła był rdzawoczerwony od piasku, który zabarwiał tu każdy dom i każdy pojazd, bez względu na jego pierwotny kolor. Wrażenie pogłębiał jeszcze płomienny świt, który właśnie zaczynał rozjaśniać niebo nad kosmodromem...

... Albo raczej nad tym, co z niego zostało. Prawie połowa z siedmiu wież kontrolnych, rozrzuconych na obrzeżach rozległego terenu, stała w płomieniach, z dwóch innych zostały tylko mury z kupą gruzu na szczycie. Dymyły się także inne zabudowania stacji kosmicznej, a gęste czarne kłęby dymu wznosiły się także kilkanaście kilometrów dalej, gdzie leżał główny ośrodek miejski kolonii.

W tym momencie Ardo usłyszał głosy – aż nadto dobrze znane głosy. Od strony miasta wiatr niósł krzyki rozpacz, cierpienia i paniki.

Odwrócił się gwałtownie. Na końcu lądowiska, nieopodal ostatniej płyty postojowej kordon marines otaczał konfederacyjne sektory lotniska. Za nimi kłębił się tłum.

Fala wspomnień spadła na Arda z niepowstrzymaną siłą. Znowu stał na zatłoczonym placu kolonijnej warowni. W głowie słyszał krzyki, wołania... jej wołania...

*Nie zostawiaj mnie samej! – łkała.*

Ktoś popchnął go z tyłu z całej siły. Ardo poleciał do przodu, ale trening zrobił swoje. Przetoczył się gładko na plecach i błyskawicznie poderwał z powrotem na nogi z rękami uniesionymi do obrony.

– Czego tu sterczysz, gównozjadzie? – warknął sierżant. – Na co czekasz? Na delegację powitalną? Szoruj do koszar, a potem na ćwiczenia! Potrzebują was tu natychmiast!

Ardo nienawidził koszar z całego serca. Budziły w nim odrazę. Było w nich coś, co wstrząsało nim do głębi, nawet na dźwięk samego słowa. Mimo oszołomienia wiedział, że nie

powinien tego mówić...

– Panie sierżancie, ja nie mogę...

Jeszcze nie skończył, kiedy znów leżał na ziemi.

– Witaj na Mar Sarze, żołnierzu. A teraz zabieraj się do koszar! Ale już!

Ardo podniósł swoje rzeczy i pobiegł za grupą, która szła w kierunku zabudowań na obrzeżu płyty asfaltowej. Czuł się, jakby płynął pod prąd strumienia. Wszyscy inni na terenie bazy biegli w przeciwną stronę – w stronę punktów załadunku.

– Wygląda na to, że mamy tu być oddziałem sprzątającym – mruknął do siebie, starając się nie myśleć o tym, co ma za chwilę nastąpić. Wbił oczy w ziemię i nie spojrzał na koszarowe moduły – podobne do puszek, przenośne konstrukcje – nawet wtedy, kiedy wchodził do środka. Podniósł wzrok dopiero na szczycie rampy w wejściu do ciasnej koszarowej sali uzbrojenia.

Nadal im towarzyszył sierżant czapa, na każdym kroku roztaczając nad nimi swoją czułą troskę.

– Dobra, chłopcy i dziewczęta, wiecie, co macie robić. Zostawić sprzęt, rozbierać się i zaraz z powrotem do mnie!

Ardo poczuł mdłości. Najbardziej w świecie nienawidził koszar, a najbardziej w koszarach nienawidził właśnie tego, co za chwilę będzie musiał zrobić. Nieraz próbował sobie wmawiać, że to tylko część zadania, które mu zlecono, ale to nie zmniejszyło uczucia wszechogarniającej odrazy.

Posłusznie pomaszerował z innymi do przyległej izby zakwaterowania. Jak by było na zsuwni rzeźniczej, pomyślał i wzdrygnął się. Znalazł wolne łóżko. Ktokolwiek „mieszkał” tu przed nim i nazywał to miejsce domem, musiał je opuszczać w pośpiechu. Na podłodze koło łóżka i na posłaniu wały się najróżniejsze śmieci. Czapa, czekający na nich przy wejściu, z całą pewnością nie pochwaliłby takiego niechlujstwa. Ardo westchnął ciężko i zaczął ściągać z siebie przepoconą koszulę. Starał się nie patrzeć na innych. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety – armia Konfederacji ochoczo pozwalała, aby ginęli dla niej przedstawiciele obu płci. Ardo zawsze się wstydził rozbierać przy obcych, nawet mężczyznom, a co dopiero mówić o kobietach. Był młody i niedoświadczony i za każdym razem, kiedy musiał się podporządkować bezceremonialnym rozkazom zwierzchników, przeżywał to głęboko i boleśnie, czym zresztą nieraz już wzbudzał wesołość pozostałych marines.

Kiedy wracał do sali uzbrojenia, przeszedł go dreszcz. Chociaż powietrze było suche i gorące, po plecach spływał mu zimny pot. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, co ich teraz czeka.

Aby się odprężyć, zaczął zerkać na innych żołnierzy. Pewnie sam by się przed sobą nie przyznał, że w dużym stopniu kierowała nim zwykła chłopięca ciekawość. Większość oddziału stanowili mężczyźni, zdecydowaną większość. Chwilę przedtem Ardo zastanawiał się nawet, jak będzie wyglądała pani porucznik, kiedy zdejmie swój kombinezon bojowy, ale

z niejakim zdziwieniem stwierdził, że nie ma jej wśród zgromadzonych marines. Czyżby została zwolniona z tego poniżającego rytuału?

Obok czapy stali dwaj strażnicy z paralizatorami, między nimi zaś otwarte drzwi prowadziły do ciemnego pomieszczenia. Ardo zamknął oczy i próbował się uspokoić. Sierżant wyczytywał nazwiska z podręcznego wyświetlacza.

– Alley... Bounous...

Dudnienie w głowie nie pozwalało Ardowi myśleć.

– Mellish... Melnikov...

Na dźwięk swego nazwiska ruszył przed siebie, ale po chwili stanął. Stopy po prostu odmówiły zrobienia choćby jednego kroku więcej w stronę przerażającego ciemnego wejścia. Nie mógł oderwać oczu od korytarza, który ciągnął się za nimi. Po obu stronach stały rzędy cylindrycznych pojemników wypełnionych niebieskozielonym płynem.

– Melnikov, co do diabła...

Zaraz go wpakują do jednej z tych rur i wtedy zacznie się koszmar.

– Melnikov!

To było jak trumna... koszmar w trumnie.

Nie mógł się ruszyć z miejsca. Strażnicy byli na to przygotowani. Podeszli do niego i jak najbrutalniej wepchnęli go w ciemność.

\* \* \*

Spadał bez końca. Nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Czy w ogóle tu jest, czy może jest gdzieś indziej... i może jest kimś innym? Usiłował się skupić na obrazach i wspomnieniach, które przepływały mu przed oczami, ale nie wiedział, jak je uchwycić. Rozpaczliwie wysiłał pamięć, żeby ich dosięgnąć, żeby przyjrzeć im się z bliska, ale kiedy chciał je przytrzymać, rozpadały się jak bąbelki powietrza pod wodą.

Bąbelki powietrza...

Oddychał wodą. Długi przezroczysty cylinder wypełniała ciecz, którą można było oddychać. Starał się być dzielny, naprawdę bardzo się starał, ale w końcu za każdym razem wpadał w panikę, wrzeszczał i zachowywał się tak upokarzająco. Ich to zresztą nie obchodziło. Widywali to tysiące razy. Siłą zacisnęli mu na głowie obejmę, a potem wepchnęli do pojemnika i zakręcili pokrywę.

– Ten trzeba będzie wyregulować – usłyszał słowa jednego z nich.

Wstrzymywał oddech jak najdłużej...

Najdłużej jak mógł wytrzymać... co? Co miał wytrzymać?

O czym myślał?

Po co myślał?

Włosy w kolorze dojrzałej pszenicy tańczyły w letnim słońcu. Niektóre dni były złociste...

Uderzył dłońmi o przezroczystą ścianę cylindra i z płuc uleciały mu resztki powietrza. Nagle włączono obejmę i mózg Arda eksplodował milionem okruchów.

Okruchy wirowały dookoła. Bąbelki okruchów.

Szkoła stosowania kombinezonów bojowych. Jak mógł zapomnieć? Jego instruktor był wysłużonym żołnierzem. Miał na imię Carlyle. Całymi tygodniami pracowali nad doskonaleniem techniki. A może to były miesiące? Kombinezon bojowy był jak stary przyjaciel. Miał taki jeden chyba przez całe życie...

Kombinezon bojowy. Gdzie to było? I kiedy? Na seminariach? Wtedy brat Gabittas wykladał o upadku starożytnych i o grzechu dumy. Pokój płynie z duszy. Radosna świadomość głosu bożego przemawiającego do każdego człowieka.

– Nie zabijaj – mówi, ale wyciąga przed klasą gaussa AGR-14.

– Trzymaj, Ardo – mówi brat.

Podchodzi do chłopca siedzącego prawie na samym końcu klasy. Chłopiec nie uważał na lekcji. Mężczyzna wciska mu w rękę ośmiomilimetrowy karabin.

– Wykorzystuj to przeciwko innym – mówi, kiedy Ardo bierze broń.

Chłopiec odpływa w bąbelku powietrza, ale nadal ma w ręku broń, gładką i kuszącą. System magnetycznego przyspieszania pocisku do prędkości ponaddźwiękowych o niewiarygodnej kinetycznej zdolności rażenia, wykorzystującej najróżniejsze rodzaje ładunków – od zubożonego uranu, do naboju przeciwpiechotnych nabijanych stalą. To inny stary przyjaciel z dawnych czasów. Karabin wywraca się na lewą stronę i wybucha. Potem jego kawałki zlewają się na powrót, tym razem układają się w twarz ojca.

– Zawsze będziesz moim synem – mówi staruszek.

Po policzku płynie mu łza. Za jego plecami w świetle zachodzącego słońca rozciąga się rodzinna agrafarma.

– Nieważne, dokąd pojedziesz ani co zrobisz, zawsze będziesz moim synem.

Jestem?

Będę?

\* \* \*

Czuł się już teraz lepiej. Z początku, kiedy wyszedł ze zbiornika resocjalizacyjnego, był trochę dezorientowany, ale teraz już myślał jasno.

Zawsze czuł się lepiej, kiedy miał na sobie swój kombinezon. Był to starszy model CMC-300, ale Ardowi to nie przeszkadzało. Od lat używał trzysetki i naprawdę się z nią zżył.

Stał ściśnięty ramię przy ramieniu z innymi marines. W przedsiönku byli też firebaci i oficerowie zawodowi. Sprawdził przewód zasilający, który łączył gaussa z kombinezonem. Kochał ten karabin, to była jego ulubiona broń. W końcu używał jej prawie tyle samo lat co kombinezonu.

Spojrzał w górę. Właśnie czerwone światło nad służą zmieniło się na zielone i drzwi



otworzyły się samoczynnie. Marines ryknęli gromkim okrzykiem.

Mimo to Ardo nie lubił opuszczać koszar. Kochał je tak samo jak swój karabin i kombinezon.

## Rozdział 3

# Wiedźma

Razem z resztą żołnierzy Ardo wybiegł z koszar na świat ogarnięty paniką i chaosem. Oddziały marines otaczały konfederacyjny sektor stacji kosmicznej, odgradzając kordonem jednostki i statki wojskowe. Maszerując szybko po płycie lądowiska, Ardo widział tysiące kolonistów napierających na szpaler żołnierzy. Mężczyźni, kobiety, dzieci – zbici w jedną wrzeszczącą ludzką masę – walczyli rozpaczliwie o drogę ucieczki z planety.

Dalej, na terenie cywilnej części kosmodromu, panował stan kompletnej anarchii. Wzdłuż całego pola manewrowego około stu statków walczyło o prawo do startu albo czekało na wyniesienie na orbitę. Mniej więcej dwa razy tyle krążyło niespokojnie za zewnętrznym markerem, migocząc błyszczącymi kadłubami w jaskrawym świetle słońca. W beładnym ruchu maszyn wyczuwało się desperację. Wyglądało na to, że kontrolę lotów zarzucono tu całkowicie. Statki próbowały startować i lądować wedle woli. Kilka czekało w powietrzu, wisząc nieruchomo nieopodal terminalu i szukając miejsca na wylądowanie, ale ogarnięty paniką tłum nie chciał albo nie mógł zejść im z drogi. Na całym terenie stacji kosmicznej wałały się porozrzucane kawałki co najmniej sześciu płonących wraków. Nie odstraszało to jednak pilotów maszyn, które były jeszcze w powietrzu. Niczym ćmy do światła przyciągała ich wizja zawrotnych okupów, których mogli bezkarnie żądać za wpuszczenie na pokład. W obawie o siebie i swoje statki pragnęli jak najszybciej dostać się na lotnisko, a potem jeszcze szybciej odlecieć.

Skoro każdy tak usilnie próbuje się stąd wydostać, czemu Konfederacja zadała sobie tyle trudu, żeby nas tu ściągnąć? – zastanawiał się Ardo. Czuł coraz bardziej dojmujące lodowate zimno w okolicy żołądka. Nie znam tych ludzi. Nie mam nawet pojęcia, na jakiej planecie jestem! Co ja tu robię?

Sam nie wiedział, jak i kiedy pędził już w stronę swojego przydzielonego desantowca razem z dwoma innymi oddziałami marines. Każdy żołnierz z osobna wiedział, gdzie ma się zameldować, tak więc ich oddział wyłonił się nagle z całego rozgardiaszu jakby przyciągany

czarodziejskim magnezem. Przed Ardem biegła pani porucznik, ta sama, która leciała z nim poprzedniego dnia, a obok truchtał zwalisty wyspiarz w największym kombinezonie, jaki Ardo w życiu widział. To był ciężki skafander bojowy CMC-660 z generatorami plazmowymi zamontowanymi na plecach. A więc ciemnoskóry olbrzym jest firebatem – pomyślał Ardo – jednym z tych „miotaczy plazmy”, którzy bywają równie niebezpieczni dla wrogów, co dla własnych dowódców. Dalej biegli inni, wśród nich technik ubrany tylko w lekki mundur polowy. A ten się dokąd wybiera? Na wakacje?

Ryk orbitali podnoszących się co chwila z różnych pól wzlotów nie ostudził bynajmniej zapалу pilota ich desantowca. Nie zagłuszył też jego przenikliwego krzyku.

– Do mnie, panie i panowie, starzy i młodzi! – jazgotał głosem jarmarcznego przekupnia pilot. – Chodźcie zobaczyć największe widowisko we wszechświecie! Patrzcie, jak koloniści walczą o życie! Patrzcie, jak na waszych oczach upadają rządy! Będziecie świadkami czynów, jakich nie widział dotąd cywilizowany świat. Tędy! Tędy!

Biegli właśnie w stronę desantowca, gdy nagle od strony kordonu marines dobiegł terkot automatycznego gaussa. Po twarzy Arda przebiegł skurcz. Starał się nie myśleć o tym, co to mogło znaczyć.

– Cutter! – zawołała ostro porucznik, kiedy dobiegli do rampy statku.

– Jestem – odezwał się zwalisty wyspiarz.

– Zapakuj te niedowarzone koty na statek. Masz pięć minut! – Jej rozkazujący głos przedarł się nawet przez zgiełek rozruchów, które wybuchały na cywilnej części lotniska. – Mamy robotę do wykonania. Poprzydzielam ich, jak dotrzemy na miejsce.

– Tak jest! Słyszeliście panią porucznik! W szeregu zbiórka!

Niewielka grupa marines ustawiła się w rzędzie. Cutter przeszedł wzdłuż szeregu, sprawdzając, czy wszyscy mają odpowiedni ekwipunek.

Pilot desantowca w tym czasie oparł się o rozpórkę podwozia i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobra, panienki! – Cutter najwyraźniej świetnie się bawił. – Zajmijcie miejsca na pokładzie. Jazda!

Ardo podniósł swój worek i ruszył w stronę rampy, podejrzliwie zerkając na kadłub statku i wymalowany tam wyjątkowo efektowny przykład sztuki dziobowej. „Wiedźma Walkiria”?

– Tak jest, przyjacielu – powiedział pilot, bardzo z siebie zadowolony. – Mówią, że jak raz dosiędziesz walkirii, nigdy więcej nawet nie spojrzysz na inną. Trafiłeś pod właściwy adres, kolego... albo niewłaściwy, jeśli rozumiesz, do czego piję.

Pilot był chudy i miał najbardziej niewiarygodną fryzurę, jaką Ardo w życiu widział. Wokół głowy niczym kolce sterczały promieniście jaskrawobłękitne kępkę, między którymi skóra była wygolona do łysa. Zdawało się, że kościste ciało mężczyzny dosłownie emituje z siebie odnóża w postaci rąk i nóg. Całość wyglądała jak strach na wróble w skafandrze

lotniczym z figlarnym uśmiechem na twarzy, który z obu stron robił pół obrotu dookoła głowy.

– Tegis Marz, chłopcy. Zapamiętajcie to nazwisko. Będę waszym aniołem śmierci, tam na pograniczach. Do usług. Gdybyście czegoś potrzebowali, na przykład, żeby ktoś wam uratował tyłek, to właśnie mnie macie wzywać.

– Ja tam nie wchodzę. Ten wrak to przeklęta pułapka.

Tegis odwrócił się w kierunku głosu, który dochodził gdzieś z końca kolumny. To był technik. Ardo nie przypominał sobie, żeby go widział w transporcie na planetę. Facet musiał tu być dłużej.

– Nie chcę nawet patrzeć na tego gruchota! – powiedział mężczyzna w mundurze.

Był gładko wygolony, krótko ostrzyżony i tak wypucowany, że patrząc na niego, miało się wrażenie, jakby przy każdym kroku dźwięczał niczym najczystszy kryształ.

– Kupa złomu, która nie kwalifikuje się nawet, żeby ją nazwać kupą złomu!

Tegis oderwał się od rozpórki i zabalgotał złowrogo.

– Ty nędzna psia żygowino! Ten statek to prawdziwe cacko. W całej flocie nie ma takiego drugiego.

– Zgadza się, a to dlatego, że wszystkie inne są chociaż z grubsza ponaprawiane!

– Odszczekasz to, Marcus!

– Jak ci się przyśni, Tegis.

– Wchodzisz na ten statek w tej chwili!

– Za nic w świecie, choćby to był ostatni transport odlatujący z tej dziury. Będę miał większe szansę przeżycia, jak skoczę z czubka skały i pomacham rękami. Kiedy w końcu dorośniesz, Tegis, i sprawisz sobie prawdziwy statek?

Z wściekłym rykiem Tegis rzucił się na technika. Obaj potoczyli się na ziemię i zaczęli się okładać pięściami. W tumanach czerwonego pyłu dwaj mężczyźni zamienili się w jedno kłębowisko rąk i nóg. Para ulicznych kotów w ciemnym zaułku nie wykrzeszałaby z siebie tyle zacierzewienia.

Ardo stał osłupiały. Cała ta scena była po prostu śmieszna.

W końcu do akcji wkroczył Cutter i rozdzielił obu bojowników.

– Panie Jans, zdaje mi się, że porucznik powiedziała wyraźnie, żebyś się pan pakował na pokład razem z rynsztunkiem. Myślę, że właśnie nadszedł odpowiedni moment, żeby to zrobić.

Poczerwieniały technik nie przestawał wymachiwać rękami w stronę pilota. Cutter potrząsnął nim z całej siły, aż biedakowi zęby zadzwoniły.

– Masz inne zdanie? – wycodził wyspiarz.

Marcus Jans przestał się szarpać.

– Nie... raczej nie.

Cutter odwrócił się z kolei do Tegisa. Pilotowi z wściekłości jeszcze się trzęsły na głowie

czubki błękitnych kolców.

– A pan, panie kapitanie, nie powinieneś przypadkiem siedzieć teraz za sterami statku?

– Taa... – zabalgotał Marz. – I to piekielnie dobrego statku.

– W takim razie, z całym szacunkiem, panie kapitanie, może byś pan poszedł go popilotować?

To rzekłszy, Cutter odsłonił w uśmiechu tyle zębów, jakby miał zamiar połknąć żywcem każdego, kto się z nim nie zgodzi.

– Przyleciałem tu, bo mam tu coś do zrobienia i nie życzę sobie, żeby mi ktoś stawał na drodze. A właśnie w tej chwili ty mi stoisz na drodze... panie kapitanie.

Pod Tegisem ugięły się nogi.

– Eee... to ja pójde poderwać w górę tę wspaniałą maszynę.

– Bardzo proszę. Dziękuję panu uprzejmie – powiedział Cutter i puścił obu mężczyzn, odpychając ich w przeciwnych kierunkach.

Lekko chwiejnym krokiem, wpatrując się z nagłym zainteresowaniem w ziemię pod nogami, obaj kombatanci oddalili się do swoich obowiązków.

Ardo westchnął głośno.

– A ty co, żołnierzu? – zapytał Cutter, po raz pierwszy zwracając na Arda swoje ciemnobrązowe oczy. – Może ty masz zamiar stawać mi na drodze?

– Nie, proszę pana – odpowiedział Ardo, żałując głęboko, że tak szybko zwrócił na siebie uwagę ciemnoskórego wyspiarza. – Zdecydowanie stoję z boku.

Olbrzym znowu uśmiechnął się szeroko, a w tym uśmiechu było coś szatańsko figlarnego i zarazem niebezpiecznego.

– Nie, przyjacielu, nie jestem żadnym „panem”. – Wyciągnął wielgachną dłoń w rękawicy. – Starszy szeregowy Fetu Koura-Abi. Ale wszyscy mówią na mnie Cutter.

– Starszy szeregowy Ardo Melnikov – odpowiedział Ardo, ciesząc się w duchu, że system aktywnej reakcji w jego własnej rękawicy zamortyzował uścisk monstrualnej dłoni, który musiał być miażdżący. – Miło mi.

– Kłamiesz. – Cutter znów odsłonił zęby w uśmiechu, który jednak tym razem nie był tak przyjazny.

– Troszeczkę – powiedział Ardo.

Olbrzym odrzucił głowę w tył i wybuchnął gromkim śmiechem.

– To już było wystarczająco szczerze! Łap się za swoje rzeczy. Chcę jak najszybciej wsiąść gdzieś, gdzie będę mógł coś puścić z dymem. Podobało ci się przedstawienie?

Ardo podniósł swoje rzeczy i ruszył w stronę rampy.

– Co takiego? A, mówisz o pilocie i techniku?

– Jasne – odparł Cutter, jedną ręką bez najmniejszego wysiłku przerzucając przez ramię swój worek. – To taka frajda patrzeć na braterskie bójki. Ja sam najlepiej wspominam lata, które spędziłem z braćmi.

Ardo odwrócił się w jego stronę.

– Chcesz powiedzieć... ci dwaj są...

– Przecież to oczywiste. – Cutter uśmiechnął się i szturchnął Arda w plecy z taką siłą, że chłopakowi tchu w piersi zabrakło. – Ta sama krew zawsze da o sobie znać.

Nagle Cutter się wzdrygnął, a przez jego twarz przebiegł cień jakiejś mrocznej myśli. Potem wrzasnął niespodziewanie, złapał Arda za uchwyt mocujący hełmu i przyciągnął go do siebie.

– Dlatego tu jestem, Melnikov. Tam, na peryferiach są moi bracia. Pracują na farmach wodnych gdzieś na tej kupie piachu. Znajdę ich, słyszysz, Melnikov? A jak nie, to pomszczę ich ogniem z samego dna piekła. Rozumiesz mnie? Chcesz mi wchodzić w drogę, Melnikov?

Ardo spokojnie odwzajemnił roziskrzone spojrzenie.

Oko za oko, pomyślał. A potem: Kochaj tych, którzy cię nienawidzą.

– Ardo – powiedział spokojnie.

Cutterowi zadrgały policzki.

– Że co?

– Mam na imię Ardo. Jeśli pozwolisz, będę do ciebie mówił Cutter, bo obawiam się, że nie zapamiętałem twojego pełnego nazwiska.

Cutter rozluźnił uścisk. Lekki uśmiech zamajaczył mu na wargach.

– Jasne, Ardo. Podobasz mi się. Możesz do mnie mówić Cutter, przyjacielu. No to jak? Mam nadzieję, że stoisz po mojej stronie, co?

Jasne, byle jak najdalej, pomyślał Ardo.

– W całość rozciągłości, Cutter – powiedział na głos.

W tym momencie zamruczały układy hydrauliczne desantowca i rampa zaczęła się podnosić. Cutter puścił Arda, znów wyszczerzył zęby w swoim wszechstronnym uśmiechu kota z Cheshire i cofnął się pod przeciwległą ścianę. Właśnie mocował się ze swoją uprzężą desantową, kiedy wróciła pani porucznik.

– No dobra, słuchajcie mnie – powiedziała donośnym altem. – Jestem porucznik L.Z. Breanne. Przejmuję nad wami dowodzenie na czas tej misji.

– Ho, ho, ho! Co wy na to, chłopaki? Dostaliśmy misję!

Porucznik Breanne ciągnęła dalej beznamiętnym i rozkazującym głosem.

– Nie mamy wiele czasu. Podałam już pilotowi współrzędne desantowania, będziemy na miejscu mniej więcej za trzydzieści minut. Piętnaście dni temu najdalej wysunięte kolonijne stacje zaczęły po kolei milknąć. Pierwsze ekipy wysłane do zbadania tej sprawy zaginęły. Następna grupa zwiadowcza przed dziesięcioma dniami potwierdziła, że planeta została zainfekowana przez Zergi...

– Chłopaki, Zergi! – uśmiechnął się Alley.

– Przepraszam panią, ale co to właściwie takiego te Zergi? – zapytał Mellish.

– Nowy gatunek obcej formy życia. Na razie niewiele o nich wiemy...

– Wnieście ruszt! – zagrział Cutter.

Breanne zbyła go milczeniem.

– Czymkolwiek te stworzenia są, w obliczu planetarnej inwazji Konfederacja postanowiła ewakuować swoje placówki z Mar Sary i wycofać wojska na tyły...

– Oho – prychnął Marcus – Konfederacja podaje „tyłki”!

Oddział gruchnął śmiechem.

– Dość tego, Jans, bo osobiście zapakuję twoje resztki do worka.

Porucznik Breanne nie żartowała, i nikt na pokładzie nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Nasze zadanie składa się z trzech etapów. Po pierwsze utrzymać pozycje w bunkrze na trzy-dziewięć-dwa-siedem i stamtąd osłaniać ewakuację sił konfederacyjnych. Po drugie zbadać ruchy jednostek nieprzyjaciela poza bazą. I po trzecie znaleźć małą błyskotkę, którą dowództwo zgubiło po drodze. To wszystko.

– Pani porucznik – odezwał się Cutter. – Co to za... błyskotka?

– Dowiedzie się, kiedy ją dostanę, Cutter – odparła Breanne. – Na pokładzie znajdziecie przenośne skanery do swoich kombinezonów. Urządzenia dostrojono tak, żeby wyszukały właściwy cel. Nie wiem, jaki to cel, a was to tym bardziej nie obchodzi, ale kiedy to coś znajdziemy, to będzie nasza przepustka do wyjazdu z tej planety. Więcej wam powiem, kiedy zdobędziemy bunkier i umocnimy się na pozycji. To wszystko.

Porucznik Breanne wróciła na miejsce i przypięła swój ekwipunek desantowy. Ardo znów znalazł się twarzą twarz z tą kobietą, która tym razem była jego dowódcą.

Silniki statku nabierały obrotów.

– Przepraszam, pani porucznik – odezwał się Ardo.

– O co chodzi, żołnierzu? – Breanne przeszła go zimnymi, stalowymi oczami.

– Mówiła pani, że jesteśmy tu po to, żeby osłaniać ewakuację personelu i wyposażenia Konfederacji, tak?

– Tak. To część naszej misji – odpowiedziała Breanne, przekrzykując coraz głośniejszy ryk silników.

– A co z kolonistami? – zapytał Ardo. – Czy będziemy również ubezpieczać ewakuację kolonistów?

Nawet jeśli Breanne miała gotową odpowiedź, nie zadała sobie trudu, żeby jej udzielić. Może silniki były za głośno, a może po prostu nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Ardo usadowił się ponownie w uprzęży i z niepokojem pomyślał o półgodzinnej podróży. Zamknął oczy i w wyobraźni zobaczył ruiny portu kosmicznego niknące szybko w dole. Mógłby przysiąc, że przez ryk silników, od którego drżał kadłub statku, słyszał wołania tysięcy zrozpaczonych ludzi, próbujących ratować się ucieczką z zakażonej planety.

Zdawało mu się, że w tłumie przerażonych kolonistów widzi twarz Melani.

## Rozdział 4

# Littlefield

Leciał nad światem z rdzy. Rdzawe były stoki dalekich gór, rdzawe turnie wznające się w ziemię poszarpanymi zboczami. Nawet przedmieścia osady pokrywała warstwa rdzy. Jeszcze kilka dni temu w tych domach mieszkali ludzie, a wszechobecny pył, który unosił się nad całym tym spieczonym światem, mieszkańcy kolonii pracowicie utrzymywali w ryzach. Teraz niegościnna planeta na powrót przejmowała we władanie to, co jej wydarto.

Wszystkiego tego Ardo dowiedział się, a nawet doświadczał za pośrednictwem swojego kombinezону, podłączonego do głównej magistrali zasilającej desantowca. Płynął z niej nieprzerwany strumień danych, które można było konfigurować w dowolny sposób. Ardo przełączył system sensorowy na odbiór zewnętrzny i w mgnieniu oka cały statek wokół niego zniknął. Przełącznik wewnętrznych wyświetlaczy uruchomił maskowanie desantowca i Ardo zaczął się unosić samotnie nad uciekającą powierzchnią planety. Był ptakiem żeglującym na skrzydłach plazmowych płomieni, które ciągnęły się za nim w rozpalonym powietrzu.

Przedmieścia największego miasta kolonii zostawały szybko w tyle. Pod nogami Arda rozciągało się jałowe pustkowie, poznaczone kraterami i czarnymi bliznami po bitwach, które toczyły się tu kilka dni temu, to znów śladami krwawych masakr ludzi walczących rozpaczliwie o życie. Tu i ówdzie resztki napowietrznych vulturów oraz setek cywilnych pojazdów wyrastały z ziemi niczym poskręcane kwiaty o szerniałych, wywiniętych płatkach.

Ardo patrzył na to wszystko z góry i nie mógł się opędzić od natrętnych myśli. Gdzie były czołgi oblężnicze? Gdzie artyleria? Szturmowe goliaty? To, co widział, to było lekkie uzbrojenie wojsk konfederacyjnych i bezużyteczny szmelc miejscowej milicji. I najważniejsze pytanie – gdzie ma być ich przyczółek, skoro bitwa tam na dole została przegrana?

Popatrzył przed siebie. Zwalniał teraz lot i zniżał się w kierunku kompleksu bunkrów z niewielkim lądowiskiem pośrodku.

– Zabieraj stąd głowę, żołnierzu – usłyszał w głośniku kombinezону ostry kobiecy głos. –



Wysiadamy.

Desantowiec zmaterializował się w tym samym momencie, w którym głos porucznik Breanne odwrócił uwagę Arda od ziemi na zewnątrz. Stalowe oczy patrzyły na niego surowo przez przezroczystą osłonę hełmu.

– Tak jest, pani porucznik – odpowiedział krótko. – Jestem gotowy.

Lodowate stalowe spojrzenie zatrzymało się na nim tylko przez ułamek sekundy i chwilę potem porucznik Breanne zupełnie zapomniała o jego istnieniu. Odezwała się do całego oddziału, a jej przenikliwy głos wznosił się ponad wycie silników.

– Panie i panowie! Przylecieliśmy tu, żeby wykonać zadanie, więc zróbmy, co do nas należy i zabierajmy się stąd jak najszybciej. Czy to jasne?

– Tak jest, pani porucznik! – zawołali wszyscy jak jeden mąż.

– Macie dziesięć minut od wylądowania na znalezienie łóżka i złożenie sprzętu. Potem meldujecie się przed centrum dowodzenia, gotowi do natychmiastowego wymarszu. – Porucznik Breanne wyciągnęła palce w kierunku dwóch marines. – Cutter i Wabowski, przygotowujecie kat-pięć dla firebatów, reszta kat-pięć dla zwiadu.

Ardo błyskawicznie przebiegł w pamięci konfigurację kategorii trzeciej: kombinezon bojowy, karabin impaler gauss z amunicją przeciwpiechotną, bez plecaka z ekwipunkiem polowym... trzymać się mocno na nogach i być gotowym na wszystko. To znaczy, że nie będą się zbytnio oddalać od obozu. W sumie zanosilo się całkiem przyjemne popołudnie.

Breanne umilkła na chwilę i popatrzyła po twarzach żołnierzy. Ardo zastanawiał się, o czym też pani porucznik teraz myśli.

– Minuta spóźnienia, a następnej nie dożyjecie. Czy to jasne?

– Tak jest, pani porucznik!

Desantowiec przechylił się nagle na bok i ciężko usiadł na ziemi. Porucznik Breanne błyskawicznym ruchem zatrasnęła maskę hełmu i chwilę później zeskakiwała już z opuszczającej się rampy, zanim ta zdążyła dotknąć ziemi.

\* \* \*

Ardo próbował precyzyjnie się przesuwać przez drzwi do izby żołnierskiej koszar, ale był tak oszołomiony, że nie mógł się skoncentrować nawet na najprostszych czynnościach. Kiedy przechodził przez próg, worek zaczepił mu się o coś wystającego z futryny. Między rzędami łóżek rozległy się chichoty. Jakby dźgnięty ostrogą, Ardo zaczerwienił się i z całej siły szarpnął za worek, ale – czy to pod wpływem gniewu, czy zażenowania – przekręcił go nie tak, jak trzeba. Miał wrażenie, że mózg ugrzązł mu w jakimś okropnym błędnym kole – wiedział, co robi źle, ale z jakiegoś powodu nie mógł zrobić nic innego.

– Spokojnie, synu – powiedział starszy żołnierz z górnego łóżka. – Daj, pomogę ci.

– Proszę się nie kłopotać – burknął Ardo.

Coś mu szeptało w ucho, że żołnierz chce go upokorzyć jeszcze bardziej.

Mężczyzna zachnął się i zeskoczył z łóżka.

– Słuchaj no, dzieciaku, to żaden kłopot. Czasami trzeba trochę odpuścić, a sprawy same wracają na swoje miejsce. Za mocno się starasz.

Łagodnie położył mu dłoń na ramieniu, ale chłopak szarpnął się gniewnie i w efekcie grzmotnął łokciem o metalową ścianę. Chociaż kombinezon zamortyzował uderzenie, od samego impetu prąd przeszedł Ardowi przez rękę aż po ramię. Worek z brzękiem zwałił się na podłogę.

Stary żołnierz uśmiechnął się i pokręcił głową. Miał rzadką, posiwiałą brodę, nieporządne brudnoszare włosy pozlepiane w długie strąki i świdrujące, ciemne oczy. Musiał dobiegać czterdziestki – ocenił Ardo – chociaż ze zniszczonej twarzy, zrytej bliznami i zniekształconej, trudno było coś wyczytać. Nie przestawał się uśmiechać. Obie dłonie uniósł przed sobą do góry, sięgnął powoli po worek i wciągnął go do środka.

– Spokojnie, bracie – powiedział, kładąc worek przed Ardem. – Wyglądasz, jakbyś dopiero co wyszedł ze zbiornika resocjalizacyjnego. One potrafią niezłe namieszać człowiekowi w głowie.

Ardo tylko skinął ponuro głową. Zdrętwiała ręka powoli przestawała go boleć.

– Jon Littlefield – powiedział mężczyzna, wyciągając wielką, twardą dłoń. – Miło cię poznać, bracie.

Ardo zamrugał. Coś do niego krzyczało z głębi podświadomości, ale nie mógł zrozumieć, co ten głos próbuje mu powiedzieć. Myśl, że nazwano go bratem, wprawiła go w oszołomienie.

Wspomnienia dudniły mu w głowie i odbijały się raz za razem otumaniającą kaskadą.

*Bracie Melnikov! Lider młodzieżówki uśmiecha się pogodnie w porannym świetle...*

*Głos ojca: Wszyscy są braćmi w oczach Boga, synu. Brat nie zabija brata...*

– Bracie? – zapytał Ardo i znów zamrugał, próbując odzyskać równowagę.

– Jasne – powiedział Jon. – Wszyscy tu jesteśmy jak bracia. Towarzysze broni. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, rekrucie – tutaj mamy tylko siebie nawzajem.

*Malejąca twarz Melani, wykrzywiona przerażeniem, kiedy Zerg wywlekają z thumu.*

– Tak... oczywiście – powiedział Ardo, wbijając wzrok w podłogę. – Mamy tylko siebie.

Jednym zręcznym ruchem Littlefield podniósł torbę i rzucił ją na wolne łóżko pod swoim.

– Nie martw się, synu. Od kiedy jestem w marines, ciągle żyję w pośpiechu. Trzymaj się mnie, a wszystko będzie dobrze. Poukładamy ci w głowie i w mig poczujesz się lepiej.

Ardo gapił się na niego bezmyślnie. Jeśli ten mężczyzna miał ponad trzydzieści lat, to znaczy, że był naprawdę stary, starszy od wszystkich marines, jakich Ardo w życiu widział. Rzecz jasna na Bountiful widywało się nawet starszych ludzi – wszyscy patriarchowie kolonii byli siwowłosymi starcami. Wydawali się tacy mądrzy. Młody człowiek czuł się pokrzepiony, mając wokół siebie przywódców, którzy przeżyli tyle lat... Czerpali mądrość z własnego doświadczenia, nie musieli jej od nikogo pożyczać. Ardo doszedł do wniosku, że Littlefield

jest chyba najstarszym marine poniżej rangi pułkownika.

„Stary trzydziestolatek” – takich haseł nie widywało się na propagandowych plakatach rekrutacyjnych.

Co mnie to obchodzi? – pomyślał Ardo. Nie wstępowałem do wojska, żeby się dorobić emerytury. Muszę odplacić Zergom za to, co zrobiły, a jeśli dostanę rekompensatę, zanim mnie dopadną, tym lepiej.

W tej samej chwili przez drzwi do sali wcisnął się Cutter. Olbrzymie ciało firebata wypełniło całą przestrzeń między Ardem a Littlefieldem.

– No proszę, sierżant Littlefield! – Cutter spojrzał z góry na starego żołnierza, a w jego głosie słycać było sarkazm i nieskrywaną pogardę. – Czyż ostatnio nie służyłem z kapitanem Littlefieldem?

Ardo osłupiał, słysząc, z jakim rażącym lekceważeniem odnosi się do podoficera, bądź co bądź, szeregowiec. Jon jednak postanowił zignorować tę jaskrawą obelgę.

– Miło cię widzieć w moim oddziale, żołnierzu – uśmiechnął się w odpowiedzi. – Lepiej się pospieszcie. Porucznik Breanne ma robaki w tyłku i nie spocznie, póki nie utoczy komuś krwi, nieważne po której stronie. Wiecie, co macie robić, więc do roboty i już was tu nie ma!

## Rozdział 5

# Czas przebiegu operacji

Skaliste pustkowie smagał wiatr. Ziarnka piasku wdzierały się w każde załamanie kombinezonu bojowego, ale nie było na to rady. Cały oddział stał na baczność i Ardo nie miał wątpliwości, że gdyby choć drgnął, byłby to ostatni ruch w jego życiu. Porucznik Breanne osobiście by się o to postarała.

Chociaż kombinezony bojowe starannie kontrolowały temperaturę ciała, aby utrzymać żołnierzy w najwyższej zdolności bojowej, Ardo poczuł właśnie na plecach strużkę potu spływającą powolutku w dół między łopatkami. Może sierżant Littlefield miał rację? Może rzeczywiście z jego głową jest coś nie tak od czasu ostatniej kąpieli w zbiorniku resocjalizacyjnym na lotnisku? Ma kłopoty z koncentracją, poza tym męczy go jakieś przeczucie, przyczajone gdzieś na peryferiach świadomości. Ojciec nazywał takie wrażenia „podszeptami ducha” – nikłym, cichutkim głosikiem, który nawiedza ludzi, aby dać im boską wskazówkę. „Słuchaj uważnie tego głosu”, mawiał ojciec. „On cię nigdy nie wprowadzi w błąd”.

Tylko gdzie był ten ostrzegawczy duch, kiedy Zergi rozszarpały jego rodziców?

Poczuł przesywający, oślepiający ból w prawym oku, a chwilę potem gwałtowną falę mdłości. Wyobraził sobie wewnątrz własnego hełmu zachłapanie na wpół przetrawionym śniadaniem i skrzywił się z obrzydzeniem. Littlefield mówił, że to przejdzie, powtarzał sobie Ardo, starając się za wszelką cenę odzyskać równowagę. Wytrzymaj jeszcze trochę, zaraz będzie lepiej.

Próbował skoncentrować myśli na porucznik Breanne, która stała przed nimi z wyłączonym spolaryzowanym polem ochronnym hełmu, aby wszyscy mogli widzieć jej twarz. Żołnierze patrzyli nieruchomo przed siebie, nikt nie miał ochoty napotkać jej wzroku, kiedy będzie przed nim przechodziła.

– Wysłano nas w sam środek kotła, z którego wszyscy inni uciekają, moje ślicznotki – dudnił jej głos, lekko zniekształcony przez hełm.

Kierunkowe wzmacniacze słuchowe w kombinezonach umożliwiały rozpoznanie źródła dźwięków, zarówno tych dochodzących z zewnątrz, jak i przesyłanych przez systemy łączności.

– Wszystkie siły konfederacyjne zmywają się z tej planety – ciągnęła Breanne.

A co z kolonistami? – pomyślał Ardo. Ich też Konfederacja zostawia?

– Zanim dołączymy do naszych braci i opuścimy tę kupę piachu, musimy wykonać zadanie.

– Melduję, pani porucznik, że aż się palę, żeby im przypalić! – zawołał służbiście Cutter.

Twarz Breanne rozjaśnił wilczy uśmiech.

– Będzie pan miał jeszcze pod dostatkiem wrogów do upieczenia tą swoją zabawką, zanim skończymy, panie Koura-Abi. Sugeruję jednak, żebyśmy w pierwszej kolejności wykonali zadanie i wynieśli się stąd, dopóki mamy jak.

– Tak jest, pani porucznik! – W głosie Cuttera dźwięczało rozczarowanie.

– Jeśli was to interesuje, waszym nowym domem jest baza bunkrowa 3847. Jeszcze tydzień temu była to wysunięta stała pograniczna placówka. Nazywali ją Widokówka, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Teraz należy do nas. Nacieszcie się nią, póki możecie, bo nie zamierzam zostać tu nawet sekundy dłużej, niż będzie tego wymagała nasza misja. Na północnym wschodzie, na dnie krateru leży stara osada z instalacją wodociągową, nazywana Oazą. W tej chwili to kupa gruzów. Leży mniej więcej trzy kilometry stąd z kursem trzydzięści pięć stopni od nadajnika dowódczego. Nastawcie radionamierniki na te współrzędne. Kapitan Marz – tu spojrzała w stronę pilota, który, mrużąc oczy, machnął od niechcenia ręką – będzie nas osłaniał z powietrza i kierował.

– Osłaniał z powietrza? – odezwał się młody żołnierz, prawie dzieciak, nazwiskiem Sejak. – Desantowiec?

– Panie Sejak, Na Wiedźmie zainstalowano specjalny odbiornik, który pomoże nam zlokalizować rzecz, której szukamy. Czy coś się panu nie podoba?

Prawdopodobnie niewiele brakowało, żeby ton głosu porucznik Breanne pokrył pleksitenową szybę hełmu Sejaka warstwą lodu.

– Nie, pani porucznik.

– Znajdujemy nasz cel, zabieramy go i zmywamy się stąd. To ma być czysta i szybka robota. Kapral Smith-puun poprowadzi pierwszy oddział w vulturach, z Bowersem, Fu, Peachesem i Windom. Littlefield?

– Słucham, pani porucznik? – zahuczał Ardowi w hełmie głos Littlefielda, stojącego tuż obok.

– Bierzesz drugi oddział. To będzie Alley, Bernelli, Melnikov i Xiang i jako wsparcie broni ciężkiej firebaci: Cutter i Ekart.

Ardo starał się zapamiętać nazwiska członków jego oddziału. Nie znał Bernellego, Xiang ani Ekarta. Cutter nadal był dlań groźną niewiadomą. Jeśli natomiast potrzebowali

porządnego dowódcy, z Littlefieldem mogli się czuć pewniej.

– Tak jest, pani porucznik! – szczechnął stary żołnierz z zapalem.

Breanne jednak przestała już zwracać na niego uwagę.

– Jensen, ty jesteś szefem trzeciego oddziału. Masz Collinsa, Mellisha, Essona, M’butu i wsparcie firebata Wabowskiego.

– Tak jest – odpowiedział bez entuzjazmu Jensen.

Miejmy nadzieję, że facet lepiej walczy niż gada, pomyślał Ardo, bo wygląda, jakby miał za chwilę zasnąć na stojąco.

– Desantowiec zapewnia nam osłonę z góry, no i pomoc dodatkowych czujników, dopóki nie znajdziemy naszego celu. Wtedy się stąd zmywamy i wyfruwamy z planety. Jakies pytania?

To zabrzmiało zdecydowanie bardziej jak wyzwanie niż zachęta, ale Ardo nie mógł się powstrzymać. Wystąpił naprzód i zasalutował.

– Pani porucznik?

– Słucham, panie... Melkof, tak?

– Melnikov, pani porucznik. Proszę o wybaczenie.

– O co chcesz zapytać, Melnikov?

– Czego szukamy?

Breanne odwróciła wzrok i popatrzyła gdzieś w dal.

– Skrzynki, szeregowcu. Zwyczajnej skrzynki.

\* \* \*

Ardo czuł się wspaniale. Uwielbiał biegać w kombinezonie bojowym. To było takie łatwe, nie wymagało najmniejszego wysiłku. Kilometry uciekały mu pod nogami, a za nim i jego towarzyszami wiała się smuga łososiowego kurzu.

Przełączył wizjer hełmu na tryb nawigacyjny. Gdziekolwiek odwrócił głowę, wizjer nakładał na szybę mapę terenu z zaznaczonymi ważniejszymi punktami topograficznymi. Wbrew temu, co mówiła Breanne, Widokówka okazała się bardzo trafną nazwą. Głównym zadaniem tej placówki była obsługa górnej stacji pomp dostarczającej wodę do rur akweduktowych wychodzących z Oazy. W związku z tym ulokowano bazę na szczycie stromego urwiska zamykającego niewielki basen – pozostałość po ogromnym kraterze w kształcie wydłużonej misy. Brzegi krateru z biegiem czasu uległy erozji. Mapa na wyświetlaczu Arda pokazała na lewo masyw ostrych szczytów, zwany Zaporą, a niedaleko od nich pojedynczy czub o wstydliwie stosownej nazwie Sutek Molly. Dno krateru było skalistym pustkowiem, tak bardzo podobnym do całego świata Mar Sary. Ardowi jednak z jakiegoś powodu przypadło do gustu to surowe piękno.

Droga wiała się w dół stromego zbocza zygzakowatymi trawersami. Ardo uśmiechnął się na myśl, jak miejscowi cywile musieli powoli i mozolnie pokonywać ten zdradliwy szlak,

zanim dotarli na dno doliny. Marines nie mieli tego rodzaju kłopotów. Lekceważąc ścieżkę, pognali prosto na sam dół. Kombinezony bojowe mogły przyjmować na siebie znacznie poważniejsze obciążenia niż koziołkowanie po skalistym stoku, a żołnierze, którzy je nosili – pomyślał Ardo nie bez satysfakcji – byli ulepieni z jeszcze twardszej gliny niż to, co mieli na sobie.

*Pycha... – To był głos ojca. – Duma wzbiera w duszy tuż przed upadkiem...*

Ardo zmarszczył brwi. Poczuł, że potworny ból głowy może lada chwila wrócić. Lepiej nie myśleć o tamtych sprawach i skupić się na zadaniu.

Po prawej stronie poszybowały cztery vultury pierwszego oddziału. W normalnej sytuacji pluton wzmacniałyby czołgi obłąźnicze albo nawet ze dwa goliaty. Ardo podejrzewał, że pierwszy oddział przyjechał tu, licząc na ten ciężki sprzęt. Tymczasem spotkało ich srogie rozczarowanie. Dostali tylko napowietrzne motocykle, które niedawno „sprzątnięto” miejscowej milicji. Były lekkie, szybkie, zwrotne i zapewniały pasażerom równie skuteczną osłonę, co papierowy kapelusz. Dowódca oddziału, kapral Smith-puun miał spore trudności z powstrzymaniem swych zmechanizowanych żołnierzy, aby mogły za nimi nadążyć dwie pozostałe drużyny, tupiące pracowicie po dnie doliny.

Trzeci oddział stanowił lewe skrzydło, zaś usytuowana w środku grupa Arda wyznaczała kurs dla całego plutonu.

Biegli w szeregu. Ściany krateru zaczęły stopniowo przechodzić w płaską równinę. W górze ryczały silniki Wiedźmy Walkirii. Dysze statku wzbijały nieprzeniknioną ścianę kurzu, która ciągnęła się za kłębami pyłu pozostawionego przez oddziały naziemne.

Porucznik Breanne biegła lekko za trzecim oddziałem. Ardo stwierdził to z niejakim zdziwieniem. Sądził, że pani porucznik zostanie na pokładzie desantowca i z góry będzie nadzorować całe przedstawienie. Służył w życiu pod wieloma dowódcami i wszyscy oni woleli dyrygować oddziałami z „tylnego siedzenia”, w komfortowej odległości od pola działań. Musiał przyznać, że notowania pani porucznik wzrosły u niego o kilka punktów.

Ziemia drżała z każdym krokiem Arda. Kombinezon tłoczył do płuc potężne dawki tlenu, dbając, aby jego właściciel był przez cały czas rześki, sprawny i gotowy do wypełnienia wszelkich obowiązków w imię Konfederacji.

Jesteśmy twardzi, myślał Ardo. Wszyscy tak mówią... chociaż nie mógł sobie przypomnieć, kto dokładnie tak mówił ani gdzie właściwie słyszał te słowa.

Wiedział tylko, że obrzeża Oazy przybliżają się z każdą sekundą i że lada chwila będzie mógł wymierzyć Zergom sprawiedliwość za to, co mu zrobiły.

\* \* \*

ZAPIS/KONKOM417/CZAS PRZEBIEGU OPERACJI (CPO) 00:04:23

POR – porucznik L.Z. Breanne, dowódca

3 ODDZIAŁY – 1: a-e (zmech/vult); 2: a-g (mar/gauss); 3: a-f (mar/gauss)

WSPARCIE – DS (desantowiec Wiedźma Walkiria/Tegis Marz, pilot)

POCZĄTEK:

POR/BREANNE: Dobra, żółtodzioby! Czas do pracy! Pierwszy oddział, chcę mieć dane z okrążenia.

1A/SMITH-PUUN: ... powtórzyć. Proszę powtórzyć.

POR/BREANNE: Pierwszy oddział... okrążyć Oazę i meldować!

1A/SMITH-PUUN: Dobra, mam to... Fu, bierz ją z lewej, wysoko, w zwartym szyku. Jak mnie jeszcze raz wkurzysz, to przysięgam, że cię kropnę!

1B/BOWERS: Tak jest, my też pana kochamy, kapralu!

POR/BREANNE: Drugi oddział, osłaniać trzeci na tej barykadzie.

2A/LITTLEFIELD: Już się robi! Naprzód!

POR/BREANNE: Trzeci oddział...

3B/WABOWSKI: Ale, droga pani, my już jesteśmy na miejscu!

POR/BREANNE:... ruszać i ocenić... Cutter! Albo będziesz czekał na moje rozkazy, albo rozwieszę sobie twoją skórę nad biurkiem!

3A/JENSEN: Zrozumiano, pani porucznik! Jesteśmy przy wyłomie.

CPO 00:04:24

3C/COLLINS: Hej, sierżancie, co to za świństwo? Jest tu wszędzie na ziemi!

3B/WABOWSKI: To gówno Zergów! Rozsmarowują to na powierzchni, jak wyłażą na wierzch.

2E/ALLEY: Rany, co za obrzydlistwo! Wygląda na to, że te parchy zarzygały tym całe miasto!

2A/LITTLEFIELD: Zamknij się, Alley... i patrz, gdzie celujesz! Wymachujesz tą spluwą, jakbyś dyrygował paradą!

CPO 00:04:25

2E/ALLEY: Pilnuję im tyłów, sierżancie. Co tak portkami...

3A/JENSEN: Pani porucznik, tu Jensen. Jestem przy wyrwie. Dużo tu plechy. Gdzieś niedaleko Zergi muszą mieć kolonię.

1A/SMITH-PUUN: Pieprzenie... Pani porucznik, właśnie zamknęliśmy okrążenie, nie ma tu żadnej kolonii.

1B/BOWERS: Gadaj zdrów, Smith-puun.

3A/JENSEN: ... co chcesz, kapralu, ale to jest plecha zergańskiej kolonii. Ciągnie się wzdłuż głównej ulicy, od początku do końca, i wokół budynków. Tylko nie wiem, gdzie się zaczyna.

1A/SMITH-PUUN: To dlatego, że nigdzie się nie zaczyna, Jensen. Mówię ci, że...

CPO 00:04:26

POR/BREANNE: Skończcie już, Smith-puun. Jensen, jakiś kontakt?

3A/JENSEN: Tylko ta plecha. Nic więcej.



POR/BREANNE: Dobra. Marz, co u ciebie? Masz jakiś...

1A/SMITH-PUUN: Fu! Ostatni raz ci mówię, podnieś ten motor wyżej! Windom!  
Możesz łaskawie zewrzeć szereg? I uważajcie na akwedukty. Jedno uderzenie i  
będziecie mieć cały dzień zepsuty!

DS/WALKIRIA: Proszę powtórzyć, pani porucznik.

POR/BREANNE: Trafiłeś na jakiś ślad tego, czego szukamy?

CPO 00:04:26

DS/WALKIRIA: Nie, pani porucznik. Czujniki milczą. Na razie ani śladu. Myślę, że  
macie za dużo zakłóceń z budynków. Musicie...

1B/BOWERS: Czy to dla ciebie wystarczająco blisko, Smith-puun, czy mam ci wsiąść na  
motor?

POR/BREANNE: Zamknij się, Bowers! Marz, powtórz.

DS/WALKIRIA: Musicie podejść bliżej. Wyślij oddziały do miasta.

2E/ALLEY: Do środka? Chyba żartujecie!

POR/BREANNE: Zrozumiałam, Marz. Drugi oddział, naprzód. Trzeci oddział...

2A/LITTLEFIELD: Zrozumiałem... ruszamy naprzód.

POR/BREANNE:... i sprawdzić wschodnie budynki aż do...

3A/JENSEN: Proszę powtórzyć. Proszę powtórzyć!

POR/BREANNE: Mówiłam, żebyś rozproszył oddział i sprawdził wschodnie budynki aż  
do wieży transmisyjnej. Drugi oddział, wy...

1B/BOWERS: Tu nic nie ma, Smith-puun! Latamy tylko w kółko.

1A/SMITH-PUUN: No i ciesz się z tego, Bowers, bo gdyby tu coś było...

POR/BREANNE: Skończcie te pogawędki na kanale dowódczym! Drugi oddział,  
bierzecie zachodnią stronę. Obchodzicie teren między skraplaczami, a potem  
zataczacie koło do centrum administracji.

CPO 00:04:27

2A/LITTLEFIELD: Zrozumiałem. Już się robi. Sejk, idziecie z Mellishem sprawdzić  
skraplacze. Reszta ze mną.

3A/JENSEN: Słyszeliście panią porucznik. Ruszamy! Cutter, idziecie z Alleyem i  
Xiangiem główną ulicą. Ekart, ty jesteś z Melnikovem i Bernellim. Dochodzicie do  
końca ulicy, potem odbijacie na północ w stronę...

1D/PEACHES: Ej, Smith-puun! Widziałeś to?

1A/SMITH-PUUN: Windom, słyszałaś, co mówiła pani porucznik! Koniec gadek...

1D/PEACHES: Tam się coś rusza!

1A/SMITH-PUUN: Gdzie?

1B/BOWERS: Mówię ci, nic tam nie ma.

CPO 00:04:28

3D/MELLISH: Sierzancie? Czy po tym... pleśniowatym paskudztwie można chodzić?

3A/JENSEN: To jest plecha, Melnikov. Tak, możecie po tym chodzić. Wygląda, jakby było wilgotne, ale w rzeczywistości jest twardsze od waszych pancerzy.

2A/LITTLEFIELD: Ruszajcie z tymi czujnikami, panienki. Im szybciej znajdziemy to coś, tym szybciej wrócimy na karmienie.

1E/WINDOM: Peaches ma rację, panie kapralu. Tam się coś kręci.

1B/BOWERS: Masz zwiady, Windom!

1D/PEACHES: Nie, ja też to widzę! Tam w cieniu, koło wieży łącznościowej!

POR/BREANNE: Miejmy to już za sobą! Marz, co u ciebie?

CRM 00:04:29

DS/WALKIRIA: Na razie nic... Nie zatrzymujcie się.

2D/MELNIKOV: Hej, zdaje się, że coś mam...

POR/BREANNE: Melnikov... Co to jest?

2D/MELNIKOV: Sierzancie, myślę, że powinien pan na to spojrzeć.

2A/LITTLEFIELD: Gdzie jesteś, Melnikov?

CPO 00:04:30

2A/LITTLEFIELD: Melnikov, powtórz, gdzie jesteś?

POR/BREANNE: Littlefield, co się dzieje?

2A/LITTLEFIELD: Ekart, gdzie jest Melnikov?

2G/EKART: Nie jestem niańką dla niemowląt, sierzancie.

2A/LITTLEFIELD: Odpowiadaj, Ekart!

2G/EKART: Rany, był za mną minutę temu!

2A/LITTLEFIELD: Bernelli!

2C/BERNELLI: Jest za rogiem, sierzancie.

2A/LITTLEFIELD: Widzisz go?

2C/BERNELLI: Zaraz, jest tu... Hej, gdzie on polazł?

CPO 00:04:31

POR/BREANNE: Melnikov, zgłoś się!

CPO 00:04:32

POR/BREANNE: Melnikov! Zgłoś się!

## Rozdział 6

# W króliczej norze

Ardo spadał.

Czas przestał istnieć, lot w ciemność zdawał się nie mieć końca. Tylko hełm uderzający o ściany niewidzialnego szybu odmierzał swobodne spadanie. Ręce i nogi Arda wykręcały się niebezpiecznie, ale serwomechanizmy układu bezpieczeństwa w kombinezonie chroniły całe ciało przed poważniejszymi obrażeniami. I Ardo spadał coraz niżej i niżej, w nieprzeniknionej czarnej pustkę.

Wreszcie uderzył twarzą o podłoże, wzbijając wokół fontannę śmieci czy gruzu, które musiały zaścielać dno. Zautomatyzowane reakcje kombinezonu uratowały mu życie w czasie upadku, ale teraz ściany szybu zaczęły się kruszyć i zapadać, grzebiąc go głęboko w trzewiach tego obcego świata.

Wpadł w panikę. Wrzasnął na całe gardło, ale wołanie zabrzmiało słabo i głucho, chociaż głos odbił się o wewnętrzne ścianki hełmu. Zaczął machać rękami na oślep i kopać przedmioty, które spadały na niego w ciemności i toczyły się na ziemię. Dźwignął się niezdarnie na nogi, ale zrobił to za szybko i znów stracił równowagę. Poleciał w tył, wymachując w powietrzu rękami w poszukiwaniu oparcia, aż grzmotnął plecami o gładką ścianę. To mu pomogło wreszcie stanąć na drżących nogach. Oparł się o mur i z trudem chwytając powietrze, próbował odzyskać spokój.

Otaczała go całkowita, nieprzenikniona ciemność.

*„Weź głęboki oddech, Ardo”, mówiła matka z troską w oczach. „Nie mów nic, dopóki głęboko nie odetchniesz.”*

Ze świstem wessał w piersi powietrze.

– Melnikov do... Melnikov do... Cuttera! – Dopiero po chwili przypomniał sobie nazwisko. – Cutter... No dalej, Cutter! Zgłoś się!

W odpowiedzi usłyszał tylko ciche syczenie. Jeszcze raz niepewnie wciągnął powietrze.

– Ekart?... Bernelli?... Słyszycie mnie? Zgłoście się, Ekart! Bernelli! Wpadłem do

jakiegoś szybu przy...

Przy czym? Gdzie to było? Wyświetlacz przezierny w jego hełmie milczał. Wyświetlacz nawigacyjny pokazywał migający napis LOS, co oznaczało, że stracił sygnał z bazy.

Zaczął myśleć. Jak głęboko właściwie mógł spaść? Pamiętał, że szedł po piesze w stronę wieży, przeszukując wschodnią stronę ulicy.

Nagle zamarł. Plecha!

Odruchowo poderwał lufę gaussa. Sięgnął lewą ręką w tył, żeby wymacać ścianę za plecami. Rękawica ześlizgnęła się po śliskiej, żebrowanej powierzchni.

– Do diabła – sapnął.

Ze strachu oczy zrobiły mu się okrągłe. Chwycił karabin dwoma rękami i odepchnął się od ściany. Pochylił się lekko do przodu, tak jak go ćwiczono.

– Światło! Pełne spektrum!

Iluminatory w hełmie ożyły jasnym blaskiem.

Po lewej stronie z ciemności wyłonił się tunel wydrążony w kolonii spor. Zergling stał kilkanaście metrów w głąb korytarza. Obrócił się w kierunku światła w tej samej chwili, kiedy Ardo dostał odczyty. Długie żółtawe szpony śmignęły w powietrzu. Potwór odrzucił w tył obrzydliwy brązowy łeb i zaskrzeczał przeraźliwie.

Ardo nie miał ani chwili do namysłu. Trening. Odruch. Obrócił broń, gdy tymczasem wyświetlacze w hełmie przełączyły się automatycznie na tryb ofensywny.

Zergling wystrzelił w jego stronę. Mocne tylne kończyny, zakończone kostnymi wyrostkami nadawały mu niewiarygodną prędkość.

*Nie zabijaj*, wyszeptał głos w głowie Arda.

Ardo pochylił się na karabinie i pociągnął za spust.

Z lufy gaussa posypały się przeciwpiechotne naboje z częstotliwością trzydziestu pocisków na sekundę. Powietrze rozdarło piętnaście ogłuszających eksplozji.

Zwolnił spust. Krótkie serie. Trening.

Wszystkie pociski trafiły w cel, rozpruwając ciało zerglinga na wylot, rozpryskując po ścianach krwawą miazgę. Z dziur w klatce piersiowej lała się czarnozielona posoka, a jednak zergling nawet nie zwolnił kroku.

Dzieliło ich teraz dziesięć metrów.

Ardo znów nacisnął spust. Dłuższe serie – myśl wzięła się nie wiadomo skąd. W sparalizowanym umyśle wszystko co świadome zostało teraz zepchnięte na bok.

Znów zabrzmiał ogłuszający grzmot gaussa. Rejestratory smug w celowniku skorygowały trajektorię pocisków i skierowały ogień prosto w rozpędzoną ślepą furję. Na podłogę i ściany tunelu odprysły kawałki strzaskanego zergańskiego pancerza. Rozpędzonym cielskiem wstrząsał każdy strzał, z otwartych żył tryskała czarna krew.

Ardo znów puścił cyngiel.

Pięć metrów.

Zergling toczył pianę z pyska. Pod wpływem śmiertelnych ciosów zachwiał się, ale choć zdawało się to nieprawdopodobne, utrzymał się na nogach i gnał dalej.

Z niedowierzaniem i grozą Ardo jeszcze raz rozpaczliwie nacisnął spust. Karabin zareagował prawie natychmiast strumieniem rozżarzonego metalu, który przeszył ciało napastnika. Mimo to zergling parł dalej, nie zważając na grad bijących stalowych pocisków. W tym momencie samodyscyplina i żołnierska musztra ustąpiły miejsca pierwotnemu, zwierzęcemu instynktowi i z gardła wydarł się Ardowi nieprzytomny, dziki krzyk. Konfederacja przestała istnieć. Marines przestali istnieć. Został tylko człowiek – przyciśnięty plecami do ściany, walczący o życie.

Jeden metr.

Jak zahipnotyzowany Ardo obserwował odrażający pysk zbliżający się z każdym ułamkiem sekundy coraz bardziej.

Wtem terkot gaussa ustał, mimo że chłopak histerycznie przyciskał spust karabinu. Magazynek był pusty.

Gładki, cętkowany pysk zerglinga trzasnął w osłonę hełmu Arda. Czarne, bezduszne ślepia świeciły kilkanaście centymetrów od jego twarzy. Ardo nie mógł oderwać od nich oczu. Odruchowo, wbrew rozsądkowi potrząsał karabinem w nadziei, że broń jeszcze raz wystrzeli.

I nie mógł przestać krzyczeć.

Pysk zerglinga zsunął się powoli w dół po szybie hełmu, pierś uderzyła o wyciągniętą rękę Arda. Chłopak wzdrygnął się i odskoczył w tył od zmasakrowanego truchła. Drżącymi rękami odpiął pusty magazynek, wziął nowy, postukał nim o hełm, żeby otrząpać piasek – bardziej z nawyku niż z rzeczywistej potrzeby – i załadował karabin.

Błyskawicznie wymierzył w cielsko leżące u jego stóp. Prawie połowa pancerza zerglinga została odstrzelona. Jedna z kończyn leżała w korytarzu, kilka metrów dalej. Wokół, na ziemi rosła kałuża czarnej posoki.

A jednak stwór jeszcze oddychał.

*„Wszystkie stworzenia naszego Boga i króla”, śpiewała matka, „Wznieście głos i usłyszcie nasz śpiew...”*

Ardo zaczął się trząść jak w febrze.

*Miał dwanaście lat w szkółce niedzielnej. „Ci zaś, jak nierozumne zwierzęta, przeznaczone z natury na schwytanie i zagładę, wypowiadając bluźnierstwa na to, czego nie znają, podlegną właśnie takiej zagładzie, jak one...”*

*Dwunastoletniego chłopaka bardzo interesowały zwierzęta...*

Ciało zerglinga skręcało się w przedśmiertnych drgawkach. Mętne czarne ślepia wpatrywały się w Arda.

*„Potem Bóg rzekł: Niechaj się zaroją wody od roju istot żywych...”*

Nie mógł oddychać. Upuścił karabin i roztrzęsionymi dłońmi zaczął szarpać za uchwyty

hełmu. Przez chwilę mechanizm stawiał opór, aż wreszcie z cichym kliknięciem zamek odskoczył. Ardo otworzył hełm i osunął się na kolana.

Całe śniadanie wytrysnęło na podłogę kolonii spor. Oparł się na drżących rękach. Zwymiotował jeszcze raz i potem znowu.

Kiedy odbiło mu się dwukrotnie, poczuł, że zwrócił już wszystko. Dopiero wtedy uderzył go odór unoszący się wewnątrz szybu. To nie był smród wymiocin. Otarł rękę o kombinezon. Do specjalnego poszycia zbroi nie przywierał brud. Potem czym prędzej zatrzasnął hełm, żeby nie czuć odrażającego zapachu.

Spróbował wstać, ale był zbyt wyczerpany i słaby, żeby utrzymać się na nogach. Usiadł więc, oparł się o ścianę i podciągnął nogi pod pierś.

„*Nie zabijaj...*”

Zergling znieruchomiał. Ardo patrzył na zdychające stworzenie, myśląc, jak to możliwe, że odebrał życie... życie, którym mógł obdarzyć tylko Bóg.

Zabił.

„*Nie zabijaj...*”

Zaczął z cicha szlochać. Siedział skulony na dnie szybu zergańskiej kolonii i bujał się w tył i w przód.

Zabił. Nigdy dotąd nikogo nie zabił. Szkolono go, przygotowywano, ćwiczono, a nawet symulowano z nim zabijanie tyle razy, że nawet nie potrafiłby tego zliczyć, ale aż do tej chwili nigdy nie pozbawił życia żadnej istoty.

Matka wpajała mu, że zabijanie to grzech. Ojciec uczył go szanować wszelkie życie, ponieważ jest ono darem Boga. Gdzie są teraz jego rodzice? Gdzie jest ich wiara? Ich nadzieja? Martwe – tak jak oni sami na dalekiej planecie zwanej Bountiful. Zabiły ich te same bezrozumne szatańskie potwory – powiedział sobie Ardo, ale słowa brzmiały głucho i nieprzekonująco niczym wymówka od prawdy, jak mawiał ojciec.

„... *i wszelkiego rodzaju pływające istoty żywe, którymi zaroily się wody, oraz wszelkie ptactwo skrzydlate różnego rodzaju... I widział Bóg, że były dobre...*”

Ardo przycisnął kolana do piersi. Nie mógł myśleć.

W wizjerze zaczął migać wyświetlacz. Czujniki ruchu wykryły coś w głębi tunelu, ale umysł Arda popadł w całkowity bezwład i ignorował ostrzeżenie.

– Przepraszam, mamusiu – mamrotał Ardo przez łyzy. – Nie chciałem tego zrobić. Nie chciałem...

Nagle zatrzeszczał hełmofon.

„*Oko za oko... ząb za ząb...*”

Ardo jeszcze mocniej przycisnął kolana do piersi.

– ... dole... sierżancie!... tej dziury!

Trzaski zaczęły się układać w słowa. Niewiele z nich jednak docierało do Arda – strzępy rozmowy, która toczyła się gdzieś bardzo daleko stąd.

Wyświetlacz zlokalizował źródło ruchu i zaczął podawać aktualizacje odległości: sześćdziesiąt metrów i maleje.

– ... tym szybie.

Nagle dźwięki zabrzmiały wyraźniej. Jak przez mgłę Ardo rozpoznał głos Bernellego.

– Cholera! Musi być ze trzydzieści metrów. Hej, Melnikov!... jeszcze?

Ardo zamrugał i wziął głęboki, urywany oddech. Na wizjerze pokazało się kilka sygnałów o łączności. Ich liczba ciągle rosła.

– ... starej studni, sierżancie – trzeszczał głos w uszach Arda. – Plecha musiała zasłonić otwór. Stał na niej i zleciał. Chyba go widzę, ale nie odpowiada.

Czterdzieści metrów i maleje.

Mama nie żyje. Tata nie żyje. Melani nie żyje. Zostałem tylko ja. Tylko ja mogę o nich pamiętać, pomyślał Ardo.

Trzydzieści pięć metrów i maleje.

Podniósł głowę i daleko w górze zobaczył migające światła kombinezonu Bernellego.

Ktoś musi przeżyć.

– Tu jestem! – zawołał.

Podniósł z ziemi karabin, szybko wyciągnął zza pasa hakownicę i wetknął ją w lufę.

– Odsuńcie się! Leci hak!

– Hej, chłopie, już myśleliśmy, żeśmy cię stracili!

– Nie dzisiaj! – odkrzyknął.

Trzydzieści metrów i maleje.

Wystrzelił hakownicę w górę szybu. Z automatycznej wyciągarki przymocowanej na plecach do kombinezonu zaczęła się błyskawicznie rozwijać jednowłóknowa lina.

Włączył wyciągarkę i spojrzał w głąb tunelu. Na zapłakanej twarzy zamajaczył chłodny uśmiech, kiedy stopy Arda odrywały się od dna kolonii spor.

– Nie dzisiaj.

## Rozdział 7

# Uderz w stół

Ogromna dłoń Cuttera zagłębiła się w otworze i wyciągnęła Arda na powierzchnię. Ledwie chłopak wygramolił się z dziury, kiedy trzech żołnierze jednocześnie otworzyli ogień w głąb szybu.

– Sierzancie! – zawołał Alley głosem zdradzającym więcej emocji, niżby jego właściciel pragnął. – Wychodzą na górę! Cholera! Ile ich jest?!

– Nie stójcie tak, do diabła! Strzelać bez rozkazu! – zawołał Littlefield na kanale dowódczym.

– Chciałeś ich zgarnąć dla siebie, łajdaku? – warknął wyspiarz, napierając hełmem na hełm Arda. – Załatwić wszystkich samemu i zrobić z siebie bohatera, he?

– Zostaw dzieciaka, Cutter – powiedział ostro Littlefield. – Porucznik chce z nim gadać. Natychmiast. Alley, utrzymuj ogień zaporowy. Ekart, Xiang! Odłamkowe w tę dziurę, ale już! Bernelli, zakładasz ładunek. Załatwcie je, ale tak, żeby się więcej nie odważyły nawet myśleć o kopaniu tu nory. Jak skończycie, zabierajcie się stąd do biura administracji. Mieście oczy dookoła głowy. Skoro jest jedna kolonia, musi być ich więcej. Nie chcę, żeby mi skurczybyki wołały za plecami „A kuku!”. Jasne?

Żołnierze kiwnęli tylko głowami, wylewając w głąb szybu strumienie śmierci.

– Cutter, masz mieć oko na te szczeniaki i przyprowadzić je potem do mnie w jednym kawałku.

– Do diabła, sierzancie – zaprotestował Cutter. – Przez cały dzień nie usmażyłem ani jednego marnego Zerga!

Littlefield popatrzył na firebata uważnie. W oczach miał smutek, ale kiedy się odezwał, jego głos brzmiał wyraźnie i pewnie.

– Nie bój się, Cutter, będziesz miał ich jeszcze dzisiaj pod dostatkiem, tylko dla siebie. Będę potrzebował tych ludzi. Masz ich do mnie przyprowadzić, jasne?

– Jasne, sierzancie – prychnął Cutter. – Jak słońce.



Littlefield odwrócił się do Arda.

– Na jednej nodze, synu. Chodź!

I nie tracąc ani sekundy, ruszył biegiem, zostawiając młodego marine w tyle dobrych kilka metrów. Pędzili uliczkami Oazy. Wszędzie na ziemi płożyla się plecha. Ardo rozpaczliwie próbował dotrzymać sierżantowi kroku, ale nie mógł się pozbyć lęku, że krucha skorupa za chwilę znowu pęknie mu pod nogami, a on wpakuje się w sytuację jeszcze bardziej opłakaną niż poprzednio. Chociaż jednak lęk ten był silny, jeszcze silniejszy był głęboko zakorzeniony strach przed nieusłuchaniem rozkazu sierżanta.

Kanał taktyczny nie dawał pełnego obrazu sytuacji, ale to, co docierało do Arda, nie brzmiało optymistycznie.

– *Psiakrew, chłopie! To ich w ogóle nie powstrzymuje!*

– *Wal dalej odłamkowymi!*

– *Przecież walę! Już mi się prawie skończyły...*

– *Cofnijcie się, panienki! Czas, żebym w końcu i ja przysmażył sobie kilka Zergów!*

Cutter, pomyślał Ardo, skręcając w następną uliczkę i starając się ze wszystkich sił nadążyć za Littlefieldem.

Oaza była niewielką osadą. Niewiele też miała do zaoferowania swoim mieszkańcom poza pracą przy studniach i licznych stacjach pomp. Domy mieszkalne budowano z gotowych modułów konstrukcyjnych i wszystkie one odznaczały się jedną wspólną cechą – tymczasowością. W centrum osady mieściły się nieliczne sklepy, zaopatrujące tutejszych pracowników.

W każdym razie tak było kiedyś. Teraz całą centralną dzielnicę pokrywała zergańska plecha. Gdzieś tu musi być wykwit, pomyślał Ardo, ale nie miał czasu rozważać tego dłużej, bo coraz trudniej było mu nadążyć za Littlefieldem pędzącym przez labirynt chaotycznie rozmieszczonych budynków Oazy.

– *... to się porusza, sierżancie! Plecha się przemieszcza!*

– *Trzeba znaleźć wykwit. Jak się rozwali wykwit, plecha sama zniknie.*

– *Szukaliśmy go. Nigdzie go nie ma.*

– *Przelecimy jeszcze raz nad główną ulicą. Może go przeoczyliśmy.*

Cztery vultury przemknęły ze świstem w górze dokładnie w tej samej chwili, kiedy Ardo zobaczył przed sobą budynek administracji. Była to jedyna czteropiętrowa budowla w okolicy. Z jednej strony cała metalowa ściana została jakby oddarta i w tym miejscu ziała ogromna dziura. Trudno było odgadnąć, czy był to efekt wybuchu, czy dzieło jakichś niewyobrażalnie silnych rąk. Ardo nawet nie próbował tego dociekać.

Tak był zdumiony tym widokiem, że prawie wpadł na Littlefielda, który zatrzymał się nagle przed wejściem. Sierżant spojrzał zdysznanemu Ardowi w oczy i przełączył swój helmfon na łączność z wybranym członkiem oddziału. To, co miał powiedzieć, było przeznaczone tylko dla Arda.

– Synu, napytałeś sobie biedy, ale nie wpadaj w panikę. Przyjmij to, jak przystało na marine, a wszystko będzie dobrze. Rozumiesz?

Ardo skinął głową, chociaż było to absolutne kłamstwo. Miał w tej chwili poważny problem ze zrozumieniem czegokolwiek w ogóle.

– Tak jest, panie sierżancie.

Littlefield się uśmiechnął.

– W gruncie rzeczy i tak nie mogą ci zrobić wiele więcej ponad to, co i tak cię czeka w tej misji. Bądź grzeczny, nie odszczekuj się Breanne, a myślę, że uda ci się przeżyć i wrócić do mojego oddziału. Porucznik czeka na ciebie w kwaterze sztabowej.

To powiedziawszy, Littlefield obrzucił zbroję Arda szybkim spojrzeniem. Potem powiedział z uśmiechem:

– Szkoda, że nie mamy czasu, żeby cię najpierw porządnie zmyć. Będziesz śmierdział pani porucznik nieprzeciętnie.

\* \* \*

Mogli przynajmniej uprzątnąć ciała, pomyślał Ardo, wchodząc po schodach.

Kwatera sztabowa mieściła się na samej górze czteropiętrowego budynku administracji. Okna, w których po szybach zostały tylko okruchy szkła, wychodziły na osadę. Był to prawdopodobnie ostatni szaniec kolonistów. Tej bitwy nie przeżył nikt, kto mógłby pogrzebać poległych.

To było kilka dni temu. Marines dali Zergom porządny wycisk, kiedy przylecieli do Widokówki. Intel nazwał to eksterminacją. Uważali, że w Oazie zostały tylko szczątkowe siły Zergów. Mimo to nikt w dowództwie nie uznał za stosowne wrócić tu i złożyć hołd dzielnym obrońcom. Przecież i tak nie żyli.

Kwatera sztabowa również porządnie ucierpiała. Kilku marines z drugiego oddziału pracowało właśnie nad stemplowaniem wyrwy w murze. Światło ręcznych spawarek spowijało poszarzałe wnętrza w upiornym biało-niebieskim półmroku. Na środku porucznik Breanne, odwrócona tyłem do wejścia, pochylała się nad ekranem mapowym. Obok niej leżał hełm bojowy, który zdjęła, aby skoncentrować się na odczytach.

Ardo nadal słyszał jej głos na kanale taktycznym.

– *Trzeci oddział, idźcie dalej na północ aż do wieży, potem wycofajcie się do sztabu.*

– *Mam jakiś ruch na wyświetlaczu! Coś się zbliża!*

– *Zamknij się, człowieku! Wszyscy mamy ruch na wyświetlaczach... wszędzie. One wylażą spod ziemi!*

– *Naprzód! Nie zatrzymywać się!*

Sierżant Littlefield odpiął hełm i szybkim ruchem wsunął go pod pachę.

– Pani porucznik, melduję się zgodnie z rozkazem.

Breanne zaczęła się odwracać w stronę przybyłych.

W tym momencie Ardo odzyskał dość przytomności umysłu, żeby błyskawicznie zdjąć własny hełm i zsalutować.

Unosił się tu bardziej znajomy zapach niż ten, który Ardo poczuł w tunelu spor, ale może właśnie dlatego wywoływał jeszcze silniejsze nudności.

Głos porucznik Breanne był lodowaty.

– Szeregowy... Melnikov, prawda? Jak to miło z waszej strony, że w końcu raczyliście posłuchać rozkazu. – Rzuciła szybkie spojrzenie na Littlefielda. – Jak pan myśli, sierzancie, czy w ogóle warto zadawać sobie trud dla takiego rozpuszkowanego gołowasa?

– Pani porucznik... proszę o pozwolenie...

Ardo zerknął na sierżanta. Zdawało się, że w kąciku ust starego żołnierza zaigrał uśmiech.

– Wątpię! – szczeknęła Breanne. – Szeregowy, wystąp!

Ardo wpadł w panikę. Cały czas salutował i nie wolno mu było się ruszyć, dopóki oficer mu nie odsalutuje. Tymczasem właśnie rozkazano mu wystąpić. Coś mu się zacięło w mózgu. Stał jak wrośnięty w ziemię i nie był w stanie zrobić nic innego, jak tylko oblewać się potem i dalej salutować.

Porucznik Breanne chyba nagle zrozumiała sytuację. Zaklęła pod nosem i odsalutowała od niechcenia.

Ardo z ulgą opuścił rękę i zrobił krok do przodu. Wzdrygnął się, przestępując nad martwym korpusem bez głowy. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy było to ciało kobiety, czy mężczyzny. I wcale nie chciał się dowiedzieć. Wlepił wzrok w porucznik Breanne i zmusił się, żeby nie patrzeć w dół.

– Panie Melnikov! Czy nie wydałam jednoznacznego rozkazu, żeby w czasie tej operacji nie otwierać ognia?

Było to jasne pytanie i Ardo mógł tylko odpowiedzieć bez namysłu.

– Tak jest, pani porucznik! Był rozkaz!

– Czy nie mówiłam wyraźnie, że to jest misja rozpoznawcza i interwencyjna?

– Tak jest, pani porucznik! Bardzo wyraźnie!

Porucznik Breanne przysunęła do niego twarz tak blisko, że Ardo poczuł się nieswojo. Jej głos zmroził go od stóp do głów.

– W takim razie, dlaczego nie posłuchaliście rozkazu, żołnierzu?

Ardo przełknął ślinę.

– Spadłem na dół, pani porucznik. Tam był Zerg... – zająknął się, bo w jednej chwili stanęła mu przed oczami tamta scena. Spuścił oczy ze wstydem. – Zabiłem go...

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Ardo wpił wzrok w jej szpiczasty nos.

– Uważasz, że po to tu jesteśmy? Żeby zabijać Zergi?

– Tak jest, pani porucznik! Żeby posłać je do wszystkich diabłów!

Breanne wzniosła oczy do nieba i odwróciła się z wściekłością.

– Słyszysz, Littlefield? Nie do wiary! Oto nasz nowy marine! Resocjalizacja neuralna! Żołnierze z foremek! Wycisnąć ich ze zbiorników jak piernikowe żołnierzyki, nakręcić i wysłać na śmierć!

Littlefield zaśmiał się niewesoło.

– No cóż, to na pewno znacznie szybsza metoda niż poprzednie. Czyli postęp.

– Boże, strzeż nas przed postępowaniem – westchnęła Breanne i znowu obróciła na Arda stalowe oczy. – Panie Melnikov, pozwól, że cię oświecę staromodną metodą. Nie przylecieliśmy tu po to, żeby zabijać Zergi.

Ardo był zbity z tropu.

– Nie, pani porucznik?

– Nie. Jesteśmy tu po to, żeby je powstrzymać, a to zupełnie co innego. Te bezłuskowe pociski nabijane stałą, którymi tak pieczołowicie załadowaliście dziś rano swoje karabiny szturmowe, nie zostały zaprojektowane, żeby zabijać. One mają tylko kaleczyć.

– Nie rozumiem, pani porucznik.

– Jeśli zabijesz przeciwnika na polu bitwy, możesz go tam zostawić. Myszołowy się nim zajmą. – Breanne zatoczyła ręką koło po pokoju. – Rozejrzyj się. Nic nie mogliśmy zrobić dla zmarłych. Otaczamy ich czcią, kiedy możemy, ale w środku bitwy, kiedy na pomoc jest już za późno, przestają być obiektem naszego zainteresowania. Rozumiesz?

– Tak... jest, pani porucznik, ale...

– Nie ma żadnego „ale”! Jeśli okaleczysz wroga na polu bitwy, zaangażujesz czterech jego towarzyszy, którzy go będą odciągać na bok, i jeszcze więcej tych, którzy będą go łątać i pielęgnować. Zabijasz wroga – zmniejszasz liczebność przeciwników o jednego, kaleczysz go – zmniejszasz ich siłę o dziesięciu. Czy cokolwiek z tego, co mówię, przesiąka przez ten wasz twardy, zresocjalizowany mózg, szeregowy Melnikov?

Ardo myślał przez chwilę.

– Tak jest, pani porucznik.

– Więc może następnym razem dołożycie więcej starań, żeby wypełniać moje rozkazy co do joty?

– Tak jest, pani porucznik... ale...

Oczy Breanne zwężyły się niebezpiecznie.

– Czyżbyście chcieli jeszcze coś powiedzieć?

Ardo przełknął ślinę.

– Za pozwoleniem, pani porucznik, ale... czy pani sugeruje, że byłoby lepiej, żebym zginął na dnie tej studni?

Breanne wciągnęła głęboko powietrze i wstrzymała oddech. Przez usta przemknął jej zjadliwy uśmiech.

– No, no, no! Marine, który myśli. Jakież to pokrzepiające! Jest jeszcze dla ciebie

nadzieja, Melnikov...

– *Pani porucznik! Zdaje się, że coś znaleźliśmy!*

– *Tu Marz. Mają coś na jednym ze skanerów.*

– *Chyba znalazłem to, czego szukamy!*

Breanne obróciła się na pięcie do mapy.

– *Gdzie?*

– *W jednym z tych prefabrykowanych budynków... chyba w piwnicy.*

– *Rany boskie! Ziemia pode mną pęka!*

– *Coś się rusza!*

– *Gdzie?*

– *Wszędzie!*

– *Cutter!* – zawołała Breanne. – *Bierzcie skrzynkę! Marz! Oni są... cholera... sektor trzydzieści sześć, punkt cztery-siedemnaście. Zabierz ich stamtąd!*

– *Będą łatwym celem, jeśli po nich polecę! Sprowadźcie ich do sztabu, a ja zabiorę stamtąd was wszystkich.*

– *Kapitanie Marz, w tej chwili bierz to swoje pudło i leć po moich ludzi!*

– *Pani porucznik, tam nie ma gdzie wylądować, a jeśli wykorzystam teren eksploatacyjny Zergów, nasi ludzie utkną na kilka sekund w polu unieruchamiającym. To zawiązką wystarczy, żeby te potwory zabiły ich na miejscu.*

– *Cudownie!*

Breanne skinęła ręką na Littlefielda. Sierżant podszedł do niej i zaczął coś pokazywać na mapie.

– *Drugi oddział, bierzcie urządzenie. Pierwszy, potrzebuję osłony z powietrza dla drugiego oddziału w trzydziestym siódmym sektorze, punkt cztery-siedemnaście!*

– *Człowieku! Czy ona mówi o nas?*

– *Słyszałeś panią porucznik, już po... jasna cholera! A skąd one się tu wzięły?*

– *Psiakrew! Widzę jedną zbitą ścianę tego ścierwa!*

– *Raczej dywan! Skąd one wylądają?*

– *Trzeci oddział!* – ciągnęła Breanne. – *Ogień osłonowy z sektora trzydzieści cztery, punkt cztery-szesnaście na trzydziesty szósty, cztery-szesnaście. Utrzymać otwarty korytarz, a potem wycofać się do kwatery sztabowej!*

– *Proszę powtórzyć!*

– *Powiedziałam: utrzymać korytarz, a potem wycofać się z drugim oddziałem do kwatery sztabu. Będziemy stąd odlatywać.*

Porucznik Breanne odwróciła się do Arda.

– *Ty to rozpętałeś, Melnikov. Idź teraz ratować, co się da. Dołącz do trzeciego oddziału i postaraj się ściągnąć tu ludzi ze swojej drużyny, w miarę możliwości w jednym kawałku.*

Odwróciła się tyłem do mapy.

– Chyba możemy to sobie powiedzieć jasno: teraz już wiemy, że tu jesteśmy.

## Rozdział 8

# Widziadło

Ardo pędził po schodach, przeskakując nad ciałami. W końcu wypadł do głównego holu na parterze, gdzie Wabowski z drugim firebatem ładowali właśnie swoje plazmowe miotacze płomieni. Mellish i Esson nerwowo obracali w rękach gaussy, ale najbardziej ze wszystkich zdenerwowany był Sejak.

– Gdzie jest Jensen? – zapytał Ardo.

– Poszedł szukać M’butu – odparł Sejak, oblizując wargi. – Powiedział, że wróci... do diabła, już dawno powinien być z powrotem.

– Mówię wam, chodźmy go poszukać – burknął Wabowski.

– A ja mówię, słuchajmy rozkazów – uciął Littlefield, który właśnie schodził ze schodów.

– Pani porucznik wie, co robi. Dostaliście rozkaz, koniec dyskusji. Wykonać! Za mną!

To powiedziawszy, uniósł karabin szturmowy i wyszedł przez strzaskane drzwi na dwór. Żołnierze z przerzedzonego oddziału trzeciego popatrzyli po sobie niepewnie, po czym ruszyli biegiem za sierżantem.

Wiatr nie ustawał ani na moment, gorące porywy z północnego wschodu wzbijały tumany kurzu i gnały je nad plechą pokrywającą główny plac osady. Ardo wzdrygnął się, kiedy ruszyli po tym organicznym dywanie. Na kanale dowódczym cały czas słyszeli Cuttera oraz resztę pierwszego i drugiego oddziału – bezcielesne głosy walczące o przetrwanie gdzieś między murami budynków otaczających rynek Oazy.

– *Naprzód! Ruszać się!*

– *Bowers? Bowers! Gdzie, do diabła...*

– *Bowers nie żyje!*

– *Fu! Peaches! Ruszcie tyłki! No już!*

– *Cholera! Sierżancie! Dostałem! Dostałem! Motor mi spada! Pomóżcie! O Boże... zaraz mnie dopadną! Nie dajcie im...*

Głos Littlefielda, który stał tuż obok nich, zagrzemiał w hełmofonach i zagłuszył

wszystkie inne, topiąc je w tle.

– Sejak! Mellish! Wy dwaj zajmujecie skrzydłowe pozycje na placu i macie je utrzymać. Wabowski z resztą oddziału idzie ze mną jako tylna szpica. I żeby mi się mysz nie prześliznęła za plecami!

Ardo ruszył bez słowa, chociaż trząśł się cały w środku kombinezonu. Zerkał nerwowo na boki, ale szedł dalej, posłuszny wpojonej dyscyplinie. Stłumiony i głęboko pogrzebany instynkt szeptał mu, żeby rzucić się do ucieczki w przeciwnym kierunku i biec ile sił w opancerzonych nogach, ale musztra i wojskowa rutyna trzymały te zwierzęce odruchy pod kontrolą.

– *Do diabła, Alley, złaż mi z drogi!*

– *Cutter, tu jest całe, pieprzone morze Zergów!*

– *Nie zatrzymuj się! Pilnuj tego pudła, Ekart, bo przysięgam, że będziesz po nie wracał, choćbyś musiał wleźć w sam środek kolonii! Ruszaj się!*

Po lewej stronie Arda szedł Wabowski z dwoma zbiornikami plazmy przymocowanymi na plecach do kombinezonu. Dalej, od lewej strony ubezpieczał Wabowskiego Esson, a z tyłu – chociaż Ardo widział to tylko na wyświetlaczu wizjera – M’butu. Posuwali się przez plac w klasycznym szyku oskrzydłającym firebata, ale nikt z nich nie zastanawiał się nad tym nawet przez moment, podobnie jak nikt się nie zastanawia, jak ma oddychać. Wszystko odbywało się według instrukcji, wszyscy postępowali zgodnie z regulaminem.

W takim razie, dlaczego się trzęsę? – zapytał siebie Ardo.

– *Do diabła, one są wszędzie! Skąd one się biorą?*

– *Nie zatrzymuj się, szczeniaku!*

Doszli na drugi koniec placu, gdzie w poprzek ulicy, między dwoma budynkami stała wzniesiona barykada. Najwyraźniej do jej budowy mieszkańcy miasta użyli wszystkiego, co znaleźli pod ręką. Główny szkielet stanowiły dwie ciężkie ładowarki i zautomatyzowana koparka rowów, potem jednak do wzmocnienia szańca posłużyło im wszystko, co było w zasięgu – biurka, łóżka, kamienie, fragmenty ukruszonych murów. W akcie desperacji ktoś rzucił na stertę nawet dziecięce rowerki. Sądząc z wyglądu rozszarpanych ciał, wysiłki obrońców mogły im zyskać jakieś półtorej minuty życia.

Ardo zadygotał gwałtownie i przeraził się, że inni usłyszą, jak dzwonią mu zęby. Skoncentrował się na tym, co mówiła porucznik Breanne. *Kiedy na pomoc jest już za późno, przestają być obiektem naszego zainteresowania.* Mimo to Ardo czuł się zażenowany. Odwrócił wzrok.

Littlefield nie zauważył jego rozterki. Przeszukiwał wschodnią ulicę, która wiała się między domami. Właściwie nazywanie tego ulicą było grubym nadużyciem. Przypominało raczej tunel poskręcany w męczarniach między modułowymi budynkami.

– Tam są – powiedział sierżant, wskazując ręką na wschód.

Ardo wyteżył wzrok w tamtym kierunku. Za gęstą zasłoną czerwonego pyłu



rzeczywiście coś się poruszało, ale trudno było powiedzieć, co to może być. Wiatr się wzmagał wraz z zapadaniem zmierzchu i wszechobecne drobinki rdzawego piasku przesłaniały widok jeszcze bardziej niż rankiem. Głosy w słuchawkach przybrały jednak na sile i stały się wyraźniejsze. Cutter posuwał się naprzód, ale czy to wystarczy?

– M’butu! Esson! – Głos Littlefielda był spokojny i rzeczowy, jakby mówił: zaczynamy kolejny dzień w biurze. – Pilnujcie obu stron barykady. Ogień krzyżowy wzdłuż ulicy. Melnikov!

Na dźwięk swego nazwiska Ardo podniósł wzrok.

– Ty i Wabowski idziecie ze mną. Musimy ich stamtąd wyciągnąć.

I nie czekając na odpowiedź, puścił broń i zaczął się wdrapywać na barykadę.

Tymczasem Ardo nie mógł się ruszyć z miejsca. Kombinezon sierżanta zaczął ginać mu z oczu w kłębach wirującego pyłu, a mózg Arda utknął w martwym punkcie i nie mógł zrobić żadnego kroku – ani w przód, ani wstecz.

Nagle coś go grzmotnęło w plecy z całej siły, aż poleciał przed siebie na ziemię.

– Dalej, Melnikov! – fuknął Wabowski. – Rusz dupę! To jest akcja ratunkowa, pamiętasz?

Obuta noga Wabowskiego wyrwała Arda z otępienia. Obaj błyskawicznie wdrapali się na barykadę i zbiegli po drugiej stronie. Ardo starał się ubezpieczać jednocześnie ledwie widocznego Littlefielda z przodu i firebata Wabowskiego z tyłu.

– Na lewo! – wrzasnął nagle Wabowski.

Ardo obrócił się błyskawicznie i przykucnął.

Wzdłuż budynku po lewej stronie pędziło z niewiarygodną prędkością kilka Zergów. Wyglądało to tak, jakby na ten zбитy kłęb mięśni nie działała siła ciężenia. W tej samej chwili, kiedy Ardo zdołał się zorientować, co się dzieje, pierwszy z napastników odbił się od ściany i poszybował w jego stronę.

Ardo bez namysłu nacisnął spust. Grad pocisków uderzył zerglinga w locie, powstrzymał impet skoku i przyszpilił zwierzę do ściany. Pozostałe stwory przyczaiły się pod murem i szykowały do ataku.

Nagle ścianę budynku razem z rozjuszonymi Zergami pochłonął słup ognia. Ardo obrócił się na pięcie i zobaczył Wabowskiego, uśmiechniętego od ucha do ucha, zalewającego ścianę domu strumieniem plazmowych płomieni.

I zobaczył coś jeszcze – szczyt dachu za plecami firebata uwieńczony, niczym koroną, sznurem przyczajonych zerglingów.

– Z tyłu! – zawołał, a własny głos zabrzmiał mu w uszach piskliwie.

Gauss zaterkotał Ardowi w rękach i wyciął w krawędzi dachu długi, ząbkowany szlaczek. Kilka Zergów zważyło się ciężko na ziemię. Jeszcze w powietrzu krwiożercze stwory wymachiwały zawzięcie pazurami, próbując osiągnąć upragnionego łupu.

To my jesteśmy ich łupem, pomyślał Ardo. Obserwował, jak uśmiech na twarzy

Wabowskiego zastygł w ponurym grymasie. Za plecami Arda błyskały wybuchy rozżarzonej plazmy.

– Trzymaj je z dala ode mnie, bracie – wycedził Wabowski. – Jestem tu trochę zajęty.

W jednej chwili odrażające czarne sylwetki wyrosły dosłownie na wszystkich dachach wzdłuż ulicy. Ardo przypomniał sobie, jak kiedyś na farmie ojca kopnął w ogromne mrowisko. Po sekundzie, nie wiadomo jak i skąd, cała ziemia wokół niego zaroiła się od mrówek.

Teraz też kopnąłem w mrowisko, pomyślał.

Nagle zamilkł jego gauss. Zautomatyzowanym ruchem Ardo wyrzucił magazynek, postukał nowym zasobnikiem o hełm i załadował karabin. Ułamek sekundy później naciskał już spust, strącając jedna za drugą kolejne fale Zergów. Zestrzelone zerglingi spadały z południowych dachów jak ciężkie krople deszczu.

– *Do diabła, ile jeszcze mamy do przejścia?*

– *Nie uda nam się, Cutter!*

– *Zamknij się! Idź dalej!*

– Atakują nas! – powiedział Wabowski rzeczowo, ale w jego głosie czuć było napięcie. – Littlefield, jeśli masz zamiar coś zrobić, to to jest najlepszy moment!

– *Mam ich, Wabowski. Będziemy u was za minutę!*

Ardowi wyczerpał się drugi magazynek. Pot ciekł mu po twarzy pomimo włączonego chłodzenia w kombinezonie. Wyrzucił pusty zasobnik i załadował trzeci, prawie jednocześnie naciskając spust. Strzaskane, zmasakrowane ciała Zergów spadały na sterty, ale sterty te piętrzyły się coraz bliżej niego, ruszały się, drapały pazurami ziemię i dyszały żądzą krwi.

Tymczasem na okap najbliższego dachu wbiegały nowe zerglingi. Ardo mógł sobie tylko wyobrazić, z czym się zmagają Wabowski za jego plecami.

Gauss zrobił się ciepły. Rzecz jasna kombinezon bojowy chronił dłonie żołnierza przed poparzeniem, skoro więc przez rękawice przeniknęło ciepło rozgrzanego karabinu, znaczyło to, że broń może się w każdej chwili zaciąć.

– *Zergi w polu rażenia.* – To był głos Mellisha. – *Strefa ogniowa na placu. Przydałaby się pomoc.*

Nagle w stercie ciał piętrzących się u stóp Arda jeden z zerglingów machnął łapą i ostrymi pazurami prawie dosięgnął jego nogi. Ardo odskoczył w tył i odruchowo puścił w dół krótką serię. Po chwili szponiasta kończyzna leżała obok bezwładnie, odstrzelona od reszty ciała.

Ardo podniósł głowę i zobaczył nad sobą następne zerglingi skaczące na niego z dachu.

Nie zdążyły jednak spaść na swoją ofiarę, bo właśnie w tym momencie grad pocisków i struga ognia z lewej strony unicestwiły je w locie.

– *Z drogi, mały* – powiedział Cutter.

Ogromna zwalista postać w kombinezonie firebata przemknęła Ardowi przed oczami. Na

ramieniu Wyspiarza wisiał przerzucony człowiek w cywilnym ubraniu. Jedną ręką Cutter przytrzymał sobie ciężar, drugą obsługiwał ciężki plazmowy miotacz ognia. Biegając, wykrzykiwał komendy.

– Naprzód! Nie zatrzymywać się!

Za nim biegli Littlefield i Xiang z metalową skrzynką, i Bernelli, który strzelał z gaussa na prawo i lewo, czasem do rzeczywistych celów, czasem do urojonych.

– Melnikov, zostań tu i powstrzymuj ich! – zawołał sierżant, mijając Arda.

Skrzynia musiała być ciężka, bo Littlefield i Xiang biegli powoli.

– Jesteśmy prawie na miejscu! Wabowski, musisz nam zyskać na czasie. To rozkaz.

Ardo odwrócił się i spojrział na wschód. Ulicą przewalała się fala Zergów najeżona śmiertcionośnymi szponami i rycząca ślepą nienawiścią.

Idąc po mnie, pomyślał gorączkowo Ardo. Skądś wiedzą, że wymknąłem im się dwukrotnie i teraz żądają mojej krwi.

Odwrócił się i puścił pędem przed siebie.

Wabowski tymczasem dalej orał ściany budynków strumieniem płonącej plazmy, nieświadom, że Ardo zostawił go samego.

Napastnicy przyczajeni na dachu skoczyli w dół.

Ardo odwrócił się na odgłos krzyku. Zergi wytrąciły Wabowskiemu z ręki lufę miotacza i wściekle targały pazurami skafander firebata. Były jednak za mądre, żeby to robić na ślepo. Starannie wybierały słabe miejsca kombinezonu. Za chwile rozedrą go na strzępy, wyłuskają krzyżącego żołnierza i...

*Trzy hydryliski złapały Melani jednocześnie i zaczęły je odciągać na bok.*

– Ardo, błagam! – łkała. – Nie zostawiaj mnie samej!

Ardo uniósł broń i posłał serię pocisków przebijających prosto w zbiorniki plazmowe na plecach Wabowskiego.

Nawet w sprzyjających warunkach kombinezony firebatów były niebezpiecznymi urządzeniami. Kiedy pociski przebiły osłony zbiorników, Wabowski eksplodował monstrualną kulą ognia, która ogarnęła najbliższe budynki i pochłonęła Zergi czyhające tam na łup. Kłęby płomieni popęzły między domami i w wąskiej uliczce rozprzestrzeniające się piekło ruszyło prosto na Arda.

## Rozdział 9

# Odwrót

– Melnikov!

Ardo odwrócił się na dźwięk swojego nazwiska w trzeszczących głośnikach hełmofonu.

– No, dalej, żołnierzu! Melnikov, do cholery! Odpowiadaj!

Kłęb ognia szalał za jego plecami, połykając wąską przestrzeń między liniami budynków. Ardo czuł potęgę i nienasycony głód żywności. Rzucił się pędem w stronę barykady. Krętą uliczkę zalewało jaskrawe światło zbliżających się płomieni.

Stopy miał jak z ołowiu. Ręce i nogi poruszały się rozpaczliwie wolno. Czas działał przeciwko niemu. Próbował wołać o pomoc, ale z gardła wydobyły mu się tylko zniekształcone i niespójne dźwięki.

Nagle pochłonęła go jasność. W hełmie powstał nieopisany zamęt. W jednej chwili włączyło się co najmniej pięć alarmów, ale Ardo nie miał czasu zwracać na nie uwagę. Płynął przez jaskrawe morze płomieni i żaru. Serwomechanizmy kombinezonu osiągnęły punkt krytyczny, aby przeciwdziałać impetowi wybuchu i utrzymać członki Arda na swoim miejscu. System wewnętrznego chłodzenia nie mógł już zrównoważyć żaru ognia i Ardo, koziołkując przez płomień, czuł, jak elastosiatka podkombinezonu pali mu skórę. We wszechogarniającej panice stracił wszelkie poczucie góry, dołu, przodu i tyłu.

Wtem runął z nieba. Ziemia spadła na niego z dołu i cisnęła jego głowę o ściankę hełmu. Leżał oszołomiony, ale czuł, jakby dalej leciał przez pył i piach, które przesłoniły mu widok. Nie ruszał się. Widział, jak strumyk krwi spływa po pleksitenowej szybce i powoli zbiera się w kałużę.

Poderwał się gwałtownie. Krew rozchlapała się po twarzy i hełmie. Nieopodal Littlefield mocował się z nieporęczną metalową skrzynką, ciągnąc ją za sobą w tył. Ardo zastanawiał się mętnie, co się stało z Xiangiem, który jeszcze przed chwilą pomagał sierżantowi taszczyć ciężar. Gauss Littlefielda nie przestawał terkotać i pluć śmiercionośnymi strumieniami. Wszyscy inni członkowie oddziału też się wycofywali od barykady.

– Ruszać się! Ruszać się! – wrzeszczał Littlefield, chociaż wszyscy słyszeli go w hełmofonach doskonale.

Ardo zrobił niepewnie kilka kroków. Obok niego sierżant obrócił się błyskawicznie na pięcie i odruchowo przycisnął broń do boku. Na mgnienie oka twarz starego żołnierza wykrzywił grymas strachu i determinacji. Ardo stał, chwiejąc się na nogach i podświadomie czekając, aż sierżant skosi go na miejscu. Na szczęście Littlefield powstrzymał palec na spuście na tyle długo, żeby zrozumieć, kto przed nim stoi.

– Do diabła, Melnikov! Twarda z ciebie sztuka! – zawołał, wybuchając nerwowym śmiechem. Potem odwrócił się w stronę barykady. – Wycofać się! Słyszycie? Wycofać się natychmiast!

Piekło rozpętane przez eksplozję Wabowskiego szalało w uliczce po drugiej stronie barykady, blokując drogę napastnikom. Tu i ówdzie jednak kilka grup zdołało jakimś cudem przedrzeć się przez szalejące płomienie. Cutter, górując w swoim kombinezonie firebata nad całą resztą oddziału, bez ustanku pompował krótkie strumienie plazmy w Zergi, które wciąż na nowo próbowały szturmować barykadę. Ardo patrzył z niedowierzaniem. Olbrzym jedną ręką raził z miotacza, drugą zaś cały czas przytrzymywał ocalonego cywila, który zwiślał mu na ramieniu jak wielka kukła.

– To działa – wyszeptał bardziej do siebie niż do Littlefielda, który stał obok niego. – Powstrzymaliśmy ich.

– Aha, jak cholera – burknął sierżant. – To przebiegłe gady. Będą nas tu zajmować kilkoma zwierzakami na przynętę tylko po to, żeby okrążyć cały oddział i zająć nas od tyłu. Zrób coś pożytecznego, Melnikov, i złap tę skrzynkę z drugiej strony! – Odwrócił się do firebata. – Cutter! Zabierz stąd tę kobietę! Sejak! Ekart! Osłaniajcie go i wycofujcie się na zero-trzydzieści siedem, punkt jeden-pięćdziesiąt trzy. Mamy naszą zdobycz, teraz wynośmy się stąd jak najszybciej!

Cutter zaburczał coś pod nosem, ale posłuchał rozkazu i zaczął się wycofywać razem z resztą. Błyszczące pancerze zerglingów zamigotały nad barykadą. Zergi przeskakiwały nad szanchem niewiarygodnie szybko i zwinnie. Gdyby Ardo nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłby, że to w ogóle możliwe. Wszystkie jednak wpadały prosto pod zmasowany ogień wycofujących się marines.

– Jak nam idzie, szefowo? – zawołał Littlefield.

– *Zegar tyka* – odezwała się porucznik Breanne z wieży sztabowej. Nagle kwatera główna wydała się Ardowi niemiłosiernie odległa. – *Nie widzę ich na ekranie, ale sami wiecie, że one nam nie odpuszczą. Wychodzą teraz ze sztabu. Wszyscy biegiem marsz do zero-trzydzieści siedem, punkt jeden-pięćdziesiąt trzy. Zmywamy się stąd. Słyszysz mnie, Peaches?*

– *Tak jest, pani porucznik!*

W głosie Peachesa zabrzmiała dziwna nuta. Skoro odpowiedział na kanale dowódczym, znaczyło to, że sytuacja w oddziale vulturów nie wyglądała wesoło.

– *Wiedźma! Masz współrzędne?*

– *Zabieraj stamtąd swój śliczny tyleczek, pani porucznik, a o resztę się nie martw. Już Wiedźma się wszystkim zajmie. Transport z dostawą na miejsce! ETA pięć minut.*

– *Żwawo, panowie!* – zagrmiał Littlefield. – Nie mamy czasu do stracenia.

Cutter warknął coś niezrozumiale i odwrócił się w ich stronę. Ardowi wystarczył jeden rzut oka, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy. Wyspiarz odezwał się do sierżanta, ale jego zimne czarne oczy patrzyły wprost na Arda.

– *Panie sierzancie, chcę zameldować o stracie jednego firebata! Wabowskiego!*

Ardo złapał za uchwyt metalowej skrzynki. Kombinezon bojowy miał elektryczne wspomaganie, ale układy sprzężone wysłały informację, że przedmiot jest ciężki.

– *Teraz się wycofujemy* – warknął Littlefield.

Ruszyli biegiem przez plac. Sierżant pokazał palcem na lewo od wieży sztabowej. Ardo czuł za plecami resztę oddziału, która złamała szyk obronny i puściła się pędem w stronę punktu ewakuacyjnego.

Ardo biegł, ale tamta myśl nie dawała mu spokoju.

– *Panie sierzancie... jeśli chodzi o Wabowskiego... ja...*

– *To była przekłeta konieczność, mały* – uciał Littlefield. – *Wabowski już był trupem. Wyświadczyłeś mu przysługę... a teraz tracimy tę odrobinę czasu, którą dzięki tobie zyskaliśmy.*

– *Jasne... wielkie dzięki* – burknął Cutter.

Biegł tuż za nimi. Ardo nie widział jego twarzy, ale wystarczył mu ton głosu, żeby wiedzieć, że wdzięczność była akurat ostatnią rzeczą, o jakiej myślał wyspiarz.

– *Pilnuj lepiej tego cywila, Cutter, myślenie zostaw mnie. A co do ciebie, Melnikov... jeśli przeżyjesz do wieczora...* – Littlefield prychnął między dwoma krótkimi sapnięciami. – *To znaczy, że, z boską pomocą, może jeszcze będzie z ciebie weteran!*

Za ich plecami rozległ się jadowity głos Cuttera.

– *Weteran, co, Melnikov? W takim razie, ty prowadzisz. Widziałem, co potrafisz, i jeśli o mnie chodzi, to raczej zostanę w tyle.*

– *ETA dwie minuty. Wiedźma odwraca się do nawietrznej. Jeeezu! Co tam się dzieje? Wyście naprawdę wetknęli kij w mrowisko, co, Breanne?*

Biegli wzdłuż linii domów, oglądając się na boki. Coś się tam czało, bez dwóch zdań, ale Ardo nie mógł dojrzeć co. Kątem oka zauważył jakiś ruch. Nie zatrzymuj się. Nie patrz, mówił sobie, a słowa dźwięczały niczym kontrapunkt w rytmie jego kroków. Nie zatrzymuj się, bo cię dopadną.

– *Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!*

To był głos Breanne. Ardo spojrzał w stronę punktu ewakuacji. Porucznik biegła im naprzeciw z karabinem uniesionym i gotowym do strzału. Towarzyszyli jej trzej żołnierze – o dwóch mniej, niż Ardo widział przy niej piętnaście minut temu.

– Nie zatrzymywać się! Dalej! Dalej! – wołała, nie zwalniając kroku. – Czy to jest nasz łup, Littlefield?

– Tak jest, pani porucznik – odparł sierżant i przyspieszył, żeby zrównać z nią krok.

Chcąc nie chcąc, Ardo musiał zrobić to samo.

– Dobra robota, sierżancie! – powiedziała Breanne, patrząc w stronę zbliżającego się wylotu ulicy. – Co to za zewłok taszczy Cutter?

– Nie wiem. Jakaś kobieta, którą znaleźli koło skrzynki.

– No, no, Cutter. Wygląda na to, żeś sobie uratował prawdziwą królową – powiedziała Breanne z nutą wesołości w głosie. – Pilnuj jej. Chcę z nią porozmawiać, kiedy z tego wyjdziemy.

Nagle w hełmofonie Ardo usłyszał stłumiony warkot gaussa. Całkiem niedaleko ktoś strzelał krótkimi seriami.

– Pani porucznik! – To był Mellish. – Zergi na prawo!

– Ja też je widzę! – Bernelli ubezpieczał lewe skrzydło wycofującego się oddziału. – Cholera, ale są szybkie!

Breanne biegnąc spojrzała w górę.

– Wiedźma, gdzie jesteś?

– *Zbliżam się na miejsce. Zakasuj spódniczkę, pani porucznik. Będę tam za... psia! Czekajcie.*

Oddział wypadł na lotnisko zaopatrzeniowe. Po obu stronach płyty stały hangary i magazyny, w środku zaś rozciągała się ogromna pustka pola manewrowego. W porównaniu z gęstymi zabudowaniami i wąziutkimi uliczkami Oazy lądowisko robiło wrażenie odsłoniętego i niebezpiecznego terenu. Dalej na wschód ciągnęły się hydrofarmy i droga, którą rano wchodzili do miasta. Ardo dojrzał nawet urwistą ścianę krateru, niewyraźne sylwetki Zapory i Sutka Molly. Między nimi, chociaż stąd nie było jej widać, leżała Widokówka oraz baza wypadowa z bunkrami.

Zdawało się, że miliony kilometrów dzielą ich teraz od tego bezpiecznego schronienia.

Szeregowi William Peaches i Amy Windom sadzali właśnie swoje vultury na środku lądowiska. Rano pierwszy zmechanizowany oddział liczył pięć powietrznych motocykli. Zostały dwa.

– Littlefield! Melnikov! – Porucznik Breanne ruszyła w stronę zaparkowanych vulturów.

– Trzymajcie się z tą skrzynką blisko mnie! Cutter! Ty też tu chodź z tą kobietą. Pozostali, utworzyć wokół nas kordon ewakuacyjny. Biegiem!

Na obrzeżu płyty lądowiska stał rękaw wskazujący kierunek wiatru. Ardo raz po raz spoglądał na wschód, na odległe grzbiety górskie. Gdzieś tam czekały na nich czyste łóżka, prysznic i... bezpieczeństwo. Dwukrotnie dzisiaj zabił. Pragnął o tym nie myśleć. Pragnął nie myśleć o niczym. Jeśli kapitan Marz podchodził do lądowania zgodnie z procedurą, powinien nadlecieć właśnie ze wschodu.

Breanne patrzyła w tę samą stronę, szukając na niebie śladu desantowca.

– Wiedźma! – zawołała. – Gdzie jesteś?

Marines utworzyli na lądowisku koło i skierowali lufy karabinów na zewnątrz. Na otwartej przestrzeni wiatr bez przeszkód gnał tabuny piasku, które przesłaniały światła lądowiska. Ardo słyszał świst rozpędzonych drobinek smagających jego ochronny pancerz.

Poza tym jednak nie dochodził do niego żaden odgłos.

– Wiedźma. – Głos Breanne był opanowany. – Jesteśmy na miejscu. Podaj swój ETA.

Na kanale dowódczym słychać było tylko trzaski i szumy, tym silniejsze, im bardziej urządzenie starało się wyłowić odpowiedź.

– Pani porucznik! Czujniki wykryły jakiś ruch!

– Gdzie, Bernelli?

– Tuż za hangarami. Otaczają nas od wschodu za...

– Od zachodu też, pani porucznik! Chryste, patrzcie, jakie one są szybkie!

– Wiedźma, do diabła! Zgłoś się! – Breanne znów popatrzyła na wschód. – Littlefield, widzisz go? Mówił, że jest minutę od lądowiska. Powinien być już w zasięgu wzroku.

– Już dawno powinien być na miejscu, pani porucznik – odparł Littlefield. – Coś jest nie tak.

Na wschodnim krańcu lądowiska zaczęły przemykać ciemne sylwetki.

– Zergi – szepnęła Breanne. – Odcinają nam drogę.

– Pani porucznik, myślę, że...

– Nie płacą ci za myślenie, sierżancie! – warknęła Breanne. – Peaches i Windom! Do vulturów! Uwaga wszyscy! Załadować świeże magazynki. Natychmiast! Kiedy wydam rozkaz, vultury otwierają ogień i lecą na wschód. Wyprujcie do nich wszystko, co macie, byle wyorać mi drogę przez to robactwo. Reszta to samo, pakować w nie cały zapas. Potem pędźcie do wyrwy, ile sił w nogach i nie zatrzymujcie się. Macie się przedzierać i nie zatrzymywać. Jasne?

– A co potem, pani porucznik? – zapytał Esson nieco drżącym głosem.

– Potem biegnij, chłopcze. Biegnij w stronę bazy i nie oglądaj się za siebie.



## Rozdział 10

# Bieg przez mękę

– Zamykają pierścień, pani porucznik! – szepnął chrapliwie Bernelli.

Zdawało się, że każdy głośniejszy hałas może rozwiać nikłą nadzieję i cała ta masa skradających się Zergów spadnie im na kark w jednej chwili.

Głos Breanne brzmiał chłodno i pewnie.

– Wstrzymać ogień, do diabła!

– Odcinają nam drogę, pani porucznik!

– Zamknij się, Mellish – warknęła Breanne. – Peaches, co się dzieje? Nie chce zapalić?

Resztki plutonu zbijały się w coraz ciaśniejszy krąg wokół miejsca, w którym stał Ardo. Dookoła nich Zergi tworzyły czerwono-fioletowy mur paszcz wykrzywionych w odrażającym metalicznym uśmiechu. Wymachiwały w powietrzu szponiastymi odnóżami, drżąc z niecierpliwości, kiedy dostaną swój łup. Ardowi przypomniał się kot, którego matka z trudem tolerowała na farmie. Plątał się po całym obejściu. Pewnego dnia Ardo zobaczył, jak zwierzę dopadło w podwórzu mysz. Zapędziło ją w ślepy zaułek i tam, skądinąd milusińskie stworzenie, zaczęło igrać ze złapaną w potrzask ofiarą, jakby to była zabawka. Na koniec jednym kłapnięciem szczęk rozplątało czaszkę nieszczęsnego gryzonia i zakończyło pościg krwawym posiłkiem. Zanim to jednak nastąpiło, Ardo widział na pysku kota ten sam przebiegły uśmiech.

A teraz on sam stał tutaj... w charakterze myszy.

Wreszcie ryknęły silniki vulturów. Ardo patrzył, jak Peachesowi pot występuje na czoło, kiedy uruchamiał działka pojazdu.

Breanne podniosła nieznacznie głos. Być może patrzyła w te same zęby, o których myślał Ardo.

– Szeregowy, nie możemy tu ster...

– Udało się, pani porucznik! – zawołał Peaches. – Możemy ruszać!

– Dobrze – powiedziała Breanne tym razem głośniejszym głosem, aby przekrzyczeć wycie motocykli.

Odwróciła się powoli. – Wszyscy załadowani i zarepetowani? Peaches i Windom, zróbcie mi przejście. Teraz!

Vultury zawyły i wystrzeliły do przodu, kiedy poczuły gaz dociśnięty do dechy. Z przednich miotaczy motocykli posypały się gromy. Pociski wybuchły, ledwie dotknęły pierwszego napastnika.

W odpowiedzi Zergi podniosły przerażający jazgot, jakby z oburzenia, że ich łup ma czelność rzucać im wyzwanie.

– Teraz, żołnierze! – wrzasnęła Breanne.

Jak na komendę zewnętrzny pierścień przyczajonych napastników złamał się nagle i wszystkie Zergi rzuciły się do środka ku swoim ofiarom, opętane jednym pragnieniem – rozerwać zbroje na strzępy, wysączyć krew, oddzielić mięso od kości.

Lecz żołnierzy już tam nie było. Jak jeden mąż rzucili się w stronę eksplozji, gdzie ognista pomarańczowa kula wydymała się i rosła z sekundy na sekundę. Karabiny szczękły zgodnym chórem. Gęsty słup płomieni i rzezi drażył głęboki korytarz w zwartych liniach rozwścieczonych Zergów.

– Nie oglądać się za siebie! Biec, skurczybyki! Biec!

Ardo pędził obok Littlefielda. W wolnej ręce ścisnął gaussa, który podskakiwał i huśtał się gwałtownie, prując gdzie popadnie i rozwalając wszystko, co znalazło się na linii strzału. Ardo nie próbował nawet celować, mógł tylko na oślep siać zniszczenie i powiększać spustoszenie dokonane przez pociski vulturów.

Byli tuż przed ścianą płomieni. Z góry spadały na nich potoki lepkiej, żrącej mazi i porozrywanych kończyn.

– Dalej! Nie zatrzymywać się! Nie przerywać ognia!

Kątem oka Ardo widział Cuttera. Firebat pędził po lewej stronie, jedną ręką bez chwili przerwy tryskając płonąca plazmą w zastępy Zergów, drugą przytrzymując na ramieniu nieprzytomną kobietę. Z każdym krokiem olbrzyma jego żywy bagaż podskakiwał jak szmaciana lalka.

Płomienie owinęły się wokół Arda, kiedy przekraczał linię eksplozji. Trudniej było teraz biec, ziemia była śliska od zwęglonych i rozszarpanych ciał Zergów. Skrzynka obijała mu się o nogę, ale dzięki temu wiedział, że Littlefield biegnie obok i ciągnie go do przodu.

Nagle w hełmofonie rozległ się nieludzki wrzask, a po nim piski przerażenia.

– Esson! Jezu, pani porucznik! Opadły go ze wszystkich stron! Musimy...

– Nie zatrzymuj się, Collins! To rozkaz!

– Ale, pani porucznik! Nie słyszy pani tego?

– Biegnij, do cholery! Nie oglądaj się!

Temperatura w kombinezonie Arda podskoczyła gwałtownie. Ręce i stopy zaczęły go piec. Nagle wpadł na stojącego zerglinga. Krzyknął, ale nie zwolnił kroku. W pędzie przewrócił Zerga na ziemię i pognął dalej. W morzu ognia przeciwnik szybko zniknął mu z

oczu.

Prawie się przestraszył, kiedy w następnej chwili płomienie po prostu rozstały się przed nim i odsłoniły rozległą równinę południowego krańca basenu. Sutek Molly. Zapory. Musi tylko dotrzeć do brzegów krateru. Musi tylko...

– Doganiają mnie! Już mnie gryzą w tyłek! Boże...

Wrzask przeszył uszy Arda jak szpila. Zanim ucichł, zwały się z nim dwa następne, niemożliwe do pomylenia z żadnym innym dźwiękiem – odgłosy umierania.

– Nie zatrzymywać się, dranie! – zasyczała Breanne w hełmofonach.

Ardo uchwycił w jej słowach ton, którego dotąd nie słyszał. Czy to dlatego, że była zasapana, czy też to dźwięczał w jej głosie strach?

– Nie zatrzymywać się i nie oglądać!

Ardo nie wytrzymał i spojrzał w tył.

Zergi były bliżej, niż sądził i było ich więcej, niż to sobie wyobrażał. Po obu stronach jak okiem sięgnąć rozciągał się dywan krwiożerczych stworów, pędzących za nimi przez równinę.

Na ten widok Ardo się potknął i stracił równowagę. Littlefield z całej siły pociągnął za skrzynkę i przyspieszył gwałtownie. Tylko to nagłe szarpnięcie utrzymało Arda na nogach.

– Zrób to jeszcze raz, mały – sapnął ostro sierżant – a zostawię cię tam w tyle.

Przemierzali teraz płaską równinę. Kombinezony bojowe niosły ich z niewiarygodną prędkością w stronę stromej ściany basenu. Ardo przypomniał sobie, z jaką przyjemnością pokonywał tę samą drogę i ten sam stok jeszcze kilka godzin temu. A może to było miesiąc temu?

Na otwartej przestrzeni udało im się odskoczyć Zergom, ale teraz czekał ich bieg po stromym, gładkim stoku. Z nagłym przerażeniem Ardo zdał sobie sprawę, że pionowe zbocze znacznie spowolni ich bieg, zwłaszcza w kombinezonach bojowych, nie przeszkodzi natomiast ścigającym ich rozjuszonym Zergom.

– Sierzancie – wysapał. – Mój magazynek jest pusty. Muszę załadować nowy.

– Wyrzuć go – wychrypiął Littlefield przez zaschnięte gardło.

– Słucham?

– Wyrzuć karabin!

Littlefield był silnym i wytrenowanym żołnierzem, ale nawet jego wyczerpał ten długotrwały sprint.

– Broń już nie ma znaczenia, synu – wydyszał.

– Ale, sierzancie...

– Wiesz, co jest... na szczycie tej ściany? Łóżko... i gorące jedzenie... czeka na nas w najśliczniejszych... murach... obronnych Konfederacji, jakie w życiu widziałeś... Wieżyczki samonapro... wadzające, bunkry... najpiękniejsze bunkry pełne... wypoczętych żołnierzy, którzy chętnie sobie... urządzają strzelnicę z tłumu rozzłoszczonych Zer... Zergów.

Ardo jeszcze raz spojrział na strome zbocze. Przed oczami stanęły mu mury bazy w Widokówce. Zdawało się, że to jeszcze milion kroków stąd, a on tak rozpaczliwie walczył o każdy następny metr.

– Wyrzuc broń, synu – zaskrzeczał Littlefield. – Jeśli nie dostaniemy się na górę... żadna amunicja... w twoim ślicznym gaussie... nie uratuje ci skóry... ani mnie.

Ardo zerknął na sierżanta. Dopiero teraz zobaczył, że Littlefield wyrzucił już swoją broń i resztę amunicji. Stary wojak uśmiechnął się między sapnięciami.

Ardo cisnął karabin w bok, pochylił się i biegł dalej.

Dno doliny zaczęło się podnosić, gładki teren stawał się nierówny w miarę, jak zbliżali się do podnóża ściany. Z szaleńczą determinacją Ardo biegł pod górę, od czasu do czasu strącając w dół kamienie. Z każdym krokiem coraz trudniej było się wspinać. Przed nimi wyrastała gładka pionowa ściana. Kombinezony bojowe wyposażono w wiele udogodnień, ale zdolność latania do nich nie należała.

Wypadli na ścieżkę przecinającą skalne zbocze. Biegła kilkoma zakosami do wyjścia z krateru i potem do Widokówki, ale była to jedyna droga na szczyt zbocza.

Ardo jeszcze raz rzucił szybkie spojrzenie w tył. Zyskali przewagę stu metrów nad pierwszą linią Zergów. To za mało. Żołnierze będą musieli biec ścieżką, podczas gdy Zergi – jak się Ardo już zdążył zorientować – pomkną prosto przed siebie. Robakokształtne stwory przeskakiwały i prześlizgiwały się nad kamieniami, nawet nie zwalniając biegu.

Nie tylko Ardo to zauważył.

– Marines, przygotować się do otwarcia ognia!

To była porucznik Breanne. Miała zamiar zatrzymać się i stawiać opór.

– Melnikov, Littlefield. Dostarczycie skrzynkę do bazy! Cutter, idź z nimi i zanieś tę kobietę. Macie dokończyć misję. Reszta zostaje ze mną i próbuje powstrzymać wroga, jak długo się da. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

– Jasna cholera!

– Zamknij się, Collins! Tam, za kamieniami! Wszyscy zająć pozycje i przygotować broń.

Głos Breanne był jak stal. Podjęła decyzję i nic już jej nie mogło zmienić.

Dysząc ciężko, żołnierze ze ściśniętymi sercami rzucili się do głazów poukładanych wzdłuż drogi niczym wyszczerzone zęby. Horda Zergów mknęła w ich stronę jak huragan.

– Littlefield! Wynoś się stąd, bo...

Nagle w hełmofonie Arda rozległ się wysoki czysty dźwięk. Po reakcji pozostałych można było poznać, że oni także go usłyszeli.

Breanne otworzyła szeroko oczy. Spojrzała w górę. Ardo poszedł w jej ślady i przez mgnienie oka dojrzał jaskrawą smugę zniżającą się łukiem po niebie.

– Padnij! Kryć się! – krzyknęła Breanne.

Bez namysłu, posłuszny wyćwiczonym odruchom, Ardo rzucił się na ziemię i schował za najbliższym głazem. Zacisnął oczy, ale nie na wiele to się zdało. W jednej chwili świat

zamienił się w piekącą biel.

Zaraz potem ziemię przeszedł dreszcz. Ardo doświadczał tego wielokroć, ale za każdym razem pierwotna, nieokiełznana potęga wybuchu wstrząsała nim do głębi. Zbliżała się. Wielka bestia. A drżąca ziemia była tylko zwiastunem jej nadejścia.

Fala uderzeniowa wybuchu nuklearnej głowicy taktycznej wytworzyła ścianę sprężonego powietrza o nieprawdopodobnej sile. Odległość osłabiła wprawdzie efekt, ale i tak był to śmiertelny impet. Przetoczył się po marines, przeniknął przez grube opancerzenia kombinezonów bojowych i wstrząsnął ciałami na wskroś.

To tylko chwila, mówił sobie Ardo. Wóz albo przewóz – tak czy inaczej, to potrwa tylko chwilę.

Chwila minęła i... nadal żył.

Dźwignął się chwiejnie na nogi.

To, co zostało z Oazy, znikło za kłębiącą się czerwoną chmurą. I prawdopodobnie było już tylko kłębiącą się czerwoną chmurą.

Zergi nie zrozumiały ostrzegawczego odgłosu przelatującej rakiety, nie miały też żadnej osłony. Fala uderzeniowa unicestwiła większość z nich, a te, które przeżyły, były w szoku albo oślepienie przez blask wybuchu.

To zresztą z pewnością nie była odpowiednia pora na dociekanie tego.

– No, ruszać się, żołnierze! – zawołała Breanne. – Zabierajmy się stąd, zanim zergańskie świny oprzytomnieją.

Ardo złapał uchwyt skrzyni i z szerokim uśmiechem odwrócił się w stronę Littlefielda.

– To się nazywa cudowne ocalenie, co, sierżancie?

– Czyżby? – ku zdumieniu Arda odpowiedział Littlefield z ponurą miną. – No, dalej, zabierajmy to pudło do domu. Potrzebuję prysznic i mojego łóżka.

## Rozdział 11

# Powrót do domu

Wygramolili się na szczyt ściany krateru. Jeszcze kilkanaście minut temu to miejsce zdawało się Ardowi nieosiągalne. W zapadającym zmierzchu mury Widokówki wyrastały ciemne i potężne z rdzawego piaskowca. Za nimi czekały czyste łóżka, prysznice, posiłki i przede wszystkim poczucie względnego bezpieczeństwa. Nad zabudowaniami garnizonu górował budynek centrum dowodzenia i przyzywał Arda świetlnymi sygnałami niczym syreni śpiew. Nigdy dotąd ten widok nie wydawał mu się tak wzruszająco piękny.

Na górze porucznik Breanne przywołała wszystkich do porządku. Czemu mają wracać do bazy jak zbite psy? Zebrała ich w szyku, upomniała niedwuznacznie, że mają się trzymać prosto i dumnie, bo w przeciwnym wypadku osobiście powtyka różne niestandardowe akcesoria w stosowne miejsca anatomii każdego, kogo trzeba będzie wyprostować, po czym poprowadziła ich wzorowym krokiem marszowym w stronę bramy garnizonu. Strach przed gniewem pani porucznik pokonał nawet zmęczenie. Resztki plutonu podchodziły do bazy niczym kompania honorowa na paradzie. Ardo był pewien, że gdyby Breanne miała flagę, wymachiwałaby nią już z daleka.

Obejrzał się za siebie. Chmura po wybuchu jądrowym rozprzestrzeniła się nad doliną, sunęła na wschód, połyskując złowrogo nad czerwonymi górami. Głowicę zdetonowano w powietrzu, na wysokości starannie wyliczonej tak, aby eksplozja niczym pięść zgmiotła każdy obiekt na powierzchni ziemi. W efekcie większe były zniszczenia mechaniczne, za to słabszy poziom promieniowania pyłu radioaktywnego niż po wybuchu naziemnym. Ardo zastanawiał się, czy ktokolwiek poinformował osadników o planowanym ataku. Wielu kolonistów mogło pozostać na terenach rozprzestrzeniania się śmiertelnej chmury. Prawdopodobnie nikt im nie pisał nawet słówka na ten temat. Zresztą, dalej na wschód od Oazy i tak zostały tylko Zergi.

Znacznie mniejsza była liczebność powracającego plutonu niż tego, który wyruszył rano z bazy. Ardo policzył głowy maszerujących żołnierzy. Została tylko połowa marines. Drugi

firebat z jego oddziału prawdopodobnie leżał gdzieś na równinie pod Oazą, rozdarty na strzępy albo zgnieciony przez wybuch. Ten sam los musiał spotkać Collinsa i Essona.

Ardo miał nadzieję, że byli już martwi. Zdał sobie sprawę, że eksplozja nuklearna mogła zmieść Zergi z tych, których one dopadły, stopić zamki kombinezonów, ale żołnierzy nie zabić. Uwięzieni we własnych skafandrach... unieruchomieni na opuszczonej, napromieniowanej równinie... Ból głowy zaczął powracać. Pewnie lepiej o tym nie myśleć.

Był to więc kolejny dzień chwały konfederacyjnych marines. Wróciła tylko połowa z nich, ale Ardo wiedział, że misja zostanie nagłośniona jako wielkie zwycięstwo. Nie – przypomniał sobie – została więcej niż połowa, bo vultury nie czekały na nich i poleciały do bazy. Ale to były tylko dwa motocykle, resztę stracili w Oazie. Nie wiadomo zresztą, czy i te dwa dotarły bezpiecznie do garnizonu.

Chwała. A wszystko dla małej metalowej skrzynki, która nieustannie obijała się Ardowi o udo, i jednego ocalonego cywila, przewieszzonego przez ramię Cuttera jak zepsuta kukła.

Maszerowali w kierunku wschodniej bramy z całą godnością, na jaką było ich stać. Mury garnizonu odcinały się czarnymi metalicznymi konturami na tle rdzawoczerwonego zachodu słońca. Było w tym coś nienaturalnego, coś, czego Ardo nie potrafił nazwać, ale co wyczuwał coraz silniej w miarę, jak się zbliżali. Kiedy byli prawie przy głównej śluzie, porucznik Breanne też musiała coś wyczuć, bo nagle uniosła lewą pięść. Zatrzymali się natychmiast i zaczęli się czujnie rozglądać.

Breanne stała chwilę bez ruchu. Ardo nie wiedział, czy coś ją zaniepokoiło, czy też po prostu zastanawiała się, co robić.

– Breanne do sztabu w Widokówce – odezwała się na kanale dowódczym.

Cisza. Nagle Ardo zrozumiał, że to właśnie to było takie nienaturalne – na kanale dowódczym nie było słyhać nic poza ich własnymi rozmowami, mimo że podeszli pod same mury.

– Breanne do sztabu w Widokówce. Odezwijcie się.

Wraz z nadchodzącym wieczorem zaczął się wzmagać wiatr. Piasek gnany silnymi podmuchami syczał wokół hełmów. Ardo spojrzał na niskie bunkry rozmieszczone po obu stronach śluzy. Jeszcze kilka chwil temu ciemne strzelnice budziły otuchę. Widział w wyobraźni oddziały wartowników gotowe bronić ich przed każdym atakiem. Teraz te same czarne otwory zdawały się złowrogie i puste. Próbował wypatrzeć w środku jakiś ruch, ale nie mógł przebić wzrokiem kompletnych ciemności.

Żołnierze zerkali po sobie niepewnie. Kanał dowódczy trzeszczał z cicha.

Breanne dała znak, żeby przygotowali broń. Ardo odruchowo sięgnął po gaussa i dopiero wtedy przypomniał sobie, że przecież wyrzucił karabin w dolinie. Poczul się nagle zupełnie bezbronny. Spojrzał z wyrzutem na Littlefielda, który cały czas trzymał metalową skrzynię za drugi uchwyt, ale sierżant obserwował ciemniejące mury fortecy i nie zauważył oskarżycielskiego wzroku Arda.

- Czemu nie odpowiadają?
- Może mają problem z łącznością?
- „Może”? A co, jeśli nie z łącznością?

Breanne podeszła do panelu zamka przy ogromnej, ciężkiej śluzie. Dopiero po kolejnej próbie mechanizm potwierdził wprowadzony kod. Masywna brama w głównej śluzie garnizonu z cichym jękiem zaczęła się podnosić. Breanne uniosła karabin, ale nie drgnęła z miejsca. Inni też przygotowali broń.

– Mellish, Bernelli, naprzód!

Obaj marines wahali się tylko przez ułamek sekundy, potem z gaussami uniesionymi wysoko przed sobą ruszyli na czoło kolumny. Zajęli pozycję po obu stronach ciemnej śluzy i zaczęli penetrować mrok przez celowniki karabinów.

– Czysto, pani porucznik! – zawołał Mellish, ale bez przekonania.

Rozległ się chrzęst otwierającej się wewnętrznej śluzy, a za nią zaczął się z wolna odsłaniać plac garnizonowy, skąpany w głębokim rdzawym świetle zachodu.

– Pani porucznik? – zapytał podenerwowanym głosem Bernelli.

– Utrzymaj pozycję, szeregowy! – Breanne ruszyła do przodu, próbując przeniknąć wzrokiem wąski otwór i zobaczyć plac po drugiej stronie bramy. – Osłaniajcie nas. Xiang, idziesz ze mną!

Weszli do śluzy – Breanne z przodu, tuż za nią szeregowy Xiang. Ciemności korytarza połknęły ich natychmiast, tylko czarne sylwetki zarysowywały się na tle czerwonej ziemi garnizonowego placu. Chwilę potem obie postacie znów wyłoniły się z cienia po drugiej stronie śluzy.

– Wszyscy za mną! – zawołała Breanne. – Szybciej, panowie!

Ardo raz jeszcze zerknął na Littlefielda. Sierżant skinął głową i razem ruszyli szybko za resztą plutonu.

Niewielka otwarta przestrzeń za śluzą, wciśnięta pomiędzy stłoczone zabudowania garnizonu, służyła głównie jako plac apelowy. Wszystkie bazy wojskowe Konfederacji były takie same – im mniejszy teren, tym łatwiej go zaopatrywać i bronić. Taką doktrynę wpajano wszystkim konfederacyjnym oficerom. W efekcie bazy wojskowe wyglądały jak bezładne skupisko budynków upchanych najgęściej, jak się da, byle tylko mogły między nimi manewrować pojazdy pancerne. Przy pełnej obsadzie zamieniały się w prawdziwe mrowiska. W wąskich przejściach roili się żołnierze, służby pomocnicze i kadry dowódcze, a każdy spieszył w inną stronę.

Wychodząc niepewnym krokiem na plac, Ardo po raz kolejny stwierdził, że garnizon w Widokówce wygląda jak każdy inny garnizon, w którym stacjonował, z jednym, ale za to znaczącym, wyjątkiem – nikogo nie było w domu.

Śluza prowadziła na teren bazy przez wschodni mur. Plac apelowy był zarazem lądowiskiem dla desantowców. Od północy i południa maleńki obszar zamykały poszarpane



linie składów zaopatrzeniowych, poutykanych niczym ściśle przylegające puzzle. Znad linii dachów sterczały dwie symetrycznie rozmieszczone wieżyczki przeciwlotnicze. Głowice układów samonaprowadzających obracały się na szczytach, automatycznie przeszukując niebo. Na zachód od placu, dokładnie naprzeciwko śluzy stały trzy budynki koszar, które tego ranka opuścił pluton Arda. Stamtąd na południe prowadziła szeroka ulica, kończąca się przed centrum dowodzenia. Dach tego największego budynku w garnizonie wystawał ponad koszarami, a jeszcze dalej majaczyły górne fragmenty fabryki i warsztatów zbrojeniowych. Nieopodal kontenerów zaopatrzeniowych stały dwa SCV-y. Jednym słowem, wszystko było tam, gdzie być powinno.

– Mellish, zamknij śluzę. – Lepiej, żebyśmy mieli zamknięte drzwi za plecami. Nie chcemy z tyłu niespodzianek.

Głos Breanne był cichy i spokojny. Takim samym głosem Ardo mówił do szczególnie płochliwych koni na farmie swego ojca.

– Jasne – mruknął ktoś na kanale. – Zwłaszcza że czeka nas ich dużo z przodu.

– Dosyć, Bernelli – powiedziała Breanne lodowato. – Mellish, zamknąłeś już te drzwi?

– Tak jest, śluza zabezpieczona.

– Wygląda to tak, jakby wszyscy sobie po prostu wstali i wyszli – mruknął Xiang.

– Mhm – przytaknął Littlefield. – Tylko że to też nie gra. Rozumiem, że mogli zostawić składy i wieże, w końcu te się i tak buduje na miejscu, ale koszary można przenosić. Kurczę, nawet centrum dowodzenia ma dysze odrzutowe. To są wszystko samobieżne moduły. I na oko w dobrym stanie. Jeśli się ewakuowali, dlaczego nie zabrali sprzętu?

– Dobre pytanie, Littlefield, ale my potrzebujemy dobrej odpowiedzi. – Breanne podjęła decyzję. – Przeszukamy teren. Gdzieś mogą być ludzie uwięzieni albo ranni, albo odcięci od łączności z innego powodu. Coś się tu stało. Jeśli na kogoś traficie, pamiętajcie, że może być trochę podenerwowany.

– O, co to, to ma pani rację!

– No więc wyluzujcie, panowie. Rozluźnić palce na spustach. Nie chcę, żebyście poszatkowali kogoś z naszych tylko dlatego, że nie wiemy, co jest grane. Littlefield i Melnikov, zostajecie ze mną. Cutter, co z tą kobietą?

– Zaczyna przytomnieć, pani porucznik.

Cutter trzymał teraz kobietę na rękach. Przy ogromnej, zwalistej postaci wyspiarza wyglądała drobno i krucho. Ardo zauważył, że zaczyna się kręcić.

– Mam ją położyć?

– Nie. W centrum dowodzenia jest punkt medyczny.

Breanne zastanawiała się chwilę poirytowana. Niewielu ludzi zostało jej do dyspozycji.

– Dobra, zrobmy to razem. Zaczniemy od północnych koszar, a potem...

– Pani porucznik, mam ruch na wizjerze.

– Gdzie, Bernelli?

– Jakies pięćdziesiąt metrów na kursie dwieście siedemdziesiąt osiem.

– To centrum dowodzenia! Nie spuszczaaj z niego oka, Bernelli! Uwaga wszyscy!  
Zachować czujność!

W głosie Bernellego brzmiało tylko lekkie napięcie.

– Idę w tamtą stronę... na wschód.

– Pani porucznik, jesteśmy tu odsłonięci – szepnął Littlefield.

Breanne zrozumiała w lot.

– Zając pozycje pod północnymi koszarami. Wykorzystać rozpórki jako osłonę. Naprzód!

Pluton rzucił się pędem na drugą stronę placu. Ardo biegł niezdarnie obok Littlefielda. Obaj nadal szarpali się z metalową skrzynią, która kołysała się między nimi i utrudniała każdy krok. Ardo pomyślał o składach broni, które stały nie dalej niż kilka metrów od niego. Czekały tam całe góry nowiutkich gaussów i świeże zapasy amunicji, podczas gdy on czał się skulony tchórzliwie w dole ładowniczym samobieźnych koszar i nie miał nic do obrony poza rzucaniem przekleństw, pluciem i głupim metalowym pudłem, które, jeśli o niego chodzi, mogło zostać w Oazie, dołączyć do wielkiej radioaktywnej chmury i razem z nią podryfować na wschód.

– Jak tam, Bernelli? – odezwała się Breanne ściszym głosem, chociaż kombinezony były dźwiękoszczelne i wszelkie odgłosy płynęły tylko kanałem łącznościowym.

– Cały czas idę za tym czymś. Szybko się przemieszcza. Piętnaście metrów na kursie dwieście. Posuwa się wzdłuż wschodniej ściany.

– Idzie drogą – zauważył Littlefield.

– Nadal piętnaście metrów. Powinniście go już widzieć...

Ardo skulił się jeszcze niżej za rozpórką.

Wtedy w słabnącym świetle słońca na plac niepewnym krokiem wyszedł jeden człowiek.

– Cholera! – zakląła Breanne. Podniosła się i otworzyła hełm. – Marcus, co ty, do diabła ciężkiego, wyprawiasz?! – wrzasnęła.

Mężczyzna odwrócił się w ich stronę. Mundur, który miał na sobie, nie był już czyściutki i wymuskany. Zamiast galowej czapki na głowie jeżyła się jasna zmierzwiona czupryna, a każdy włos zdawał się sterczeć w inną stronę według własnego widzimisię. Mimo to Ardo rozpoznał technika, który wczoraj dołączył do nich tuż przed lotem do Widokówki.

– O, pani porucznik! – sierżant Marcus Jans zsalutował gorliwie. – Witamy w domu.

Breanne odsalutowała niedbale.

– Proszę o pozwolenie wejścia do garnizonu – powiedziała.

– Eee... słucham?

– Zakładam, sierżancie, że jesteście teraz dowódcą tej placówki, w przeciwnym razie ktoś by nas już przywitał.

– A... tak, pani porucznik. – Jans był wyraźnie zbity z tropu. – Tak, zdaje się... że ja jestem... no oprócz pani porucznik... znaczy się... już teraz.

Niespodziewanie Ardowi znów stanął przed oczami kot z upolowaną myszą.

– W takim razie melduję swój pluton powracający ze zwycięskiej misji Konfederacji.

Głos Breanne był znużony i zaczynał zdradzać poirytowanie.

Jans spojrzał na żołnierzy przycupniętych w dołach.

– Ma pani na myśli tych marines chowających się pod koszarami?

– No to by było na tyle, jeśli chodzi o zwycięski powrót – burknął Cutter.

– Tak – wycedziła przez zęby Breanne. – Żołnierze chowający się pod koszarami proszą o pozwolenie wejścia do garnizonu, sierżancie. A potem chcę wiedzieć, gdzie, do cholery, ten cały garnizon się podział?

Jans zamrugał gwałtownie, jakby dostał obuchem w głowę.

– Ale... ale, pani porucznik... ja myślałem, że to właśnie pani mi to powie!

## Rozdział 12

# Miasto duchów

– O czym ty gadasz, Tinker?

Breanne nie była w nastroju do zgadywanek. Zdawało się, że wściekłość bulgocząca w jej głosie stopi technika aż po same czubki zdartych butów.

– No bo... pani porucznik, oni po prostu wyszli – wyjąkał Marcus. Pot ściekał mu strużkami po brudnej twarzy, zostawiając na niej jasne smugi. – Myślałem, że pani porucznik jest w kontakcie ze sztabem i będzie wiedzieć najlepiej. To wszystko.

W tym momencie podszedł do nich Littlefield, ciągnąc za sobą skrzynię i – siłą rzeczy – Arda. Odezwał się ściszym głosem, aby nikt inny nie słyszał, Ardo jednak był zbyt blisko, żeby nie doleciały go jego słowa.

– Pani porucznik, ściemnia się, a my nie mamy gdzie się schronić.

Breanne świdrowała Jansa wzrokiem. Furia wzbierała w niej z minuty na minutę, ale słowa Littlefielda przeniknęły nawet przez jej gniew. Podniosła głowę i spojrzała w górę, jakby po raz pierwszy zobaczyła nad murami twierdzy ciemniejące niebo.

– Nie mamy za dużo czasu – wyszeptał Littlefield w ziemię, chociaż słowa były skierowane do kobiety.

– Garnizon został porzucony – powiedziała nagle głośno. – Przypuszczam, że zaszło jakieś cholerne nieporozumienie. Zajmę się wyjaśnieniem tego, a w tym czasie Cutter...

– Tak, pani porucznik?

– W centrum dowodzenia jest izba chorych. Zanieś tam tę kobietę, przywiąż ją do łóżka, a potem zamelduj się z powrotem u mnie. Littlefield, weź Melnikova i idźcie z Cutterem. Niech Melnikov zostanie pilnować tej drogocennej skrzynki, którą taszczyicie, i kobiety... o ile potrafi sobie poradzić z takim zadaniem.

– Poradzi sobie, pani porucznik. Dopilnuję tego.

– Czy w związku z tym mógłbyś również „dopilnować”, żeby dostał nowy karabin, a przy okazji i ty? – Breanne prawie się uśmiechnęła. – Potem wracaj do mnie. Musimy wytyczyć

granice obozu.

Cutter mruknął coś pod nosem i poprawił sobie jęczącą kobietę na rękach. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiało rozczarowanie.

– Wygląda na to, że nie zabawimy się dzisiaj wieczorem, pani porucznik. Atomówka starła Zergi na proszek. Nie zostało nam nic innego, jak tylko wezwać autobus, żeby nas zabrał. Wojna się tu skończyła. – Potrząsnął ze smutkiem głową. – Nie, pani porucznik, nie zabawimy się dzisiaj w nocy.

Littlefield zerknął na Breanne, ale jeśli czekał na jakąś reakcję, to się rozczarował.

– Dostaliście rozkazy – powiedziała zimno, po czym odwróciła się do technika. – Wy, sierżancie, zostaniecie ze mną. Mam do was mnóstwo pytań. Nie chcę, żebyście mi się gdzieś zgubili, zanim usłyszę odpowiedzi.

\* \* \*

Wieczór zapadał szybko, kiedy szli w stronę izby chorych. Coraz silniejszy zachodni wiatr wył i zawodził między zabudowaniami konfederacyjnej twierdzy. Ardo wzdrygnął się na ten odgłos. Miał wrażenie, jakby opuszczone budynki odwzajemniały ich baczne spojrzenia, kiedy lawirowali wąskimi przesmykami. Biorąc pod uwagę ilość nietkniętego sprzętu, który został w bazie, było tu stanowczo za cicho i za spokojnie. Gdziekolwiek Ardo spojrzał, wszędzie widział rzeczy, które były jak najbardziej na swoim miejscu, a jednak coś mu w nich nie pasowało. Mocno ubita ziemia wskazywała, że jeszcze niedawno przetaczały się tędy niezliczone koła, gąsienice i strumienie układów odrzutowych. We wszystkich budynkach paliły się światła. Przez otwarte drzwi jednego ze składów wylewała się na ulicę jasna smuga. W środku stała ładowarka SCV. Plastikowo-metalowa konstrukcja zamarła w dziwnej, na wpół ludzkiej pozie, gotowa do załadowania przenośnego modułu, ale operator urządzenia ulotnił się niczym duch opuszczający umierające ciało. Wszędzie widniały ślady butów żołnierzy i członków obsługi technicznej, którzy powinni w dalszym ciągu chodzić tu po własnych śladach, ale z niewyjaśnionych przyczyn nie chodzili. Czuło się jednak ich obecność, jak się czuje obecność widm. Ardo nie był pewien, czy bardziej by go wytrącił z równowagi widok któregoś z nich, czy też fakt, że wszyscy nagle znikli.

Główna droga garnizonowa okrążała z tyłu północne koszary, po czym łagodnymi łukami biegła po równym terenie w stronę centrum dowodzenia – wielkiej zwalistej budowli, tak samo szerokiej jak wysokiej, o kształcie zbliżonym do płaskiej sferoidy. Od pierwszego rzutu oka widać było, że stawiano ją z myślą o funkcjonalności, a nie estetyce. Zapewne jakiś konfederacyjny kreślarz w departamencie projektowania darzył ten projekt wyjątkowym sentymentem, ale z pewnością był w tym uczuciu odosobniony. Całą ciężką konstrukcję utrzymywały gigantyczne dysze – część mechanizmu odrzutowego, a zdejmowalne zewnętrzne powłoki wzmacniały opancerzony korpus. Na szczycie, na wysokości trzech pięter kłębiła się sieć wieżyczek obserwacyjnych, anten, czujników i najróżniejszych innych

technicznych gadżetów, które dla niewtajemniczonego oka wyglądały na jeden wielki galimatias. Jeszcze wyżej, w podwójnie opancerzonym bloku z oknami wychodzącymi na wszystkie strony świata, władczo patrzącymi na teren garnizonu, mieściła się kwatera sztabu. Paliło się tam jasne światło, ale nic się w środku nie ruszało.

Rampa podjazdowa do centrum dowodzenia była opuszczona, wielkie hydrauliczne wyciągniki wyciągnięte na obie strony. Główna hala również była rzęsiście oświetlona, ale Ardo nie mógł się pozbyć uczucia, że wchodzi w paszczę jakiejś wielkiej, złowrogiej bestii. Mimo to jasne światło dodawało otuchy, kiedy już znaleźli się w środku. Im mniej ciemnych zakamarków, tym lepiej. Główna hala wznosiła się nad nimi na wysokość dwóch pięter. Ardo wiedział, że po lewej i prawej stronie znajdują się obrabiarki minerałów i przetwórnice gazu – serce podtrzymujące życie każdej bazy konfederacyjnej. Zajmowały one prawie całą przestrzeń centrum dowodzenia.

W górze, wciśnięta między dwie ogromne przetwórnice, działała hala konserwacji SCV-ów. Nazwa tego warsztatu była jednak kompletnym nieporozumieniem, zważywszy, że produkowano tam pojazdy konstruktorskie od początku do końca, wykorzystując jedynie materiały z obróbki minerałów. Na ogromnych stelażach bujało się lekko kilka SCV-ów T-280 i Ardo musiał się upomnieć, że to nic innego tylko układy wentylacyjne poruszają rzędami pojazdów.

Nagle poczuł, że powraca ten sam uporczywy ból głowy. Littlefield ruszył przed siebie w stronę windy na drugim końcu hali. Ardo chcąc nie chcąc pobiegł ze skrzynią za nim. Weszli do windy. Po chwili dołączył do nich Cutter.

Ardo skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się bliżej kobiecie, którą dźwigał na rękach wyspiarz. Najbardziej rzucały się w oczy jej gęste skudłaczone włosy. Nie widział twarzy, bo nieprzytomna odwróciła ją w stronę piersi Cuttera. Ubrana była w uniwersalny kombinezon, jaki nosili wszyscy robotnicy w koloniach. Prawdopodobnie używali ich na Mar Sarze robotnicy wodociągowi i pracownicy farm wodnych. W jednym bucie kobiety podszwa oderwała się od cholewki mniej więcej do połowy. Osobliwy wydał się Ardowi ten widok, zważywszy na wszystko, co zapewne spotkało w Oazie jej towarzyszy.

Teraz przynajmniej, kiedy osada dryfowała na wschód w postaci świecącej chmury, nie będą musieli tam wracać i uprzętać zmarłych.

Uprętać zmarłych?

Te słowa utkwily Ardowi w głowie, ale nie mógł im nadać żadnego znaczenia. Poza tym za bardzo bolała go głowa, żeby mógł się nad tym zastanawiać. Lepiej skupić się na bieżącym zadaniu, a o tamtym zapomnieć.

Po chwili winda zatrzymała się na poziomie trzecim. Cutter obrócił się i wyszedł z kobietą na rękach w wąski korytarz. W ogromnej zbroi firebata nie było to łatwe, ale Cutter robił wrażenie, jakby ciężki kombinezon był jego drugą skórą.

– Idziemy – ponaglił Arda Littlefield, szturchając go skrzynką w udo.

Ardo otrząsnął się z zamyślenia i wyszedł z windy.

Izba chorych leżała niemal w samym środku centrum dowodzenia. Nie miała na wyposażeniu zbiorników regeneracyjnych ani żadnej z tych rzeczy, które przeciętny obywatel Konfederacji uznałby za standardowy sprzęt medyczny. Był to w istocie bardziej punkt pierwszej pomocy, przystanek dla rannych żołnierzy, mający za zadanie utrzymać ich przy życiu i wysłać w dalszą podróż do miejsc z lepszą opieką i sprzętem.

Pod ścianą stało kilka łóżek. Większość z nich była starannie, po wojskowemu zasłana, na jednym wszakże pościel leżała skotłowana i zwisała niedbale na podłogę.

Kiedy Cutter wszedł do środka, jego ogromna postać zajęła prawie całe pomieszczenie. Wybrał środkowe łóżko i położył na nim jęczącą kobietę. Dopiero wtedy, po raz pierwszy od rana mógł podnieść osłonę twarzy w swoim hełmie. Pot ściekał mu strugami po brązowej skórze. W tym momencie do izby weszli Littlefield i Ardo.

– Niedobrze – sapnął do nich wyspiarz.

Błyskawicznie odblokował obręcze zamków przy rękawicach i wyciągnął z nich dłonie. Potem sprawnie przypiął kobietę do łóżka za nadgarstki, przez pierś i wokół stóp.

– Trzeba mi więcej ćwiczeń. Muszę się przyłożyć do roboty.

Ardo potrząsnął głową. Cutter przebiegł kilkanaście kilometrów, niosąc kobietę na ramieniu albo na rękach. Nawet ze wspomaganiami pancerza był to nie lada wyczyn. Ardo nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl, że olbrzymi firebat uważał to za oznakę słabości.

Littlefield pociągnął za szkrzynię i poprowadził Arda w prawy kąt pokoju, naprzeciwko łóżek, gdzie stało biurko, a za nim krzesło odwrócone oparciem do ściany.

Tam sierżant stanął jak wryty.

– Patrzcie!

Blat biurka był uprzątnięty i prawie pusty, z wyjątkiem do połowy opróżnionej filiżanki z kawą i na wpół zjedzonej kanapki.

Cutter podszedł do stołu, przyglądał się chwilę filiżance, po czym wziął filigranowe naczynie w ogromną dłoń.

– Jeszcze ciepła – zauważył i jednym haustem wychylił resztkę kawy.

Ardo i Littlefield gapili się na nań osłupiali.

– Przydałby się cukier – stwierdził Cutter, wpychając sobie do ust nadgryzioną kanapkę. Reszta słów ugrzęzła w zapchanych ustach. – No, to ja się zmywam. Jak będziecie czegoś potrzebować, krzyczcie. Ktoś się na pewno zjawi.

Złapał rękawice bojowe i wyszedł z pokoju. Drzwi zasunęły się za nim samoczynnie.

Littlefield z Ardem wymienili spojrzenia i nagle obaj gruchnęli gromkim śmiechem.

– Nie do wiary – wykrztusił Ardo, zanosząc się ze śmiechu.

– To nie tak – powiedział dobrodusznie sierżant. – Jak go lepiej poznać, nie jest taki zły.

Ardo usiadł na fotelu za biurkiem, co w kombinezonie bojowym nie było proste.

– Zna go pan? – zapytał.

– Jasne – odpowiedział Littlefield, siadając na brzegu biurka. – Służył kiedyś pod moją komendą. Nie pasowaliśmy do siebie. Obawiam się, że mój styl bycia nie pasuje do wielu osób.

Zapadło milczenie. Ardo nie wiedział, co powiedzieć. Littlefield odwrócił wzrok.

– To całkiem przytulne miejsce, ale nie zapominaj, że jesteś na służbie. Masz pełnić straż przy chorej i tej skrzynce, czymkolwiek to draństwo jest. Nie powinieneś mieć kłopotów z kobietą, ale na wszelki wypadek bądź na linii, a przede wszystkim pod żadnym pozorem nie śpij! Ja tymczasem pójdę skołować dla nas śliczne nowiutki gaussy i amunicję. Breanne chce wystawić wartę, więc dobrze by było zdobyć też jakieś żarło. Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem.

– Dobra, panie sierżancie – Ardo skinął głową. Dopiero kiedy usiadł, poczuł, jaki jest zmęczony. – Rozumiem.

Littlefield się uśmiechnął.

– Dalej ci głowa dokucza?

– Trochę – odparł Ardo.

– Pewnie zbiornik resocjalizacyjny robi w końcu swoje. Poza tym, słuchaj, jesteś teraz weteranem! Zabiłeś pierwszego przeciwnika w swoim życiu. I przeżyłeś!

*Ciało zerglinga skręcało się w przedśmiertnych drgawkach. Mętne czarne ślepie wpatrywały się w niego.*

*„Potem Bóg rzekł: Niechaj się zaroją wody od roju istot żywych...”*

*Nie mógł oddychać.*

Zmarszczył czoło i odwrócił wzrok.

– Tak jest, panie sierżancie.

Littlefield spojrzał na niego zatroskany.

– Wszystko będzie dobrze, mały. Niedługo wrócę.

Potem wstał i szybkim krokiem poszedł do drzwi. Rozsuwane skrzydło posłusznie otworzyło mu drogę i zasunęło się z powrotem, kiedy przeszedł przez próg.

Ardo odetchnął głęboko. Pozostało mu tylko czekanie, a to była najgorsza rzecz, jaką mógł sobie teraz wyobrazić – zostać sam na sam ze swoimi myślami.

*– Nigdy nie zostawiam cię samej – powiedział z uśmiechem. Pszenica szeleściła wokół koca, na którym leżeli.*

*Zatracił się w jej przejrzystych niebieskich oczach.*

*Złocisty...*

Podniósł się z fotela. Musi być coś, czym mógłby się zająć. Znowu waliło mu w głowie.

Kobieta na łóżku szamotała się nieprzytomnie w pasach, którymi ją przypiął Cutter, i jęczała coraz głośniejsze.

Ardo zaczął przeszukiwać szafki z lekami. Potem zmoczył ręcznik w zlewie i podszedł do chorej.



– Spokojnie, droga pani – powiedział łagodnie. – Nikt tu pani nie skrzywdzi.

Kobieta rzucała głową na boki, skołtunione włosy fruwały w powietrzu i opadały jej na twarz. Z każdą chwilą szarpała się coraz gwałtowniej.

– Hej! Musi się pani odprężyć! Chcemy pani pomóc.

Nic to nie dało. Wtedy Ardo złapał kobietę za ramiona i potrząsnął.

– Przestań! Słyszysz?

Chora nagle przestała się szamotać.

– Nic tu pani nie grozi.

Odetchnął i puścił ją. Ponownie wziął do ręki zmoczony ręcznik i zaczął jej odgarniać włosy z twarzy.

– Jest pani w garnizonie Konfederacji w Widokówce. Nikt tu pani...

Głos mu zamarł.

*Złocisty...*

Zamrugnął oczami. Zadrżał. Kobieta patrzyła na niego z łóżka.

*Aureola długich błyszczących włosów igrała łagodnie z ciepłym wietrzykiem i unosiła się nad polami pszenicy.*

Łzy napłynęły mu do oczu niepowstrzymanym strumieniem.

– Melani? Melani! To ty! Boże drogi, to cud! Cud!

Czule ujął w dłonie jej głowę i przysunął usta do jej warg.

Kobieta wrzasnęła na całe gardło.

## Rozdział 13

# Merdith

Ardo odskoczył jak porażony prądem. W głowie mu waliło.

– Melani! Błagam cię, przestań! To ja!

Kobieta znowu wrzasnęła. Oczy miała wytrzeszczone z przerażenia.

Ardo podniósł ręce, żeby się tylko uspokoiła. Przez łzy i potworne łupanie w głowie prawie nie widział na oczy.

– Proszę cię. Nic ci nie zrobię. Jesteś w szoku... jesteś ranna. Tyle czasu... Ja...

– Trzymaj się ode mnie z daleka, ty draniu! – Zęby jej zadzwoniły, kiedy próbowała zapanować nad strachem. – Gdzie ja, do diabła, jestem?

– Jesteś w izbie chorych w... w...

Skrzywił się. Ból, który rozsadzał czaszkę, nie pozwalał mu myśleć.

– W garnizonie... w Widokówce, na Mar Sarze. To jest... baza Konfederacji.

Kobieta znów zaczęła się szarpać ze wszystkich sił, aż zatrzęsła się cała rama leżanki przymocowanej do ściany, ale Cutter sumiennie wykonał swoje zadanie. Po kilku chwilach opadła z powrotem na łóżko, dysząc ciężko z wyczerpania.

– Melani, proszę cię – mówił Ardo, próbując powstrzymać łzy i mocując się z obręczami rękawic. – Gdybyś wiedziała, jak ja marzyłem o tej chwili... jak za tobą tęskniłem... Tysiące razy widziałem w tłumie twoją twarz...

Kobieta odwróciła do niego głowę i zamrugła oczami. Widać było, że walczy ze sobą, żeby zachować przytomność.

– To jest baza Konfederacji?

– Tak! – Z udręką na twarzy Ardo zrobił krok w jej stronę. – Och, Melani, gdybyś tylko wiedziała, jak mi przykro...

– Zrób jeszcze jeden krok, skurwysynu, to cię zabiję! – wrzasnęła kobieta.

Ardo znieruchomiał. Był kompletnie zdezorientowany. Nie mógł się ruszyć ani w przód, ani w tył. W końcu łupanie w głowie stało się nie do zniesienia. Z gardła wyrwał mu się jeden

zduşzony krzyk i Ardo osunął się na podłogę, zanosząc się szlochem bez opamiętania. Opadły go wspomnienia. Żłociste pola. Żłociste włosy. Wrzaski i karmazynowa czerwień krwi.

Po chwili usłyszał jej głos.

– Hej, żołnierzyku, już dobrze. Uspokój się, wszystko będzie dobrze. – Ardo spojrział w górę przez łyzy. – Tylko się uspokój. Porozmawiajmy... Po prostu pogadajmy spokojnie... W porządku? Pomogę ci przez to przejść. Zgoda?

Ardo powoli skinął głową. Był wyczerpany. Nie wstając z podłogi, oparł się o biurko.

– Tak dobrze – powiedziała kobieta spokojnie, ważąc każde słowo, jakby miała przed sobą samobójcę i chciała go odwieść od szalonego zamiaru skoczenia ze skały w przepaść. – Po prostu siedź tam, gdzie siedzisz. Pogadamy chwilę i wszystko sobie wyjaśnimy.

Znów skinął niepewnie głową.

– Mam na imię Meredith. A ty?

Ardo głośno wciągnął powietrze.

– Popatrz na mnie.

Nie był pewny, czy ma dość sił, żeby to zrobić.

– Och, Melani...

– Popatrz na mnie – powtórzyła Meredith, tym razem bardziej rozkazującym tonem.

Podniósł oczy.

– Przyjrzyj mi się uważnie. – Leżała nieruchomo, nie spuszczać ciemnych oczu z jego twarzy. – Popatrz na moje włosy... przyjrzyj się im. Czy to są włosy Melani?

Ardo usiłował zebrać myśli.

– Przyjrzyj im się... widzisz? Czy to są włosy Melani?

Były inne, na pewno dużo ciemniejsze, mimo tego, że brudne. Melani miała takie piękne, jasne i...

– Moje oczy – zakomenderowała znowu Meredith. – Czy to są oczy Melani?

Ardo przeniósł wzrok i spojrział w ciemne, prawie czarne oczy kobiety. Były jak dwa głębokie stawy w górskiej jaskini. Melani miała takie jasne, błękitne oczy.

Odwrócił wzrok.

– Nie... to nie są oczy Melani.

– Cześć, mam na imię Meredith – powtórzyła kobieta cicho. – A ty?

– Ardo... Ardo Mel... szeregowy Ardo Melnikov, proszę pani. – W dalszym ciągu nie mógł popatrzeć na kobietę leżącą na łóżku. – Przepraszam... ja... nie wiem, co się ze mną stało. Proszę... proszę mi wybaczyć.

– W porządku, żołnierzyku. Nikomu nie stała się krzywda. – Meredith popatrzyła na sufit i zastanawiała się chwilę, zanim się znów odezwała.

– Jesteś resocjalny, prawda?

– Słucham? – Przed chwilą ból w głowie nieco zelżał i teraz właśnie zapowiadał swój gwałtowny powrót.

– Neuralnie zresocjalizowany. Przechodziłeś ćwiczenia przez nakładkę pamięciową, mam rację?

– Tak... czyli chyba jestem resocjalny... czy jak to pani nazwała. – Nagle znów się poczuł bardzo zmęczony. – No dobrze, przeprosiłem panią za swój wybryk. Naprawdę jest mi przykro, ale teraz... lepiej już nie rozmawiajmy.

Zebrał z ziemi rękawice, odepchnął się od podłogi i stanął na nogach. Nie mógł się zmusić, żeby drugi raz spojrzeć na kobietę. Podeszedł do biurka i usiadł w fotelu, szukając samotności.

Od długiego czasu jednak nie mógł być sam. Zwłaszcza ostatnio. Nękały go upiory ukryte w jego własnej głowie. Sama myśl, żeby siedzieć tu i czekać na Littlefielda, była męczarnią. Potrzebował zająć czymś myśli, odwrócić uwagę od czarnych widm, które tylko czyhały, żeby go ostatecznie pogrążyć.

Przed nim stała metalowa skrzynka – skarb, przez który omal nie zginął, a przez który zginęło tylu innych żołnierzy.

Oto była zagadka, która go mogła zaabsorbować. Skrzynka miała uchwyty z obu stron. Pokrywę przytrzymało sześć zamków zatraskowych, których nie zablokowano, co Ardo uznał za wystarczające zaproszenie do otwarcia tajemniczego pudełka.

Wyciągnął rękę i otworzył pierwszy zamek.

– Hm, nie robiłabym tego na twoim miejscu.

Ardo podniósł wzrok. Meredith nadal leżała przywiązana do łóżka. Mówiła do Arda, ale nie spuszczała oczu ze skrzynki.

– Dlaczego? – zapytał Ardo martwym głosem.

– Bo... raczej nie chciałbyś wiedzieć, co jest w środku.

Ardo prychnął i jednym ruchem otworzył drugi zamek. Meredith wyraźnie aż drgnęła.

– Mówię poważnie, żołnierzyku.

– Wierzę – powiedział Ardo z westchnieniem i jakby od niechcenia otworzył trzeci zatrask.

Tym razem Meredith podniosła głos i powiedziała z naciskiem:

– Jest taka starożytna terrańska legenda o kobiecie imieniem Pandora. Słyszałeś o niej, chłopcze?

– Tak – odparł Ardo z rozdrażnieniem. Miał kłopot z otwarciem czwartego zamka. Wyglądało, jakby mechanizm się zaciął. – Wyobraź sobie, że w koloniach nie mieszkają same tłumoki. Uczyłem się mitologii w szkole.

Stęknął i wreszcie czwarty zatrask odszkoczył.

– To tam ją poznałeś? – zapytała szybko Meredith. – Tam poznałeś Melani?

Ardo znieruchomiał.

– O czym pani, do diabła, mówi?

– O Melani. Pytam o Melani. – Meredith nerwowo oblizwała wargi. – Ja tylko... chciałam po

prostu zapytać, gdzie ją poznałeś, to wszystko.

– Słuchaj no, droga pani...

– Merdith. Mam na imię Merdith.

– Dobra, Merdith, więc słuchaj. To było dawno temu na planecie, o której prawdopodobnie nigdy nie słyszałaś, a nawet gdybyś słyszała, to i tak by cię nie obchodziła. – Potrząsnął głową i popatrzył na następny zamek. – Zresztą, to już nie ma znaczenia.

– Co się tam wydarzyło? – naciskała Merdith. – Co się stało z Melani?

Ardo poczuł przeszywający ból w prawym oku. Skrzywił się.

– Opowiedz mi... opowiedz, co się z nią stało?

*Zergi nacierały teraz ze zdwojoną zaciekłością, rozjuszzone faktem, że statek Konfederacji pozbawia je lupu. Ostupiał, widząc, jak łatwo i szybko potwory wdzierają się w tłum i zostawiają po sobie krwawe pokłosie. Jeszcze chwila i dopadną Melani.*

Zadrżał.

– Nieważne... Nie powinnaś pytać.

– Chcę wiedzieć – nalegała Merdith. – Co pamiętasz z tamtej chwili, Ardo? Co ci stoi przed oczami?

*Jeszcze chwila i dopadną Melani.*

*Młócił rękami na oślep, przepychał się pod prąd uciekających kolonistów. Wrzasnął ze wszystkich sił.*

*Trzy hydryliski złapały Melani jednocześnie i zaczęły ją odciągać na bok.*

– Co widzisz?

– Zostaw mnie w spokoju!

– Ardo, błagam! – łkała. – Nie zostawiaj mnie samej! Bezmyślny tłum wepchnął go w głąb desantowca.

Merdith nie dawała mu spokoju.

– Powiedz mi!

– Ona nie żyje! – wybuchnął Ardo. – Nie żyje! Zergi napadły na naszą osadę. Statek Konfederacji przyleciał, żeby nas ewakuować. Próbowałem ją ratować, ale mi się nie udało! W porządku? Próbowałem... Próbowałem ją wciągnąć do desantowca, ale rozdzielił nas tłum... i... i nie mogłem... po prostu nie mogłem...

Głos mu się załamał. Ze zdziwieniem zobaczył w oczach Merdith odbicie swego własnego smutku.

– A więc to ci powiedzieli, żołnierzyku? I ty w to wierzysz?

Właśnie w tym momencie rozległ się sygnał kanału dowódczego w hełmofonie Arda. Odgłos rozszedł się po całym pokoju. Jakąś częścią świadomości Ardo rozpoznał te dźwięki, ale nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

– Żal mi cię, żołnierzyku.

Znów zadzwieczał sygnał łączności. Co ta kobieta próbuje mu powiedzieć? Po raz trzeci

odezwał się kanał dowódczy.

– Nie powinienes odpowiedzieć? – zapytała Meredith.

Ardo otrząsnął się z oszołomienia i otworzył łącze.

– Tu Melnikov.

– *Tu Littlefield. Wszystko w porządku, synu?*

Meredith nie spuszczała z niego baczego spojrzenia. Ardo zaczął nabierać coraz więcej nieufności do tej osobliwej kobiety. Odszedł za biurko, żeby nie mogła słyszeć głosów z hełmofonu.

– Tak, panie sierzancie, u nas wszystko w porządku.

– „U nas”? *Ho, ho. Dobra, znalazłem nam dwa nowiusieńkie impalery C-14, prosto z magazynu. Idę do ciebie. W jakim stanie jest nasz więzień?*

– Jest bardzo rozmowna – odparł Ardo, wywołując na twarzy Meredith krzywy uśmiech.

– *I lepiej niech taka zostanie, bo porucznik właśnie chce, żebyśmy ją zaprowadzili do kwatery sztabu, razem ze skrzynką. Jestem na dole, wchodzą do budynku. Wyłączam się.*

Ardo wyłączył hełmofon i szybko zaczął zamykać zamki metalowej skrzynki.

– Mam nadzieję, żołnierzyku, że znajdziemy jeszcze okazję do rozmowy – powiedziała Meredith głosem jak jedwab. – Mam ci do powiedzenia coś o losie Melani, co naprawdę powinienes wiedzieć.

– Nie możesz nic na ten temat wiedzieć.

– Ale wiem.

– Co, na przykład?

– Że to wszystko kłamstwo, żołnierzyku. Wszystko to kłamstwo.

## Rozdział 14

# Malejące zyski

– Hej, Melnikov! Porucznik nas wzywa, mamy natychmiast iść na górę, do kwatery...  
Melnikov, co ci jest?

Ardo ledwie zauważył, że ktoś wszedł do pokoju. Oczy mu się zwęziły. Nie odrywał wzroku od Meredith.

– Co takiego?!

Littlefield myślał, że pytanie było skierowane do niego.

– Powiedziałem, że porucznik wzywa nas do kwatery sztabu. Hej, nie zgubiłeś czegoś?

To powiedziawszy, rzucił Ardowi nowego gaussa C-14. Dotyk twardego metalu podziałał uspokajająco. Ardo odruchowo sprawdził komorę, zarejestrował w pamięci liczbę nabojów w magazynku i załadował karabin. Dobrze było zrobić coś tak automatycznego i bezmyślnego.

– Co z nią? – Sierżant ostrożnie położył własnego gaussa na metalowej skrzynce i podszedł szybkim krokiem do łóżka, na którym leżała Meredith. – O, widzę, że odzyskała pani przytomność. Jak się pani czuje?

– Skrępowana – odrzekła Meredith zimnym tonem.

Littlefield zaśmiał się do siebie i sprawdził jej źrenice.

– No, w każdym razie nie straciła pani humoru. Nic sobie pani nie złamała ani nie zwichnęła?

– Zawsze można mnie przenieść – odparła Meredith.

– Tak, ale założę się, że ciężko panią ruszyć – zachichotał Littlefield, wyprostowując się.

– No dobra, zaraz panią odepnę. Porucznik chce zamienić z panią kilka słów. Nie ma się czego obawiać. Dopiero co wyciągnęliśmy panią z paskudnej dziury, to po prostu rutynowe przesłuchanie. Rozumie pani?

Meredith skinęła głową.

– A więc nie sprawi mi pani kłopotu?

– A gdybym sprawiła, to co?

– No cóż... obaj z kolegą mamy wielkie spluwy.

– Wszyscy tak mówią – roześmiała się z kolei Merdith. – Nie będę sprawiać żadnych kłopotów, sierzancie. Ja też chcę porozmawiać z waszym dowódcą. Obiecuję, że będę grzeczna.

– To mi się podoba – powiedział z zadowoleniem Littlefield i zaczął odpinać pasy. – Jestem pewien, że zostaniemy przyjaciółmi, jak tylko wyjaśnimy sobie kilka spraw. Prawda, Melnikov?

– Tak jest, panie sierzancie – odpowiedział mechanicznie Ardo, chociaż w głębi ducha wcale nie był tego taki pewien.

Littlefield odpiął ostatni pasek na kostce Merdith, po czym szybko cofnął się o jeden duży krok.

– Przestraszył się pan?

– Jestem po prostu ostrożny – odparł Littlefield, sięgając w tył po karabin.

– A co z bezcenną skrzynką? – Ardo usłyszał w głosie Merdith wystudiowaną obojętność.

– Bierzymy ją ze sobą?

– A czemu to panią interesuje? – Littlefield przyjrzał się Merdith podejrzliwie.

– Robiłam za opiekunkę dla tego maleństwa przez jakiś czas. Powiedzmy, że przywiązaliśmy się do siebie.

Zsunęła się z łóżka i podniosła się ostrożnie. Mimo to źle stąpnęła lewą nogą i musiała się czegoś złapać, żeby nie upaść. Usiadła.

– Coś panią boli? – zapytał Littlefield.

– Tylko duma.

Uniosła nogę, żeby obejrzyć zniszczony but. Potrząsnęła głową.

– To była moja ulubiona para. No cóż, jak zwykle mawiać moja mama: radź sobie, jak możesz, a jak nie możesz, to tak, jak musisz. Macie tu gdzieś taśmę hydrauliczną, sierzancie?

– Taśmę hydrauliczną? – roześmiał się Littlefield. – Czy to czasem nie jest ciut przestarzała technologia?

– Niech pan to powie pierwszemu lepszemu inżynierowi – odparła Merdith, utykając w stronę drzwi. – Wszystko można naprawić, jak się ma taśmę hydrauliczną.

\* \* \*

Kwatera sztabu mieściła się na samym szczycie centrum dowodzenia. Wielki Projektant – kimkolwiek był – postanowił zrobić z niej coś na kształt wielkiego pudełka z pochyłymi osłonami i pierścieniem transstalowych okien dookoła. Oficer w sztabie mógł przez nie wyglądać na wszystkie strony świata, chodząc po platformach biegnących pod ścianami dookoła pomieszczenia. Głównym jednak miejscem kwatery sztabowej było centrum operacyjne – okrągły podest ustawiony na samym środku sali. Stąd członkowie sztabu nadzorowali wszelkie operacje wojskowe za pośrednictwem konsoli rozmieszczonych w całej



kwaterze sztabowej, zarówno na przyokiennej platformie, jak i na środkowym podejściu. Oczywiście rzadko sytuacje wymagały uruchamiania wszystkich tych urządzeń naraz. Pokrywy transportowe zdejmowano z konsoli tylko wówczas, kiedy wymagała tego misja. Podobno osobom wtajemniczonym wystarczyło rozejrzeć się po konsolach, które odsłonięto do użytku, żeby wiedzieć, jaki jest cel przeprowadzanej misji.

Kiedy Ardo, Littlefield i Meredith wysiedli z windy, Ardo ze zdumieniem stwierdził, że zdecydowana większość konsoli tkwiła cały czas pod pokrywami. Przed wyruszeniem do Oazy nie miał czasu rozejrzeć się dokładnie po bazie. Właściwie nie widział wtedy nic poza koszarami. Teraz, kiedy weszli do kwatery głównej, jeden rzut oka powiedział mu, że poza nimi rzeczywiście niewiele więcej w tym garnizonie było. Otwarta stała konsola fabryki i przystawka warsztatów zbrojeniowych. Jak widać, mogli tu produkować podstawowy sprzęt, ale na tym właściwie koniec. Była jeszcze jedna konsola składów magazynowych. Arda jednak dużo bardziej interesowało to, czego nie otwarto, co stało zapakowane i nieużywane. Konsole zbrojowni, zakładów konstrukcyjnych, lądowiska – wszystkie one były zamknięte i zabezpieczone. Co więcej, nie otwarto również dotąd konsoli rafineryjnej, a to oznaczało, że nie mogli produkować własnego gazu do produkcji i zasilania cięższego sprzętu. Dysponowali tylko tym, co zostało w składach i magazynach. Z radością natomiast zauważył Ardo jeszcze jeden nie rozpakowany panel – najwyraźniej nie było w Widokówce również akademii.

Widać nie ma tu nic do roboty, pomyślał. Po co w takim razie w ogóle zakładali tę bazę?

Porucznik Breanne pochylała się nad pulpitem dowódczym na środku centrum operacyjnego. Obok niej Cutter słuchał z uwagą, kiedy pokazywała palcem na wyświetloną mapę.

– Obwarowanie ciągnie się tylko na jakieś trzy czwarte obwodu bazy. Kończy się tu... i tu... na szczycie tej ściany skalnej. To dziesięciometrowe urwisko plus jakieś osiem metrów skalnego miału do dna wąwozu. Ściana jest z piaskowca, śliskie paskudztwo, nawet dla Zergów. Wylot wąwozu wychodzi na równinę krateru, która teraz jest po większej części stertą radioaktywnego pyłu. Nie sądzę, żeby się mogli tamtędy przedostać, ale nie chcę też żadnych niespodzianek z ich strony.

– Pani porucznik – odezwał się Littlefield.

Breanne nie podniosła wzroku znad pulpitu.

– Tak, dziękuję, sierzancie. Cutter, leć do obwarowań. Niech Xiang i Mellish rzucą okiem na wieżyczki, czy na pewno wszystkie działają. Potem wystaw warty tak, jak ustalaliśmy.

– Wedle rozkazu, pani porucznik – odpowiedział Cutter, salutując służbiście.

Potem zeskoczył z platformy, aż podłoga zadrżała pod ciężarem ogromnego cielska odzianego w zbroję firebata. Na widok Meredith szeroka twarz Cuttera zablęśla uśmiechem od ucha do ucha.

– No, królowno! Miło widzieć, że otworzyłaś oczy.

– Prawdopodobnie mi to pochwlebia – ziewnęła Meredith.

– I powinno! Nie każda kobieta może się poszczycić, że ją uratował Fetu Koura-Abi!

To rzekłszy, wyspiarz grzmotnął pięścią w napierśnik swojej ciężkiej zbroi, po czym dodał z największą galanterią, na jaką go było stać:

– Proszę mi teraz nie dziękować. Jestem pewien, że znajdzie pani później lepszy sposób, żeby mi okazać swoją wdzięczność.

Meredith zatrzepotała rzęsami.

– Ach, Boże, dzięki, że mnie tu przyniosłeś, mój ty wielki żołnierzu!

Cutter nie usłyszał w jej głosie ironii.

– He, he. Znajdź mnie później, a zaopiekuję się tobą jeszcze lepiej.

Z tymi słowami pomaszerował dumnie do windy, nieświadom kwaśnego grymasu i wywróconych oczu Meredith.

Te jednak nie uszły uwagi porucznik Breanne, która z rękami skrzyżowanymi na piersi obserwowała scenę z wysokości centrum operacyjnego. Zdawało się, że krótko ostrzyżone włosy same najeżyły jej się na głowie.

– Jestem porucznik L. Z. Breanne z oddziałów konfederacyjnych marines. A pani?

Meredith uważnie zmierzyła ją wzrokiem.

– Nazywam się Meredith Jernic. Pracuję... hm, raczej pracowałam w Oazie jako inżynier.

– Jako inżynier?

– Tak właśnie powiedziałam.

– I przy czym to pani pracowała?

– Przy studniach ciepłych i systemie skraplaczy.

– Rozumiem. – Porucznik Breanne zeszła z podestu, ale ręce nadal trzymała skrzyżowane na piersiach. – A kiedy panią znaleziono, trzymała pani tę skrzynkę.

– Nie wiem – odpowiedziała Meredith obojętnie. – Zdaje się, że byłam wtedy nieprzytomna.

Breanne zaśmiała się sztucznie.

– To bardzo wygodne, prawda?.

– No cóż, jeśli mają panią zjeść Zergi, zdecydowanie polecam stracić przedtem przytomność.

Breanne wpiła wzrok w oczy Meredith.

– Czy wie pani, co jest w skrzynce?

Meredith zawahała się przez moment.

– A pani? – zapytała w końcu.

Breanne uśmiechnęła się nieznacznie i podeszła do Littlefielda i Arda, którzy trzymali skrzynkę.

– No to, dowiedzmy się.

– Chwileczkę – powiedziała cicho Meredith.

Breanne jednym szybkim ruchem otworzyła dwa zamki.

– Proszę tego nie otwierać – powiedziała Meredith dobitnie.

Porucznik podniosła na nią lodowaty wzrok.

– Zdaje się, że ma pani coś do powiedzenia.

Meredith oblizwała wargi.

Breanne dopadła do niej dwoma błyskawicznymi susami. Kanciasta twarz pani porucznik znieruchomiała kilka centymetrów od twarzy Meredith.

– Co takiego ważnego jest w tej skrzynce?

Meredith odwróciła twarz.

Głos Breanne był cichy i groźny.

– Miałam dzisiaj bardzo długi dzień, droga pani, i nie mam najmniejszej ochoty przedłużać go jeszcze bardziej. Dowództwo Konfederacyjnych Marines przysłało tu mnie i moich ludzi, żebyśmy odzyskali tę skrzynkę. Nie zadawałam pytań. Wyszadzi mi na jakiejś przeklętej planecie w pogranicznych koloniach... Nadal nie zadawałam pytań. A teraz, kiedy wreszcie dorwaliśmy to cholerne pudło, zostawili mnie tu na pastwę losu. Desantowiec, który miał nas ewakuować, zostawił nas ni stąd, ni zowąd... a za plecami zrzucili nam bez ostrzeżenia taktyczną głowicę jądrową...

Bez ostrzeżenia? – pomyślał Ardo. A więc Breanne nie wiedziała nawet o bombie?

– ... straciłam połowę plutonu, próbując się wydostać z tego całego bajzlu. I po co? Po to, żeby się dowiedzieć, że po naszej bazie wypadowej tylko wicher hula! No więc teraz... teraz w końcu mam kilka pytań. I pani mi na nie odpowie.

Oczy Meredith błysnęły gniewnie.

– Co jest w tej skrzynce?

– Dowód.

– Dowód na co?

– Na to, że Konfederacja sprowadziła Zergi na Mar Sarę – powiedziała Meredith. – Dowód na to, że Konfederacja przygotowuje przerażającą broń, która może doprowadzić do zagłady ludzkości na wszystkich planetach.

Breanne prychnęła z niedowierzaniem i ruszyła z powrotem w stronę skrzynki. Znów zaczęła otwierać zamki.

– Więc chce mi pani zamydlić oczy stertą papierów i tym podobnych „dowodów” i myśli pani, że uwierzę...

– Proszę! Niech pani tego nie otwiera!

Jednym błyskawicznym ruchem Breanne wyciągnęła broń i wycelowała między brwi Meredith.

– Niby czemu?

– Ponieważ – powiedziała Meredith cicho, a jej głos był równie spokojny jak spojrzenie utkwione w lufie karabinu – w tej skrzynce jest urządzenie, które zwabi tutaj Zergi. Jeśli

otworzy pani wieko, uruchomi je pani, a wtedy każdy zergling, hydralisk i mutalisk, znajdujący się w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od tego budynku, poruszy niebo i ziemię, żeby się tu dostać.

– Pani oszalała – mruknęła Breanne.

– Nie – powiedziała jeszcze ciszej Merdith. – Z całym szacunkiem, ale to, co pani mówi, odnosi się do ludzi, którzy konstruują takie urządzenia.

Ardo wstrzymał oddech. Miał wrażenie, jakby przysłuchiwał się tej rozmowie z jakiejś ogromnej odległości. Karabin w ręku Breanne nawet nie drgnął.

– A więc ukradła pani to... urządzenie?

– Nie. Jak powiedziałam, jestem inżynierem. Synowie Korhala przynieśli mi je do zbadania.

– Synowie Korhala? – Littlefield potrząsnął nieufnie głową. – Kim, do diabła, są Synowie Korhala?

– Nie mam pojęcia – prychnęła Breanne. – Pewnie jacyś tamtejsi piniacze. Korhal jest jedną z planet wchodzących w skład Konfederacji, które zbuntowały się jakiś czas temu. Kiedy ostatnim razem o nim słyszałam, podlegał czasowej blokadzie. To się często zdarza ostatnimi czasy. Izoluje się małe grupy rebeliantów, które próbują osłabić jedność Konfederacji.

– Jesteśmy coraz liczniejsi – prychnęła Merdith. – Może jeszcze nie dość silni, ale z każdą duszą, z każdym domem, z każdą planetą nasza siła rośnie. Stanowimy coraz większe zagrożenie dla, tak zwanej, Konfederacji.

– Terroryci – warknęła Breanne.

– Rewolucjoniści – odparowała Merdith.

– Komary z manią wielkości – burknęła Breanne. – A więc ci terroryci przynieśli do pani tę skrzynkę... – Zniżyła głos do szeptu. – A pani ją otworzyła. Prawda?

Merdith w milczeniu wpatrywała się w wylot lufy.

Breanne opuściła broń i schowała ją do pochwy.

– Merdith Jernic, aresztuję panią do czasu wszczęcia śledztwa w sprawie kradzieży majątku Konfederacji.

Merdith uśmiechnęła się do siebie i potrząsnęła głową. Ardowi to aresztowanie wydało się absurdem, ale Breanne zawsze robiła wszystko zgodnie z regulaminem, choćby to się zdawało najbardziej niedorzeczne.

– Przeprowadzę dochodzenie w sprawie pani zeznań i jeśli okażą się zgodne z prawdą, zostanie pani zwolniona. Rozumie pani?

Merdith skinęła głową, tłumiąc śmiech.

– Lepiej, niż pani myśli.

– Littlefield, zostaw skrzyknę tutaj i idź z tą kobietą do koszar, żeby coś zjadła. Za godzinę przyprowadź ją tu z powrotem.

– Pani porucznik... – odezwał się Ardo.

– Macie coś do powiedzenia, szeregowy?

Pod wpływem lodowatego spojrzenia stalowych oczu Ardo poczuł się nieswojo.

– Tak, pani porucznik. Mogę wziąć ten obowiązek na siebie. Sam chętnie coś zjem, a sierżant będzie mógł się zająć pilniejszymi sprawami.

– Zgłaszasz się na ochotnika, Melnikov?

– Tak jest, pani porucznik... jeśli to nie jest kłopot.

Breanne wzruszyła ramionami.

– Proszę bardzo. Littlefield, znajdź sierżanta Jansa i przyprowadź go do mnie. Spróbujemy poskładać tę łamigłówkę do kupy. Aha, Melnikov...

– Słucham, pani porucznik?

– Masz ją tu sprowadzić za godzinę – powiedziała z naciskiem Breanne. – Nie chcę, żeby jej się coś stało, ale przede wszystkim jej nie zgub.

– Tak jest.

Ardo wziął Meredith za ramię i poprowadził w stronę windy. Może porucznik Breanne nie miała do tej kobiety więcej pytań, ale on miał ich mnóstwo i z całą pewnością nie miał zamiaru jej teraz zgubić.

## Rozdział 15

# Przed oczami duszy

Zbiegli po rampie i skręcili w lewo do najbliższych koszar. Między zabudowaniami garnizonu wściekły zachodni wiatr gnał kłęby kurzu i pyłu. Wirujące tumany piasku szeptały i jęczały w ciasnych przesmykach. Kombinezon chronił Arda przed zjadliwymi atakami wichury, ale Meredith była całkowicie odsłonięta. Prawą ręką przytrzymywała klapę kombinezonu i osłaniała twarz przed szalejącym żywiołem, podczas gdy lewa tkwiła w żelaznym uścisku żołnierza.

Ardo chciał jak najszybciej znaleźć się w środku, lecz bynajmniej nie z troski o marną osłonę swojego więźnia.

Prześliznęli się pomiędzy wielkimi dyszami południowych koszar. Przed wejściem do budynku kładła się na ziemi smuga złotego światła.

Uwielbiam koszary, pomyślał nagle Ardo. Nie wiedział tylko, czemu go zawsze mdli, kiedy do nich wchodzi. Nie zaprzętał sobie jednak tym głowy – miał i bez tego o czym myśleć. Nie puszczając ramienia Meredith, wprowadził ją po rampie do sali uzbrojenia.

Było to w całym zatłoczonym budynku koszar najprzestronniejsze pomieszczenie. Dookoła stały szafki na ekwipunek i stojaki na broń. Większość była zamknięta, tylko kilkoro drzwiczek bujało się otworem. Na podłodze przed jedną z szafek leżał zestaw naprawczy. Najwyraźniej ktoś tu latał kombinezon i niedawno stąd wyszedł.

Całe pomieszczenie wyglądało na porzucone w pośpiechu. Kolejne pytania. Głowa Arda zaczynała od nich boleć. Na szczęście odpowiedzi na kilka z nich miał – całkiem dosłownie – pod ręką.

– Nic pani nie jest? – zapytał niedbale. – Wiatr jest dzisiaj okropny.

Meredith zakasłała, otrzepując z ubrania piasek i pył.

– Ten wiatr jest okropny codziennie, żołnierzyku. My tu dorastamy na piasku. On nam nie przeszkadza. – Westchnęła, skrzywiła się, a po chwili spojrzała Ardowi w twarz przez osłonę hełmu. – Słuchaj, czy gdybym ci obiecała, że nie ucieknę, mógłbyś puścić moją rękę?

Ardo zamrugnął i puścił ją.

– Dobrze... Chyba nie zrobi pani żadnego głupstwa?

– Obiecuję, że przez całą noc nie zatańczę z żadnym innym mężczyzną. – Przerwała i rozejrzała się po pomieszczeniu, z którego prowadziło kilka wyjść. – No dobra, więc gdzie tu chodzicie, kiedy chcecie zaprosić dziewczynę na kawę?

– Tą służą na prawo – wskazał Ardo wylotem lufy. – Pani przodem... Nalegam.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się nieznacznie. Ardo odwzajemnił uśmiech, podnosząc jednocześnie osłonę twarzy. Potem Merdith skinęła głową i ruszyła w stronę służy. Ciężkie drzwi ciśnieniowe otworzyły się przed nią lekko.

W korytarzu panował półmrok. Wzdłuż przejścia po obu stronach stały wielkie pojemniki z przezroczystego szkła, wypełnione zielononiebieską substancją. Płyn krążył w cylindrze bez chwili przerwy. Monitory nad każdym z nich informowały, że urządzenia są gotowe do użytku. Każdy ze zbiorników miał własny panel kontrolny, na końcu korytarza zaś, obok następnej służy znajdowała się kabina sterownicza.

– O, bogowie – powiedziała Merdith z nutą podziwu w głosie. – To są komory do resocjalizacji neuralnej, prawda? A więc to przez to właśnie przechodzicie...

– Proszę się nie zatrzymywać – powiedział Ardo. – Proszę iść dalej, do tamtych drzwi.

– Co się stało? Co ci jest, chłopcze?

– Niech pani idzie dalej – warknął Ardo.

– Nie lubisz tego miejsca, prawda? Boisz się go. Czuję to.

– Powiedziałem, dalej!

Na ten krzyk Merdith skrzywiła się i szybko poszła do drzwi na końcu korytarza.

– Na prawo – zakomenderował Ardo.

Miał w głowie zamęt. Uwielbia resocjalizację... Nienawidzi jej... Nie może się jej doczekać... Prędzej w łeb sobie strzeli, niż wejdzie do któregoś z tych zbiorników.

Merdith otworzyła drzwi i wyszła na jasno oświetlony korytarz. Ardo dosłownie deptał jej po piętach. Minęli szatnię, gdzie rano złożył swoje rzeczy, i wreszcie przez ostatnią służę weszli do stołówki.

Była to nieduża sala, ale praktycznie rozplanowana i wygodna. Nagła ewakuacja personelu garnizonowego, bez względu na to, jaki był jej powód, z pewnością nie nastąpiła w czasie pory posiłku. Kuchnia wyglądała tak, jakby jej nigdy nie używano. Ardo ucieszył się, że przynajmniej tutaj nikt po sobie niczego nie zostawił. Miał już dość przypominania, że ich baza, jeszcze kilka godzin temu tłoczna i hucząca życiem, została nagle kompletnie opuszczona.

– Przytulnie tu macie – zauważyła od niechcienia Merdith. – Trochę sterylnie, ale przyjemnie.

– Dozowniki z jedzeniem są pod ścianą – powiedział Ardo, znów wskazując lufą karabinu. – Obsługa jest łatwa. Trzeba po prostu...

– Umieję się obsłużyć w kuchni, żołnierzyku. – Meredith ruszyła w stronę rzędu automatów zjedzeniem i picciem. – Chcesz czegoś? Może kawy?

– Nie, proszę pani. Nie piję kawy.

Meredith wyjęła z automatu kubek i zaczęła go napełniać.

– Naprawdę? To ciekawe. Wiesz, że kiedy wysyłano z Ziemi pierwszych kolonistów, większość z nich błagała, żeby wolno im było wziąć ze sobą właśnie kawę?

– Tak, słyszałem o tym.

Meredith odwróciła się od automatu z parującym kubkiem w ręku i oparła się o ścianę. Zapadło milczenie. Tyle pytań Ardo chciał zadać naraz, że teraz wszystkie zaczęły mu się kłębić bezładnie w głowie i wpadać jedno na drugie. Co takiego powiedziała wtedy ta kobieta, zanim się zjawił Littlefield? Że to wszystko kłamstwo? Tylko teraz, kiedy Ardo zaczął się nad tym zastanawiać, nie mógł sobie przypomnieć, o czym dokładnie rozmawiali.

– Czy ktoś może nam tu przeszkodzić?

Ardo wrócił myślami do rzeczywistości i rozżłościł się na siebie. Przecież miał pilnować tej kobiety. Następnym razem taką chwilę nieuwagi może przypłacić życiem.

– Słucham?

– Pytałam, czy jesteśmy sami. Czy przez jakiś czas nikt nam tu nie będzie przeszkadzał?

Ardo się zarumienił.

– Ja... Nie powinna pani mówić takich rzeczy. To... to niewłaściwe.

Meredith zaczęła już odpowiadać, ale raptem przerwała. Jej zwiędnięte usta rozciągnęły się w uśmiechu zadowolenia.

– Myślałeś, że ja chcę...

– Nie, nie, proszę pani. Nieważne, co myślałem.

Ardo poczuł, że robi się czerwony jak burak i wiedział w dodatku, że nic a nic nie może na to poradzić.

– Ja, ja tylko pani pilnuję i to by było... niestosowne.

– Niestosowne?

Stanowczo ta kobieta miała zbyt duży ubaw jego kosztem.

– Tak, proszę pani! Niestosowne!

– Nie do wiary. – Meredith wzięła długi łyk kawy, po czym uniosła kubek w stronę Arda, jakby w toaście. – Jesteś prawiczkim.

Ledwo Ardo otworzył usta, a już wiedział, że mówi zdecydowanie za głośno.

– To nie pani sprawa!

– Teraz już naprawdę wiem, że widziałam w życiu wszystko! – Meredith była zachwycona. – Dziewiczy marine!

– To by było niehonorowe... dla nas obojga. Lepiej niech się pani napije kawy i odpręży... To znaczy... mamy godzinę, zanim będzie pani musiała wrócić...

Ardo czuł, że im więcej mówi, tym gorzej to wychodzi. W końcu zamilkł bezradnie.



Merdith odwróciła rozbawiony wzrok.

– Nie obawiaj się, żołnierzyku. Twojej tajemnicy nic z mojej strony nie grozi. – Zwinnym ruchem usiadła przy jednym ze stołów. – Poza tym, naprawdę nie to miałam na myśli. Jesteś miłym chłoptasiem i w ogóle, ale ja naprawdę chciałam tylko porozmawiać. I o to ci przecież chodziło, prawda?

– Tak, proszę pani.

– Mów do mnie Merdith.

– No, nie wiem, czy...

– Jasne, że tak. Zostańmy przyjaciółmi.

– Dobrze... Merdith. Jestem starszy szeregowy Ardo Melnikov.

Merdith znów uniosła kubek.

– A więc, Ardo, miło mi cię poznać. A teraz powiedz mi, jak to się stało, że wspaniali marines przybyli ratować moją potępięczą duszę?

Ardo myślał chwilę.

– Przykro mi, Merdith, ale nie wolno mi rozmawiać o szczegółach misji z...

– ... z cywilem – dokończyła za niego Merdith. – Wiem o tym. Jestem tylko ciekawa, jak mnie stamtąd wyciągnęliście. Ostatnie dni pamiętam raczej dość mgliście. Gdzieście mnie znaleźli?

– Nie było mnie przy tym. Cutter... znaczy, starszy szeregowy Koura-Abi cię przyniósł. To ten wielki facet, którego widziałas w sztabie.

– Jasne. No to gdzie on mnie znalazł?

– Tak naprawdę, to nie wiem. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, wisiałaś mu na ramieniu. Cutter biegł do nas do barykady.

Merdith uśmiechnęła się ciepło.

– Rozumiem. Jak się stamtąd wydostaliśmy? Porucznik wspominała coś o nieudanej ewakuacji.

– Tak. – Ardo wzruszył ramionami. – Był z nami desantowiec, który miał nas zabrać z powrotem, kiedy znajdziemy skrzynkę. Przedarliśmy się w końcu do strefy ewakuacji, ale... on się w ogóle nie zjawił.

– Przecież powiedziałeś, że był z wami.

– No tak. Właśnie to było dziwne. Słyszałem, jak pilot mówił, że podchodzi do punktu lądowania... wszystko było na kanale dowódczym... Tymczasem nie pokazał nam się na oczy. Po prostu... no nie wiem, po prostu go tam nie było. Zergi odcięły nam odwrót i wyglądało na to, że nie zdążymy odebrać następnego żołdu. Wtedy pani porucznik kazała nam się przedzierać przez pierścień tych potworów. Kilku straciliśmy, ale reszcie udało się dotrzeć aż tutaj. Gdyby się zjawił desantowiec, tamci by żyli. Pewnie ktoś coś namieszał w dowództwie.

– Namieszał? – Merdith skinęła głową bez przekonania i uśmiechnęła się kącikiem ust. – Tak, może tak, chociaż, jak zauważyłam, wasza porucznik uważa, że trochę tego zamieszania

za dużo jak na jeden raz. Jak to było z tą atomówką?

Ardo znów wzruszył ramionami, ale zmarszczył niepewnie czoło.

– Hm, kiedy udało nam się jakoś dobiec do końca krateru, Konfederacja zrzuciła pocisk nuklearny na Oazę. To była tylko mała główica taktyczna. I całe szczęście, bo gdyby nie to, Zergi dopadłyby nas i wyskubały ze ściany jednego po drugim.

– No tak, tego byśmy sobie nie życzyli – westchnęła Meredith.

Zmarszczyła czoło i zamyśliła się głęboko. W końcu widocznie doszła do jakiejś konkluzji, bo czoło jej się wygładziło. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się pogodnie do Arda.

– Najważniejsze, że wyszliśmy z tego cało. Dzięki wam, ja mogę wrócić do swoich studni, a ty do swoich myśli o dziewczynie. Jak ona się nazywała? Melani.

Ardo przełknął ślinę.

– Co wiesz o Melani? Powiedziałaś, że ona była kłamstwem, albo coś innego było kłamstwem. Co to miało znaczyć?

Meredith wlepiła wzrok w kubek z kawą. Ardowi przyszło na myśl, że wygląda, wypisz, wymaluj, jak cyganka czytająca z fusów w jakimś rytuale wróżbiarskim.

– Prawda jest niebezpieczna, Ardo. Jesteś miłym, grzecznym żołnierzkiem, może lepiej nie ruszać tych spraw.

Ardo oparł but na ławie naprzeciwko tej, na której siedziała Meredith i pochylił się.

– Proszę pani... Meredith. Kiedyś pewien mądry człowiek powiedział mi, że prawda jest jedyną rzeczywistą rzeczą na świecie. Tylko ona zostaje, kiedy zedrze się zasłonę ciemności i cieni. Wierzę w to i coś mi mówi, że ty też w to wierzysz.

– To, w co ja wierzę, nie ma tu nic do rzeczy – odparła Meredith i spojrzała na Arda, jakby go zobaczyła pierwszy raz w życiu. – Chodzi o to, w co ty wierzysz.

Ardo nie rozumiał. Wiedział tylko, że chce znać prawdę i że ma dość mrocznych upiórów nawiedzających jego myśli i doprowadzających go z wolna do obłądu.

– Co się stało z Melani? Co się stało z moimi rodzicami? Co się stało z moim światem?

Meredith westchnęła.

– Ardo... Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o puszcze Pandory?

– Co? A, tak. Chodziło o tę skrzynkę, którą przy tobie znaleźliśmy...

– Tak, to prawda, ale ja pytam, czy pamiętasz tę opowieść.

– Jasne, że pamiętam. Do czego zmierzasz?

– Ty nosisz w sobie puszkę Pandory. Naprawdę chcesz, żebym ją otworzyła? Bo kiedy raz zostanie otwarta, nigdy więcej nie będziesz mógł jej z powrotem zamknąć.

Ardo skrzywił się z bólu. Znowu zaczęło go łupać w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że odpowiedź jest gdzieś we mnie, w środku?

Meredith jakby nagle podjęła decyzję.

– Opowiedz mi o ostatnim dniu. Opowiedz mi o tym ostatnim dniu z Melani na twojej rodzinnej planecie.

Łomotanie w głowie narastało.

– Co to ma wspólnego z...?

– Po prostu mi opowiedz – nalegała Meredith. – Zaczynaj od momentu, w którym sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Wiesz, był taki moment, kiedy wszystko zaczęło iść nie tak. Co robiłeś tuż przed tym?

Grymas bólu znów wykrzywił twarz Arda. Czemu ona go do tego zmusza? Czemu on na to pozwala? Nie zna przecież tej kobiety. Pewnie jest szpiegiem albo anarchistką, albo Bóg wie czym jeszcze.

Ale musi wiedzieć. Musi znać prawdę.

– Byliśmy... byliśmy na polu...

*Złocisty... doskonały dzień, który się zdarza zbyt rzadko...*

– ... na pikniku. To był najpiękniejszy dzień, jaki można sobie wyobrazić. Ciepły, wiosenny. Boże, czy naprawdę muszę...

– Wszystko w porządku – zapewniła go Meredith. – Jestem przy tobie. Przejdziemy przez to razem. Cały czas przy tobie będę. Co popsuło ten piękny dzień?

– Syrena w osadzie. Alarmowa. Z początku myślałem, że to zwykła południowa próba, ale wtedy Melani powiedziała, że to nie jest południe. I wtedy... wtedy nadleciały.

– Co?

*W jednej chwili słońce zapadło się pod ziemię. Od zachodniego krańca szerokiej doliny zbliżały się ku nim ryczące ogniste kule, a za nimi pełzły ogromne pióropusze dymu.*

– Zergi.

– Widzisz je? Jak wyglądają?

– Nie widzę ich... tylko kule ognia pędzące z nieba na ziemię.

– Ardo, co mogłoby wywołać takie zjawisko?

Ardo zamrugał.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli?

– Co mogło sprawić, że Zergi zamieniły się w ogniste kule i białe smugi na niebie? – naciskała Meredith, patrząc mu prosto w oczy.

– Przypuszczam, że duża prędkość. W czasie wchodzenia w atmosferę wytwarza się wtedy ciepło – odparł Ardo.

– Czy słyszałeś kiedyś, żeby Zergi w ten sposób wchodziły w atmosferę planety? – zapytała Meredith łagodnie. – One wlatują całym rojem. Cicho i delikatnie.

Ardo zamknął oczy. Niespodziewanie światło w pomieszczeniu zaczęło go boleśnie razić.

– D... do czego zmierzasz?

– Do niczego nie zmierzam, tylko słucham – powiedziała Meredith. – Odpręż się i spróbuj sobie wszystko przypomnieć. Mów do mnie. Co zrobiliście, ty i Melani, kiedy to się stało?

– Pobiegliśmy! Biegliśmy do osady. Stara kolonia była otoczona grubym murem obronnym, myśleliśmy, że tam będzie bezpieczniej. Nie wiem, jak się tam dostaliśmy.

Następna rzecz, jaką pamiętam, to że staliśmy w środku, razem ze wszystkimi innymi mieszkańcami.

*Nagle od strony muru rozległ się terkot broni maszynowej. Potem powietrze rozdarł huk dwóch potężnych eksplozji, a następnie znów serie z karabinów.*

– Co się działo? – naciskała Meredith, sącząc kawę, ale nie spuszczając z niego oczu.

– No cóż, straszny zamęt. Zergi nas atakowały, a...

– Nie, nie, nie. Powiedz mi, co widziałeś. I co zrobiłeś.

Ardo zamknął oczy.

– *Ardo, proszę!* – powiedziała Melani. – *Ja... Gdzie pójdziemy? Co zrobimy?*

Rozejrzał się dookoła. Czuł w ustach smak paniki, która wisiała w powietrzu.

– Byliśmy na placu. To duży otwarty teren w środku miasta. Latem wieczorami urządzaliśmy tam koncerty albo przedstawienia. Nigdy przedtem nie widziałem takiego tłumu. Staliśmy dosłownie ramię przy ramieniu. Melani... trzymałem ją za rękę. Próbowaliśmy się przedostać na drugą stronę placu.

– Mhm, w porządku. – Meredith odstawiła kubek, ale nawet na sekundę nie spuściła wzroku z twarzy Arda. – Co widziałeś potem?

Nagle Ardowi zrobiło się zimno. Oczy same mu się zamknęły, żeby nie patrzeć na obrazy, które cisnęły się z głębi jego własnej podświadomości.

*Za murami wybuchła ściana płomieni. Szkarłatny blask rozświetlił kłęby dymu wiszące złowieszczo nad miastem. Krwawoczerwona luna zelektryzowała przerażony tłum. Krzyki, wołania i piski zbiły się w jedną kakofonię dźwięków. Z przeraźliwego jazgotu wyłowił kilka zrozumiałych zdań.*

– *To wojska Konfederacji! To marines!*

– Nie!

Odepchnął się z całej siły od stołu, aż grzmotnął plecami o ścianę. Plastikowa konstrukcja pękła od uderzenia ciężkiego kombinezону bojowego.

– On powiedział coś innego!

– Co powiedział? – Meredith wstała, oparła obie dłonie na blacie i pochyliła się do przodu.

– Powiedz mi, co słyszałeś, Ardo.

– Powiedział... chyba powiedział... *Gdzie... gdzie jest Konfederacja...*

– To kłamstwo, Ardo! – wypaliła Meredith. – Przypomnij sobie! Pomyśl! Resocjalizacja neuralna nie może wyprzeć wspomnień. Może tylko nałożyć na nie inne obrazy. Co słyszałeś?

– *Ardo, ja się boję.* – *Rozszerzone oczy Melani zaszły mgłą.* – *Co to jest? Co się dzieje?*

*Tyle rzeczy chciał jej w tej chwili powiedzieć. Tyle rzeczy... których nie powiedział i żałował tego przez wszystkie następne lata.*

– Powiedz mi, co widzisz! – zażądała Meredith.

*Fragment wschodniego muru runął na ziemię. Stary parapet, pociągnięty z zewnątrz w*

*dół, na oczach ludzi zamienił się w kupę gruzu. Wyglądało to tak, jakby przez wyrwę w obwarowaniu napłynęła wielka, ciemna, poruszająca się fala.*

– Przestań! – wrzasnął Ardo. – Co ty mi robisz?

– Chciałeś prawdy. Otworzyłeś prawdę w swoim umyśle – powiedziała Merdith. – Jest brzydka i przerażająca, ale ona już nie wróci do puszki, Ardo. Nigdy więcej. Co widziałeś, Ardo? Co się stało potem?

Ardo zaczął się odsuwać od Merdith w stronę drzwi. Chciał uciec, chciał się znaleźć jak najdalej od tej kobiety, chociaż w głębi duszy wiedział, że nie próbuje uciec od niej, tylko od potwornej bestii przyczajonej w jego głowie.

*Usłyszał za plecami zduszony jęk Melani.*

– Nie mogę... nie mogę oddychać...

*Tłum napierał na nich z obu stron. Ardo rozglądał się rozpaczliwie za drogą ucieczki.*

*Nagle kątem oka dostrzegł w górze jakiś ruch. Pękata, kanciasta sylwetka konfederacyjnego desantowca, połyskująca jeszcze od zetknięcia z atmosferą, zniżala się nad głowami tłumu.*

*Łzy napłynęły mu do oczu.*

Łzy napłynęły Ardowi do oczu.

*Odrzut z silników spowodował na ziemi istny huragan. Desantowiec zawisł nad placem i opuścił rampę transportową. Ardo zamrugał. Przez tumany kurzu zobaczył w środku niewyraźne sylwetki konfederacyjnych marines...*

*Chwycili go.*

*Oderwali go od Melani.*

– Melani! – wrzasnął.

– Melani! – wrzasnął na całą stołówkę.

– Ardo, błagam! Nie zostawiaj mnie samej! – łkała, kiedy żołnierze wciągali go do statku.

*Próbował się wyrwać. W tym momencie rampa zaczęła się podnosić. Ktoś uderzył go w głowę od tyłu i świat stał się czarny...*

Powoli świat się zaczął rozjaśniać. Ardo siedział na podłodze. Skoncentrował wzrok i zobaczył przed sobą Merdith. Klęczała obok niego, ręką gładziła go po zapłakanym policzku.

Głos jej nabrzmiał wzruszeniem.

– Biedny żołnierzyku. To samo się dzieje na wszystkich kolonijnych planetach, z tego, co słyszeliśmy. Konfederacja chce jak najszybciej stworzyć ogromną armię. To trwa już ponad rok. Wcielają chłopców siłą. Stosują resocjalizację neuralną, żeby zastąpić ich prawdziwe wspomnienia fałszywymi, aż w końcu wyprodukowane w ten sposób żołnierzyki uwierzą we wszystko, co Konfederacja uzna za stosowne. Jadą, gdzie im każą jechać; umierają, kiedy im każą umierać.

– To znaczy, że Melani... i moi krewni... – Ardo zająknął się i wciągnął gwałtownie powietrze.

– Nie wiem, Ardo, ale najprawdopodobniej nie zginęli tak, jak ci się dotąd zdawało. Bardzo możliwe, że nie zginęli w ogóle.

– A więc wszystko, co wiem, to kłamstwo – powiedział Ardo słabo.

– Możliwe – odparła Meredith. – Ale jeśli zechcesz mi pomóc, może obojgu nam uda się wydostać z tego przeklętego świata. Mogę ci pomóc, jeśli...

Stanowczym gestem Ardo przycisnął lufę karabinu do podbródka Meredith.

## Rozdział 16

# Barykady

– Coś ty mi zrobiła?

Ardo dygotał. Ręka mu drżała na spuście karabinu.

Merdith ani drgnęła. Odezwała się cichym i opanowanym głosem.

– Nic, Ardo. Nic a nic.

– Odejdź ode mnie!

Ból tętniący z przodu głowy przesłaniał mu widok. Nie mógł zebrać myśli.

– Cofnij się, tylko powoli.

– Przykro mi, żołnierzyku.

– Nie dotykaj mnie! – zaskrzeczał Ardo.

Głos mu drżał z gniewu i przerażenia. Wylot lufy gaussa drgał pod brodą kobiety.

Merdith powoli uniosła dłonie.

– W porządku, Ardo. Wycofuję się. Możesz się uspokoić.

Wstała bardzo powoli i tyłem, płynnymi ruchami podeszła z powrotem do stołu. Przez cały czas patrzyła Ardowi w oczy, aby skupić na sobie jego uwagę.

Ardo ścisnął karabin mocniej. Starał się uspokoić dłonie, ale nie mógł utrzymać broni bez ruchu. Chciał wstać i odejść, byle dalej od tej kobiety, która skradała się tyłem do stołu i wreszcie usiadła.

Coś mu zrobiła, coś mu pokręciła w głowie. To musiała być jakaś sztuczka, jakiś rodzaj narkotyku. Zaatakowała go, tylko nie widział jak. Próbował sobie przypomnieć, jak to było – doskonały, złocisty dzień, który zamienił się w krwawoczerwony. Widział, jak Zergi wlewają się na plac przez wyrwę w murze i widział konfederacyjnych marines robiących to samo. Zergi ciągnęły ze sobą Melani i w tym samym czasie marines odciągali ją od niego. Miał w głowie dwie prawdy naraz. Wiedział, że obydwie nie mogą być prawdziwe, ale to mu wcale nie pomogło dokonać wyboru. Tak bardzo pragnął zasnąć, zapaść w błogi stan nieświadomości, a potem zbudzić się i mieć wszystkie myśli na powrót poukładane w głowie.

Obydwa wspomnienia nie mogły być jednocześnie prawdziwe, ale czuł, że oba w jakiś sposób są rzeczywiste, a cała prawda leży gdzieś pośrodku. Wzdrażał się przed odpowiedzią, ale musiał ją poznać, nieważne jakim kosztem. Coś w nim domagało się prawdy.

Staął chwiejnie na nogach i spróbował wziąć się w garść. Odetchnął głęboko. W końcu karabin przestał mu drżeć w ręku.

Merdith nie poruszała się ani nie odzywała.

– Co mi zrobiłaś? – zapytał głucho.

– Ja nic – odpowiedziała Merdith spokojnie. – Powinieneś zapytać o to konfederacyjnych...

– Przestań chrzanić! – warknął Ardo. – Nie bawię się w te klocki, ale to nie znaczy, że nie wiem, co jest grane. Coś mi zrobiłaś w głowie. – Dla podkreślenia swoich słów wskazał lufą głowę Merdith. – Co?

– Niczego ci nie wszczepiłam, jeśli o to ci chodzi, ani nie wmówiłam.

Ardo uniósł broń do ramienia i wymierzył między jej oczy.

– Spokojnie! – Merdith odchyliła się w tył, cały czas z uniesionymi rękami. – Przysięgam. Ja tylko... rozplatałam to, co tam było. Słuchaj, jestem psychouzdolniona, rozumiesz? Nie jestem zarejestrowana. Przeoczyli mnie w czasie przesiewu. To się czasem zdarza w zewnętrznych koloniach. Nie interesowały mnie konfederacyjne programy psychotechniczne, więc siedziałam cicho. Nie przechodziłam żadnego szkolenia ani niczego w tym rodzaju. Po prostu mam dar pomagania ludziom, kiedy nie radzą sobie ze swoimi umysłami, to wszystko. Przysięgam, że to wszystko.

Ardo nieznacznie opuścił lufę karabinu. Zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Potem znów się odezwał.

– Powiedz mi, co się naprawdę stało z moją rodziną? Co się stało z Melani?

– Nie wiem.

Błyskawicznym ruchem z powrotem podniósł broń.

– Nie wiem! – Głos Merdith wybuchł gniewem, paniką i frustracją. Mówiła coraz szybciej. – Nie wiem! Może żyją. A może nie. Skąd mam wiedzieć? To są twoje wspomnienia, nie moje!

– Eeech. To na nic! Jesteś do niczego! – burknął Ardo i zniechęcony opuścił broń.

– Posłuchaj, żołnierzyku. To nie ja ci to zrobiłam – powiedziała Merdith. – Resocjalizacja neuralna po prostu nakłada nowe wspomnienia na stare. Nie zastępuje ich. Ja tylko pomogłam ci trochę rozjaśnić w głowie.

Ardo potrząsnął głową.

– Ale nie możesz mi powiedzieć, które wspomnienia są prawdziwe, a które fałszywe, prawda?

– To ty chciałeś znać prawdę – powiedziała Merdith ponuro.

– Jasne, tylko którą? – mruknął Ardo. – Która to jest prawda?



– Nie wiem, która. Ale chcesz ją znać, tak czy nie?

Ardo spojrział na Meredith i myślał chwilę. Otworzyła mu pamięć. Teraz już nie da się jej zamknąć.

– Tak... muszę wiedzieć.

Meredith odetchnęła lekko i uśmiechnęła się.

– W takim razie pomóż mi, a ja ci pomogę odkryć prawdę. Znam ludzi, którzy mogą nas stąd wydostać. Pomóż mi się z nimi skontaktować... dotrzeć do nich, a oni nam pomogą. Polecimy na twoją planetę... eee...

– Bountiful – dokończył Ardo.

To słowo zabrzmiało mu w uszach tak pięknie, że aż serce ścisnęło mu się boleśnie.

– Właśnie, na Bountiful. Tam się dowiemy prawdy. Ardo miał właśnie odpowiedzieć, kiedy w hełmie zadźwięczał sygnał łączności. Odpowiedział automatycznie.

– Tu Melnikov.

– Szeregowy, zaprowadźcie więźnia do kwatery sztabu. Natychmiast. – Głos Littlefielda brzmiał jakoś inaczej niż zwykle, ale Ardo miał dość własnych zmartwień, żeby się nad tym zastanawiać.

– Rozkaz, panie sierżancie – odpowiedział Ardo, po czym odwrócił się do Meredith. – Koniec kawy i rozmowy. Idziemy.

\* \* \*

Winda nie dojechała jeszcze na poziom trzeci, a Ardo już słyszał krzyki dochodzące z góry.

– ... zrobić, kiedy napadniemy na statek? Słyszałeś kanał taktyczny. Widzisz lepsze wyjście?

– Nie wiem! Nie umiem odpowiedzieć na wszystkie pytania! Wiem tylko, że nie skreślę tych szczeniaków, Breanne. Zaslugują na coś lepszego.

– Owszem, masz rację. I o to mi właśnie chodzi. Gdybyśmy byli grzecznymi żołnierzami, siedzielibyśmy tam w Oazie i łapali w zęby tę atomówkę. O to im chodziło, prawda? Ale my jesteśmy tutaj i nadal oddychamy.

– Więc do czego właściwie zmierzasz?

– Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale niewiele opcji nam zostało. Masz lepszy pomysł? Jeśli tak, świetnie, słucham!

Winda wlokła się niemiłosiernie. Ardo zerknął na Meredith. Jej twarz nie wyrażała niczego, ale oczy były skupione i czujne. Widać było, że kobieta chłonie każde słowo, które dobiegało z góry.

– Nie wiem. Nie mam gotowych odpowiedzi! – huczał Littlefield. – Ktoś tu musiał coś spieprzyć. Jak wejdziemy na kanał taktyczny, to sprawę wyjaśnimy w korpusie!

Wreszcie winda wjechała na poziom kwatery sztabu. Breanne stała na podeście centrum

operacyjnego oparta tyłem o jedną z konsoli. Ręce skrzyżowała wyzywająco na piersi i patrzyła w dół na mapę. Naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu z wyświetloną mapą stał Littlefield. Twarz mu poczerwieniała. Dłonie zaciskał z całej siły na krawędzi blatu, aż kostki palców zbieleły mu z wściekłości. Między nimi, nieco z boku stał Tinker Jans i wyglądał, jakby wpadł pod ogień krzyżowy i za wszelką cenę starał się zniknąć.

– Sam zobacz! To są dane z satelity. Czyste pasmo, przekaz przetworzony na czas rzeczywisty. – Breanne wytknęła palec i zaczęła pokazywać każdy punkt, o którym mówiła. – Zergi przemieszczają się z północnego wschodu nierówną linią. Tutaj, tutaj i tutaj. Pierwsze grupy zwiadowcze dotrą do tych wysuniętych osad za kilka minut. Reszta północno-wschodnich siedlisk zostanie zaatakowana w ciągu następnej godziny. A gdzie są nasi marines, sierżancie?

Littlefield wpatrywał się w mapę bez słowa.

– W porcie kosmicznym – odpowiedziała za niego Breanne. – Od trzech godzin desantowce Konfederacji ewakuują wszystkie placówki. Zniknął cały ciężki sprzęt. Na lotnisku są jeszcze siły lądowe, ale i te zostaną załadowane w ciągu godziny. Z wysuniętych posterunków wracają ostatnie desantowce z resztkami żołnierzy. Brat Tinkera, szanowny Tegis Marz leci właśnie ze swojego ostatniego kursu.

– Ten sam facet, który nas zostawił w Oazie? – spytał z powątpiewaniem Littlefield. Niby czemu miałby tym razem zboczyć po nas z drogi?

– Ponieważ to nie my go o to poprosimy – odparła Breanne, błyskając oczami. – Przez ostatnie pół godziny Tegis blokował kanały, żeby się dowiedzieć, kto zabrał z bazy jego brata. Nie wie, że Jans tu został.

– Hej, to nie była moja wina! – zawołał Tinker. – Poszedłem naprawić przekaźniki. Kto mógł wiedzieć, że ten w SCV-ale to taki osioł? Zostawił mnie tam i musiałem zapierniczyć z powrotem na piechotę! Zasuwałem jak sam diabeł, kiedy zobaczyłem desantowce, ale jak dobiegłem, już ich nie było.

– Bardzo się cieszę. – Breanne uśmiechnęła się zjadliwie. – Od tej pory jesteś moim najlepszym przyjacielem, Tinker. Skontaktujesz się z bratem, kiedy wyląduje i przekonasz go, żeby tu po ciebie przyleciał. – Zerknęła na Littlefielda. – Kiedy Tegis przyleci po brata, przejmemy statek i wrócimy na kosmodrom. Tam wyjaśnimy to „nieporozumienie” i będziemy mogli się wynieść z tej przeklętej planety.

– Nie możecie tego zrobić! – zawołała Meredith.

– O, pani Jernic. – Breanne dopiero teraz zauważyła Arda i jego podopieczną. – Wygląda na to, że wybierze się pani z nami w małą podróż.

Meredith zignorowała tę uwagę.

– Jeśli Konfederacja ewakuuje swoje wojska, nie będzie tu komu powstrzymać Zergów!

Breanne wzruszyła ramionami.

– Przecież macie swoją wspaniałą milicję...

– Oni nie dysponują odpowiednim sprzętem i nie mają dość ludzi, żeby powstrzymać inwazję Zergów! – Meredith ruszyła w stronę centrum operacyjnego, ale Ardo złapał ją za ramię i powstrzymał stanowczym ruchem. – A co z miejscową ludnością? Co z ewakuacją?

– Najwyraźniej – mruknęła Breanne – Konfederacja spisała tę planetę na straty... łącznie z cywilami.

Meredith zaczęła się wyrywać, lecz Ardo przytrzymał ją mocno w miejscu.

– Wydali nas na pożarcie Zergom! Podczas gdy to właśnie ich urządzenie ściągnęło tu te potwory! Nie dość było waszym dowódcom broni, statków kosmicznych, żołnierzy! Chcieli jeszcze większej potęgi! Więc zbudowali to pudełeczko, nie zastanawiając się nawet, ile ludzi skazują tym samym na śmierć! Myśleli, że potrafią kontrolować Zergi albo trzymać je w niewoli. Nie mieli pojęcia, co rozpętują! A teraz po prostu „spisują nas na straty”, jakbyśmy byli cyferką w bilansie strat i zysków!

Nikt z obecnych nie odpowiedział.

Meredith przestała się szarpać, ale twarz jej pałała gniewem.

– Planeta rojąca się od potworów! Nigdy nie sądziłam, że zobaczę je także wśród przedstawicieli mojej własnej rasy!

Breanne podniosła wzrok. Twarz okolona szczeciną krótko ostrzyżonych włosów znów się wykrzywiła w jadowitym uśmiechu.

– Człowiek się uczy całe życie, co?

– Pani porucznik – przerwał jej Littlefield. – Kanał taktyczny, jeden-dwadzieścia dziewięć.

– Na głośniki – poleciała Breanne.

– *Tu Wiedźma z kursem trzy-cztery-zero, czterdzieści pięć kilometrów od stacji... gotów do tankowania i następnego rajdu.*

– *Odmawiam, Wiedźma. Zgłoś się do kontrolera naziemnego w sprawie ewakuacji portu.*

– On tam będzie za dziesięć minut – powiedział nerwowo Tinker. – Jak wyląduje, mogą... mogą mu już nie pozwolić na start.

– *Jest jakaś odpowiedź w sprawie Widokówki?*

Ardo popatrzył na głośniki.

– *Nie ma. Brak łączności.*

– *A w sprawie załogi garnizonu? Muszę znaleźć tego technika!*

– *W tej chwili w korpusie nie ma dla ciebie żadnych informacji.*

– No, dobra. Wiecie, co macie robić – powiedziała Breanne. – Jans, łap się za mikrofon i dzwoń na alarm.

– *Pani porucznik, tu Xiang! Zergi w polu widzenia, na zero-pięć-pięć!*

– Breanne rzuciła okiem na mapę i otworzyła szeroko oczy.

– Gdzie? Ile?

– *Jakieś... zaraz... dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kilometrów, kierują się na*

*południe. Zdaje się, że to hydryliski. I... o, do diabła! Nad nimi leci osiem mutalisków.*

– Nie ma ich na mapie – syknęła Breanne. – Dlaczego nie widać ich na mapie?

– *Mutaliski zawracają. Lecą w kierunku bazy. Mam strzelać, pani porucznik?*

Breanne dalej wpatrywała się ze złością w stół z mapą.

– *Proszę o pozwolenie na otwarcie ognia, pani porucznik.*

Krew odbiegła Tinkerowi z twarzy.

Littlefield podniósł wzrok.

– Breanne?

Porucznik otrząsnęła się z odrętwienia.

– Odmawiam! Nie strzelać!

– Jak to... jak to nie strzelać? – wyjąkał technik, rzucając dookoła przerażone spojrzenia.

– Słuchajcie mnie! Nie chcemy teraz wszczynać bitwy. – Machnęła ręką i przywołała wszystkich do siebie. – Wszyscy na platformę. Kryć się! Jeśli nas zauważą, otworzyć ogień, ale do tego momentu macie siedzieć cicho. Nie nadawać. Tylko monitorujcie. Mieliliśmy sygnały, że Zergi potrafią iść za sygnałem transmisji w stronę jego źródła. Macie czekać na mój rozkaz i modlić się, żeby nas minęły z daleka!

– Dokąd ten wszechświat zmierza. – mruknął Littlefield – skoro marines chowają się pod stołem?

Ardo podprowadził Meredith do niskiej drabinki prowadzącej na podest centrum operacyjnego. Wtem na zachodzie zabłysło światło. Przez okno Ardo zobaczył na niebie świetlny łuk – ślad po pierwszym statku ewakuacyjnym Konfederacji.

## Rozdział 17

# Słabe ogniwo

Ardo wskoczył po drabince. Centrum operacyjne było niewielkie, na obwodzie stały ciasno upakowane konsole, a na samym środku stół z wyświetloną mapą. Sytuację pogarszały jeszcze ogromne kombinezony bojowe. Na szczęście konsole przystosowano do potrzeb armii, co znaczy, że zaprojektowano je z myślą o trwałości, ale również wygodzie.

Droga do windy była wolna. Ardo zastanawiał się, czemu po prostu nie zaszyją się gdzieś w przestronnych trzewiach centrum dowodzenia, zamiast cisnąć się pod stołami w sali, która bardziej przypominała akwarium niż kryjówkę.

Breanne przykucnęła za stołem z mapą. Nie po raz pierwszy Ardo podziwiał kocią zwinność, z jaką poruszała się pani porucznik. Wyłączyła mapę, wychyliła się i podniosła do oczu lornetkę polową.

– Sześć... nie, siedem mutalisków. Osłona z powietrza dla sił naziemnych... zobaczymy, ile ich jest... piętnaście, może dwadzieścia hydralisków... niecały kilometr na południe. – Z powrotem ukryła się pod stołem. – Dalej może być więcej, pewnie dwa czy trzy kilometry za tymi. Trudno powiedzieć. Wygląda na to, że główne siły mijają nas bokiem. Nie ruszać się! Niech sobie gapie popatrzą na „starą, opuszczoną terrańską bazę”. Jak się oddalą na kilka kilometrów, zadzwonimy i wezwiemy kogoś, kto nas podrzuci do domu.

Ardo siedział oparty plecami o konsolę dokładnie na wprost Jansa. Technik wsłuchiwał się z napięciem w każde słowo Breanne, kiwając głową aż nazbyt gwałtownie. Nawet w półmroku widać było, że jest błąd jak śmierć. Przełknął głośno ślinę, potem odwrócił głowę w lewo, w stronę zejścia z podestu. Ardo poszedł za jego wzrokiem. Jans wpatrywał się w panel łącznościowy pod zachodnim oknem sali. Odbiór był nadal włączony i z głośników zamontowanych w suficie nad centrum operacyjnym płynęły stłumione odgłosy rozmów.

– *Kurs alfa cztery-zero-dziewięć, pozwolenie na start z pola wzlotów siódmego. Kurs alfa zero-sześć-pięć, wjeżdżaj na punkt oczekiwania na pole czternaste. Kurs gamma osiem-zero-zero, pozwolenie na podejście na pole dwunaste. Kurs delta dwa-dwa-zero czekaj na Limie na*

*przesiadkę...*

Jans aż podskoczył, kiedy w zachodnim oknie nad panelem łącznościowym wystrzeliła druga smuga światła.

– Poszedł następny – szepnął.

– Nie tracą czasu – mruknął Littlefield z roztargnieniem.

Sierżant robił wrażenie, jakby myślami był gdzieś indziej.

Słowa płynące z głośnika wydawały się nieznośnie głośne. Ardo wiedział, że to tylko jego wyobraźnia, ale ta świadomość niewiele mu pomogła.

– Nie powinniśmy tego wyłączyć?

Breanne pokręciła głową i podniosła głowę, nasłuchując.

– Za późno. Już tu są.

Wtedy Ardo też to usłyszał: skrzek nawołujących się mutalisków, jakby zgrzytanie paznokcia po kamieniu. Odgłos przenikał przez szyby i w sali mieszał się ze szmerem rozmów z głośnika.

– *Kurs alfa zero-sześć-pięć, pozwolenie na start z pola czternastego...*

– *Kontrola. Przylatująca Wiedźma prosi o wektorowanie...*

Jans wstrzymał oddech.

– *Wiedźma, trzymaj się markera Ta-shua i czekaj. Mamy pełny grafik.*

– *Rozumiem, kontrola, czekam przy Ta-shua. Bez odbioru.*

W ciemniejące niebo wystrzelił właśnie następny słup ognia i dymu.

Obok Arda przykucnęła Meredith. Objęła ramionami kolana i przycisnęła je do piersi.

– Coś mi się widzi, że nie zdążycie na swoją szalupę ratunkową.

Oczy Breanne wyrażały tylko wystudiowaną obojętność.

– To jeszcze nie koniec, pani Jernic.

– Och, naturalnie – odparła ugodowo Meredith. – Chciałam tylko powiedzieć, że gdyby się jednak zdarzyło, że nie zdążycie na swoją szalupę, to może chcielibyście wziąć pod uwagę inne środki transportu.

– Ach, tak. – Breanne odpowiedziała szerokim uśmiechem. – Ma pani może na myśli wcielenie naszego oddziału do armii szpiegów i zdrajców?

Meredith wzruszyła ramionami.

– Przykro mi, że muszę panią rozczarować, pani porucznik, ale nie jestem szpiegiem.

– Oczywiście. – Breanne od niechcenia zerknęła na okno. – Nie jest pani szpiegiem ani kolaborantem, ani ekspertem prowadzącym badania nad bronią dla Synów Korhala. Jest pani po prostu niewinnym cywilem, który zupełnie przypadkowo wszedł w posiadanie ściśle tajnego sprzętu Konfederacji. – Przerwała, odwróciła się do Meredith i uśmiechnęła lodowato. – Proszę posłuchać, pani Jernic. Postanowiłam pani uwierzyć. Postanowiłam pani uwierzyć, ponieważ w przeciwnym wypadku byłabym zmuszona wydać panu Melnikowowi rozkaz, aby wyprowadził panią z tego budynku i zastrzelił tyle razy, ile to będzie konieczne,

żeby pani śmierć nie budziła najmniejszych wątpliwości. No więc, chyba nie chce pani, żeby postanowiła jej nie wierzyć?

Meredith przyjrzała się uważnie kanciastej twarzy przed sobą.

– Z całą pewnością nie chcę.

– W takim razie – prychnęła Breanne – proszę na jakiś czas zachować swoich przyjaciół dla siebie, a ja zachowam swoich dla siebie.

– Jak pani sobie życzy, pani porucznik – odpowiedziała Meredith beztrąsko. – Pozwolę sobie tylko zauważyć, że pani przyjaciele właśnie gromadnie opuszczają tę planetę, podczas gdy moi lada chwila będą w tej kolonii jedynymi ludźmi z biletem wyjazdowym w rękę. Nawet jeśli uda się wam zdążyć na czas do portu, to czy wasi przełożeni przywitają was z radością? Nikt nie lubi, kiedy mu nagle w drzwiach staje nieboszczyk... zwłaszcza, jeśli w interesie wszystkich pozostałych powinien on pozostać nieboszczykiem.

Nad trytanowym dachem centrum dowodzenia rozległ się okropny zgrzytliwy dźwięk. Ardo niespokojnie przycisnął karabin do piersi.

– Ani mru-mru – szepnęła Breanne prawie niedosłyszalnie. – Są nad nami.

Wszyscy popatrzyli w górę. Opancerzony dach zadrgał, kiedy pokryte ostrymi łuskami kolczaste ogony mutalisków zaczepiły o metalowe płyty. Przenikliwe skrobanie zagłuszało chwilami głosy płynące bez przerwy z głośnika. Dalekie rozmowy robiły teraz wrażenie nierzeczywistych.

– *Kurs gamma osiem-zero-zero, pozwolenie na start z pola dwunastego. Kurs epsilon cztery-trzy-trzy czekaj na wjazd na rho-beta.*

Znów rozległy się dwa zgrzytliwe uderzenia o płyty dachowe. Słysząc było wyraźnie skrzeczące głosy mutalisków prześlizgujących się po metalowej powierzchni dachu. Ardo spojrział na Jansa. Technik pocił się okropnie ze strachu. Nie odrywał oczu od panelu nadawczo-odbiorczego, jakby sądził, że mógłby precyzyjnie się przez urządzenie i wyjść po drugiej stronie, gdzie daleki głos informował:

– *Kurs epsilon cztery-trzy-trzy, pozwolenie na podejście na pole dziesiąte...*

– *Kontrola, tu Wiedźma. Jestem przy Ta-shua. Jak długo mam czekać? Muszę się zobaczyć z dowódcą i...*

– *Wiedźma, masz pozwolenie na lądowanie. Zgłoś się przy zewnętrznym markerze. Odbiór.*

– *Co z moim bratem? Nie wiem, czy...*

Jans zacisnął zęby. Tymczasem na kanale odezwał się inny głos, nie tak służbowym tonem jak poprzedni.

– *Marz, po raz ostatni mówię, twój brat prawdopodobnie poleciał już w którymś z nie zgłoszonych transportów. W tej chwili sadzaj dupę na ziemi.*

– *Tak jest! Wiedźma... podcho... zew... mar...*

Ardo zerknął na Littlefielda.

– Łączność zerwana? – wyszeptał.

– Mutaliski – westchnął sierżant. – Bawią się antenami.

– ... *podejście... odbiór.*

– ... *miem... kurs... cztery-trzy... enie na... stanowiska... siódmego... Wiedzma, kołuj na płytę postojową siedem-trzy.*

– *Rozumiem. Wiedzma kołuje na siedem-trzy. Bez odbioru.*

Breanne pokazała palcem na swoje ucho, a potem na sufit. Ardo wytyczył słuch. Skrobanie ucichło.

Littlefield złączył kciuki i zaczął poruszać dłońmi jak skrzydłami. Breanne wzruszyła ramionami, ściągnęła brwi i pokręciła głową z powątpiewaniem.

Ardo podświadomie wstrzymał oddech. Z taką uwagą nasłuchiwał wszelkich odgłosów z góry, że nawet nie poczuł szturchnięcia Meredith. Zareagował dopiero za drugim razem.

Kobieta wskazywała na Tinkera Jansa.

Od jednego rzutu oka Ardo zorientował się, że z technikiem jest fatalnie. Trząśnięcie na całym ciele, pobladła skóra błyszcząca mu od potu, a usta poruszały się w jakimś nerwowym monologu. Ani na moment nie odrywał oczu od panelu łącznościowego mrugającego zaledwie kilka metrów od centrum operacyjnego.

– *Kurs kappa zero-siedem-pięć, pozwolenie na start. Wiedzma, melduj.*

– Odleciały? – syknął Littlefield.

Breanne potrząsnęła głową na znak, że nie wie.

– *Tu Wiedzma, wysadziłem pasażerów. Jestem pusty.*

– *Rozumiem, Wiedzma. Jedź do punktu oczekiwania piątego. Potem zamelduj się u szefa sekcji po rozkazy w sprawie załadunku pasażerów i odlotu.*

– *Nie!* – zaskamlał Jans. – *Nie zostawiaj mnie tu!*

– *Nie zostawiaj mnie samej* – łkała Melani.

Ardo zmartwiał.

– *Tu Wiedzma. Rozumiem. Jadę...*

– *Nie!*

Jans wystrzelił w górę. Ardo rzucił się ku niemu, ale za późno. Technik zanurkował między konsolami i pognął w stronę okien.

– *Łapcie go! Szybko!* – szczeękła Breanne.

Ardo porwał się na równe nogi, zeskoczył z drabinki, ale zanim zdążył dopaść Tinkera, ten chwycił już wiszący mikrofon i wcisnął przycisk nadawania.

– *Tegis! Tu Jans! Jestem tu! Nie odlatuj beze mnie! Jestem w bazie w Widokówce! Zostawili mnie tu. Oni...*

Ardo nie miał czasu do namysłu. Dopadł do Jansa, zacisnął pięć w rękawicy kombinezonu i wymierzył niezbyt mocny cios w głowę. Wspomaganie kombinezonu jednak zrobiło swoje, Jans osunął się nieprzytomny na podłogę.



*– Jans! Jans! Lecę po ciebie! Trzymaj się i... hej! Puśćcie mnie! Tam jest mój brat! Nie możecie!...*

Brzęk tłuczonych szyb zagłuszył dalsze słowa. Okna kwatery sztabowej eksplodowały kaskadą krystalicznych okrucich. Ardo odruchowo schylił głowę. Za jego plecami rozległ się terkot karabinów maszynowych.

Przez zgiełk i skrzek zergańskich mutalisków przedarł się głos Breanne.

– Ognia! Wystrzelać je wszystkie!

## Rozdział 18

# W szponach zwycięstwa

Ardo rzucił się z powrotem w stronę centrum operacyjnego. W biegu przeładował broń i natychmiast otworzył ogień.

Przez wybite okna do kwatery sztabu wpadły trzy mutaliski. Skrzydła poszarpały sobie o ostre krawędzie stłuczonych szyb, ale nie zwracały na to uwagi. Zergi nigdy nie zważały na własne rany. Martwe krwawobrazowe oczy pałały szaleństwem – bezrozumnym, nieposkromionym szaleństwem zabijania. Z szerokich przepastnych paszcz wydobywał się przeraźliwy wrzask.

– Nie przerywać ognia! – krzyczała Breanne na kanale dowódczym.

Ardo z radością posłuchał rozkazu. Jego gauss przyłączył się do gradu śmiercionośnych pocisków siejących zniszczenie z wysokości centrum operacyjnego.

Z cielsk odrażających zergańskich stworów tryskały kawałki mięsa, strzępy skóry, fragmenty błony ze skrzydeł, ale to nie osłabiło zaciekłości napastników. Mazista miazga zachlapała podłogę, sufit i ściany i dymiała piekącymi oparami. W ciągu kilku sekund pokój wypełnił się przeraźliwym smrodem, którego nie rozpraszał nawet wichur szalejący na dworze i wpadający do środka przez stłuczone okna.

Ardo ani na chwilę nie zdejmował palca ze spustu. Zobaczył, jak najbliższy mutalisk otwiera paszczę, jak pracują jego potężne, stalowe mięśnie. Zobaczył wyrostki podobne do kłów, wystające po obu stronach dolnej szczęki...

Atakuje, przemknęło mu przez głowę. Rzucił się w bok.

Ułamek sekundy później z rozdziawionego pyska wystrzelił strumień mikroskopijnych żywych drobin i uderzył w podstawę centrum operacyjnego, w miejsce, z którego przed chwilą odskoczył Ardo. Maleńkie ślepe organizmy wpadły na metalową konstrukcję i eksplodowały. Z przeraźliwym metalicznym jękiem płyty podłogowe zaczęły się topić.

Mutalisk skierował atak w lewo na uciekającego Arda, ale chłopak był szybszy. Jak strzała pomknął do wnętrza z windą. Śmiercionośne strumienie ścigały go krok w krok.

Mutalisk skupił na nim całą swoją wściekłość. Wyplute żrące organizmy zostawiały na podłodze smugę topniejącego metalu. Pomieszczenie wypełnił gryzący dym. Ardo nie zdążył zamknąć hełmu i teraz coraz trudniej było mu oddychać. W końcu dopadł do windy, ale drzwi były zamknięte. Po obu stronach ciągnęły się podesty z pulpitemi sterowniczymi. Nie miał dokąd dalej uciekać, nie miał gdzie się ukryć.

Grzmotnął pięścią w przycisk windy. Odwrócił się i kątem oka dojrzał rozpędzone piekielne kłębowisko żywych paskudztw, a na ścianie smugę stopionego metalu zmierzającą prosto na niego.

Niespodziewanie przerażający atak ustał. Ardo podniósł wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, jak pod ogniem smugowym z centrum operacyjnego głowa mutaliska wybucha, a fragmenty zergańskiego cielska rozpryskają się po całym pomieszczeniu. Kilka spadło na kombinezon bojowy Arda i w mgnieniu oka wżarło się w metalową powłokę. Czym prędzej strzepnął je ze zbroi, ale kwas zdążył już zostawić po sobie głębokie ślady. Na szczęście nie zrobił dziury na wylot.

Mutalisk zwałił się ciężko na podłogę. Metalowe płyty błyskawicznie stopiły się pod upadającym cielskiem. Jeszcze chwila i w miejscu, gdzie upadł, została tylko wielka dymiąca dziura, a sądząc po odgłosach dobiegających z otworu, mutalisk spadał coraz niżej i niżej, wypalając dziury we wszystkich kolejnych piętrach centrum dowodzenia.

Ardo oparł się o drzwi windy i podniósł broń. Próbował przebić wzrokiem gęsty dym kotłujący się wściekle po kwaterze sztabu, ale nikogo nie widział. Dopiero wtedy dotarło do niego, że od strony centrum operacyjnego nie słychać już strzałów.

– Pani porucznik? – zawołał ostrożnie.

Z góry nadal dochodziły głosy z kosmodromu.

– ... *powtarzam, Wiedźma, natychmiast wracaj do bazy. To rozkaz!*

– Jans! Trzymaj się! Tegis jest już w drodze! Lecą po ciebie, mały!

To Marz! – pomyślał Ardo. Widocznie usłyszał wiadomość i teraz tu leci. Muszą tylko...

Przełknął ślinę. Muszą tylko tu być.

Przez kłęby gryzącego dymu migąło światło alarmowe. Coś zaświtało Ardowi w głowie. Jeśli wszyscy na podeście centrum operacyjnego zginęli, Jans może się okazać jego biletem powrotnym. Zaciągnie technika do desantowca i powie Tegisowi, że obaj z Tinkerem zostali w bazie. Co go obchodzi jakaś przeklęta misja albo cholerna skrzynka? Gdyby udało mu się wydostać z tej planety, mógłby skorzystać z zamieszania, sfingować samowolkę i uciec. Uwolniłby się wreszcie od zbiorników resocjalizacyjnych i wrócił na Bountiful. Zacząłby nowe życie, a całą Konfederację i jej marines niech diabli porwą. Dowiedziałby się, czy naprawdę żył tyle czasu w kłamstwie. Może... może gdzieś tam jest Melani i może na niego czeka i może...

Zawiesił broń na ramieniu. Opary były gęste, ale Ardo pamiętał, gdzie upadł Jans. Ruszył w tamtą stronę, omijając wypalone dziury w podłodze. Musi dotrzeć do panelu nadajnika.

Posuwał się powoli, tłumiąc niecierpliwą nadzieję. Gdzieś tam były jeszcze dwa mutaliski. Może zginęły, a może, co bardziej prawdopodobne, czaiły się w gęstych kłębach dymu.

*– Baza w Widokówce! Tu Wiedźma. Jestem osiem kilometrów od waszej radiolaterni. Jans, odezwij się! Jans! Proszę, odezwij się!*

Wreszcie doszedł do miejsca, gdzie powalił Jansa. Technik leżał nieruchomo tam, gdzie upadł.

Nagle coś stuknęło Arda w hełm. W pierwszej chwili nawet nie zwrócił na to uwagi, ale puknięcie się powtórzyło. Błyskawicznie chwycił broń i obrócił się w stronę centrum operacyjnego. Z walącym sercem wyteżył wzrok i przez chmury dymu zobaczył porucznik Breanne, przycupniętą przy stole z mapami, a tuż za nią Merdith. Po drugiej stronie stołu kucał Littlefield.

Breanne dała Ardowi znak, żeby pozostał na miejscu. Dwoma palcami wskazała swoje oczy, a potem pokazała w jego stronę. Ardo zrozumiał znak. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie po sali. Opary rozwiewały się teraz szybko. Kwas zniszczył dużo konsol, a w podłodze wypalił liczne wgłębienia. Z dziury, w którą wpadł mutalisk, ciągle unosił się dym, ale poza tym pomieszczenie wyglądało na puste.

Ardo odwrócił się z powrotem do porucznik i pokręcił głową. Breanne skinęła w odpowiedzi, a potem pokazała na leżącego technika. Ardo spojrzał w dół. Z boku na czole Jansa widać było wielki czerwono-fioletowy guz. Na pewno ból głowy, jaki czekał technika po ocknięciu, był nie do pozazdroszczenia... jeżeli się ocknie. Nagle Ardo uświadomił sobie ze zgrozą, że właściwie wcale się nie przejmował tym, czy Tinker odzyska przytomność, czy nie. Myślał tylko, żeby go wykorzystać do ucieczki.

Spojrzał znów na Breanne i wyciągnął dłoń, najpierw w dół, potem do poziomu. Stabilny. Kobieta znów skinęła głową. Wskazała Jansa, potem Arda i dała mu znak w kierunku windy.

No jasne! Zapomniał o windzie! Obejrzał się. Drzwi się rozsunęły, kabina czekała otwarta. Pokiwał w odpowiedzi głową. Schylił się, chwycił nieprzytomnego technika za kołnierz munduru i zaczął go powoli ciągnąć w stronę windy. Oczy utkwiał w tej małej kabinie, takiej jasnej i zachęcającej.

*– Jans! Tu Marz! Jestem półtora kilometra od...*

Ardo popatrzył przez stłuczone okno. Od zachodu widać już było w oddali nadlatujący desantowiec – małą kropkę rosnącą na tle coraz liczniejszych smug kondensacyjnych i słońca zniżającego się powoli nad horyzontem.

*– Nie martw... acie... kilka... ędę z tobą...*

Wtem z góry spadło coś jaskrawego i rozchlapało się na podłodze między Ardem a windą. W miejscu, gdzie wylądowało, zaczął się unosić dym. Ardo podniósł głowę. Przez sufit biegła srebrzysta wstążeczka stopionego metalu, zataczała koło i zmierzała do własnego początku dokładnie nad centrum operacyjnym.

– Pani porucznik! Uciekajcie! Szybko! – wrzasnął Ardo.

Breanne i Littlefield podnieśli wzrok jednocześnie. Metalowe belki stropowe topiły się pod wpływem kwasowego deszczu. Słysząc już było zgrzyt metalu ustępującego pod własnym ciężarem.

Breanne przeskoczyła nad konsolą na brzegu platformy. Littlefield złapał Meredith za ramię i rzucił się do schodków. Popchnął ją w stronę okna i dopiero wtedy skoczył sam.

Z ogłuszającym łoskotem metalowe wsporniki i pancerne płyty dachowe zwały się na centralną platformę, zgniatając wszystkie konsole. Potem zsunęły się po zmiażdżonym podwyższeniu i wśród płataniny anten runęły na podłogę.

Ardo zawzięcie odciągał Jansa jak najdalej od zabójczej lawiny poskręcane metalu. Tymczasem technik, który odzyskał właśnie przytomność, zaczął się szarpać i wrywać. Szlag by go trafił z takim wszawym wyczuciem czasu, myślał Ardo. Jednak Tinker był mu potrzebny, żeby się wydostać z tego piekła.

– Przygotujcie się! – krzyknęła Breanne. – Lecą!

Po zawaleniu się dachu Breanne zdążyła się już przetoczyć po plecach i poderwać na nogi. W ramieniu miała głęboką ranę, która krwawiła silnie przez rozdarty kombinezon. Littlefield stał z Meredith po drugiej stronie strzaskanej platformy. Ardo widział, jak oboje próbują obejść pobojowisko i dostać się do windy.

Wtedy je zobaczył – skrzydlate sylwetki runęły w dół ku wypalanej dziurze w dachu, która otworzyła im nowe wejście do centrum dowodzenia, a zarazem pozbawiła ludzi osłony.

Ardo puścił Jansa. Technik przestał się w końcu szamotać i leżał bezwładnie w progu otwartej windy, blokując drzwi dźwigu przed zamknięciem. Tyle tylko Ardo zdążył zrobić. Potem sięgnął po broń.

Meredith spojrzała w górę i wrzasnęła przeraźliwie, chyba bardziej z zaskoczenia niż strachu, pomyślał Ardo. Jakoś trudno było mu uwierzyć, że ta kobieta mogła się czegoś bać. Tak czy inaczej krzyk Meredith ściągnął uwagę mutalisków. W jednej chwili wszystkie stwory, które pozostały jeszcze żywe, zanurkowały w dziurę i wpadły do środka.

Breanne nie traciła ani sekundy. Jej gauss odezwał się niemal w tej samej chwili, kiedy pierwszy Zerg pojawił się w otworze dachu. Dwa mutaliski przedziurawiły sobie skrzydła o ostre końcówki złamanych anten i wystających prętów zbrojeniowych. Skręcały się i skrzeczały z wściekłości, jeszcze bardziej rozdzierając sobie skrzydła o ostre metalowe krawędzie.

Ardo jednak nie miał czasu troszczyć się o to, co robi Breanne, ponieważ i w jego kierunku ruszyło skórzaste czarne monstrum. Błyskawicznie odpowiedział ogniem i strącił bestię na ziemię, ale to jej nie powstrzymało. Wijąc się i rzucając, ranny mutalisk pełzł po podłodze w jego stronę. Ardo mierzył tylko w błony skrzydeł. Jakaś zimna, wyrachowana część umysłu przejęła teraz nad nim kontrolę – część, o której chętnie by zapomniał, ale która doszła do głosu, aby ocalić mu życie. Nie przerywając ognia, wybiegł z wnęki i ruszył prosto

na przeciwnika. Ten tymczasem pełził bez wytchnienia w jego stronę, nie zważając na ból ani postrzępione skrzydła. Jeszcze metr i powinno wystarczyć, myślał Ardo. Odsunął się lekko w lewo.

Nagle mutalisk zwinął się w kłębek i skoczył.

Ardo tylko na to czekał. W mgnieniu oka skierował wylot lufy w pierś napastnika. Strumień pocisków odrzucił go w locie i cisnął prosto w dziurę, którą jego pobratymiec wypalił w podłodze. Stwór zatrzepotał skrzydłami, broniąc się przed upadkiem, ale ponieważ niewiele z nich zostało, nie dość w każdym razie, żeby utrzymać ciężkie cielsko w powietrzu, zaskrzeczał tylko z furią i runął w dół. Ardo podszedł do dziury i pruł bez chwili przerwy to w pierś, to w głowę spadającego Zerga. Czuł dziwną satysfakcję.

*Nie zabijaj...*

*Oko za oko...*

*Kochaj tych, którzy cię nienawidzą...*

Zbierało mu się na wymioty, ale nie mógł przestać... nie chciał przestać. Potem skierował ogień na mutaliski usidlone między antenowymi prętami, które jednak nadal próbowały dosięgnąć Breanne. Wspólnymi siłami Ardo i porucznik szybko roznosili bestie na kawałki. Kwasowa krew Zergów działała teraz przeciwko nim. Każda rana przeżerała metal, którego dotknęła, i w efekcie cała konstrukcja osuwała się coraz bardziej i coraz bardziej przyszpilała stwory do podłogi.

– Leć, Meredith. Teraz!

Ardo odwrócił się w stronę głosu. To był Littlefield. Na przeciwległym końcu sali sierżant strzelał do trzeciego mutaliska, który podchodził doń niebezpiecznie blisko. Kwasowy strumień wżerał się głęboko w zbroję żołnierza. Za nim stała Meredith.

Grad ognia z karabinu Littlefielda rozpruł cielsko potwora, rozpryskując wokół strugi mięsa i dymiącej posoki.

Meredith rzuciła się do ucieczki, ale mutalisk zwrócił się w jej stronę. Nie przerywając ognia, Littlefield błyskawicznie stanął pomiędzy nią i Zergiem.

Ardo odwrócił ogień od swojego dogorywającego celu i wymierzył w stwora zagrażającego Littlefieldowi. Zaraz jednak się zawahał. Jeśli zacznie strzelać, może trafić Meredith albo sierżanta, a kwas rannego Zerga zaleje ich oboje. W końcu wrzasnął:

– Littlefield! Zejdź mi z drogi!

Sierżantowi krople potu wystąpiły na czoło. Spojrzał na Arda, uśmiechnął się, po czym skoczył prosto na mutaliska. Wbijając karabin w trzewia potwora, drugą ręką sięgnął mu do gardła. Rozwścieczony Zerg owinął Littlefielda ogonem najeżonym ostrymi jak brzytwa wyrostkami.

– Nie! – ryknęła Breanne.

– Uciekaj! – zawołał Littlefield, a głos mu zadrżał w udęce. – Uciekaj, Meredith!

Pod ogniem Littlefielda mutalisk rozpadał się na części, a kwas tryskający z jego ciała

przeżerał kombinezon żołnierza i stapiał obydwie ciała w jedno.

Merdith pobladła jak ściana. Obiegła strzaskane centrum operacyjne na środku sali i dopadła do Arda. Nie mogła się zmusić, żeby popatrzeć w tył.

Breanne rzuciła się w stronę walczących przeciwników, krzycząc:

– Uciekaj, Littlefield! Puść go i uciekaj!

Broń Littlefielda ani na chwilę nie cichła. Ardo pomyślał, że kwas musiał już przeżreć ciało na dłoni sierżanta. Być może tylko roztopiający się metal kombinezonu przytrzymał spust karabinu. Mutalisk przestał walczyć. Pod nim utworzyła się wielka kałuża kwasu.

Znów rozległ się jęk metalowych płyt podłogi, a zaraz potem sierżant Littlefield razem ze swym pokonanym wrogiem zniknął wszystkim z oczu.

Ardo tak się trząsł, że z trudem trzymał w ręku karabin. Tymczasem z zewnątrz dobiegło inne zawodzenie, tym razem bardziej znajome.

Merdith obejrzała się w stronę, skąd dochodził głos.

– Patrzcie! – zawołała.

Wiedźma Walkiria wisiała dziesięć metrów nad ziemią. Przeszywający jazgot silników brzmiał im w uszach niczym najpiękniejsza muzyka.

Ardo wziął głęboki przerywany oddech i obrócił się w stronę windy. Jans stał oparty o ścianę. Był oszołomiony, ale oczy miał otwarte. Ardo podszedł do niego, ostrożnie omijając dziury i wgniecenia w podłodze, i podniósł na nogi.

– Czas, żebyś nas stąd wyciągnął.

Ruszyli szybko w stronę stłuczonych okien. W kabinie desantowca widać było Marza.

Breanne też odetchnęła głośno.

– Odlatujemy – powiedziała.

Merdith stała obok, ale widać było, że coś ją niepokoi.

– Pani porucznik, ile tych skrzydlatych upiorów zgłaszali pani wartownicy, kiedy się to wszystko zaczęło?

– Osiem. Czemu pani pyta?

– Hm, a czy ktoś na zewnątrz zgłaszał, że któregoś zabił? Bo wydaje mi się, że nie...

Breanne otworzyła szeroko oczy. Obróciła się na pięcie w stronę desantowca i zaczęła machać do pilota.

– Uciekaj stąd! Lataj w kółko! – wrzeszczała.

Marz uśmiechnął się i pomachał jej w odpowiedzi.

– Nie, do diabła! Wynos się stąd! – wołała Breanne, wymachując jeszcze gwałtowniej. – Dlaczego nie mam łączności!? On nie rozumie...

– O nie! – szepnęła Merdith.

Znad centrum dowodzenia wyleciały trzy ocalałe mutaliski. Marz był tak zaaferowany odnalezieniem brata, że nie zauważył niebezpieczeństwa. Kiedy się spostrzegł, Zergi były już przy nim i strzykały swoimi żywymi strumieniami prosto w dysze silników i osłonę kabiny.

Breanne podniosła broń i otworzyła ogień. Dołączył do niej i Ardo, ale to wszystko było za mało i za późno. W akcie rozpaczy Marz włączył pełny ciąg i w efekcie zaskoczone mutaliski zostały wessane we wloty powietrza. Kwas jednak dostał się do środka, dysk turbiny z łopatkami odpadł od wału wysokich obrotów i chwilę później desantowiec zaczął się rozpadać na części.

Marzowi udało się odlecieć niecałe sto metrów na zachód, zanim statek wyleciał w powietrze, rozpryskując po całym garnizonie deszcz odłamków i okruchów. Rozbił się o ziemię tuż za zachodnim murem bazy i tam spłonął do reszty w gwałtownym pożarze, kiedy eksplodowały zbiorniki z hipergolicznym paliwem.

Za gęstym słupem dymu Ardo widział kolejne statki Konfederacji wystrzeliwujące w niebo wdzięcznym łukiem. Zostawały po nich tylko połyskujące pomarańczowołososiowe smugi na tle karmazynowego zachodu słońca.

Było ich teraz znacznie mniej niż poprzednio.



## Rozdział 19

# Długi

Ardo stał wstrząśnięty nie mógł przyjąć do wiadomości tego, co się stało. Z trudem oddychał. Chwytał powietrze i wciągał je głęboko długimi, przerywanymi haustami.

Co im pozostało?

Odwrócił się do Breanne. Jej niewidzące oczy błędziły po płonącym kadłubie za murami bazy, jak gdyby kobieta nie patrzyła na niego, tylko przesywała wzrokiem resztki desantowca na wskroś.

– Pani porucznik? – powiedział Ardo cicho. Z jakiegoś powodu bał się jej przeszkodzić. – Co teraz robimy?

Breanne zamrugła, ale nie popatrzyła na niego.

– Co? My... Nie wiem...

– Co mam robić? – powtórzył Ardo.

Głos mu zadrżał, ale tym razem z gniewu, który nagle zaczął w nim wzbierać.

– Pani porucznik! Proszę mi wydać rozkaz! Co mam robić? Proszę mi powiedzieć, jak mam to naprawić?!

Breanne odwróciła twarz w jego stronę. Oczy miała zamglone i błędne.

– Chyba... może Littlefield mógłby...

– Littlefield nie żyje, pani porucznik! – zawołał Ardo nienaturalnie głośnym i rwącym się głosem.

Nagle bestia, którą zawsze czuł zamkniętą w klatce swojej podświadomości, wyrwała się na wolność i zaczęła ryczeć w twarz jego przełożonej oficer.

– Nie ma go! Littlefield już ci nie pomoże, pani porucznik! Nie ocali cię! Nie pomoże ci zachować twarzy! I nigdy więcej nie uratuje ci życia! Jesteś tylko ty, pani porucznik! Tu i teraz! Ty wydajesz rozkazy! Ty masz nas stąd wyciągnąć...

– *Bernelli do dowódcy.*

Głos Beraellego przebijał się przez jakieś zakłócenia.

Ardo patrzył na kobietę wyczekująco.

Breanne przełknęła ślinę. Krople potu wystąpiły jej na czoło i zaślśniły nawet pomiędzy szczecinią krótko ostrzyżonych włosów.

– *Bernelli do dowódcy. Pani porucznik, proszą się zgłosić.*

Ardo otworzył łącze w swoim własnym kombinezonie.

– Bernelli – powiedział krótko. – Pani porucznik wyraźnie rozkazała zachować ciszę na tym kanale.

– *Nie ma potrzeby, Ardo. One odchodzą.*

– Co takiego?

– *Zergi. Mijają nas. Idą na zachód. Właśnie przeszedł koło nas cały szereg.*

– Przecież to bez sensu – zauważył Ardo na kanale.

– *Z sensem czy bez, ale one to robią.*

– *On ma rację, Melnikov. – To był głos Mellisha. – Obserwuję je z bunkra przez lornetkę. Przeszły obok jak szarańcza i zostawiły nas w spokoju. Mam je cały czas na oku. Wszystkie idą na zachód. Pewnie ostrzą sobie zęby na nocną ucztę w mieście.*

Ardo gwizdnął cicho. Miasto Mar Sara leżało na zachodzie i po wyjeździe marines było praktycznie bezbronne.

– Cutter, tu Melnikov. Jestem z panią porucznik w kwaterze sztabu... a raczej w tym, co z niej zostało. Gdzie jesteś?

– *W bunkrze czwartym przy południowo-wschodnim murze. Co się tam u was, do diabła, działo? Gdzie Littlefield i porucznik?*

– Chodź tu w tej chwili – uciął Ardo bez dalszych wyjaśnień. – Pani porucznik... hm, potrzebuje cię.

– *Świetnie, jeśli porucznik mnie potrzebuje, może mi to sama powiedzieć, a nie przez jakiegoś zasmarkanego szczeniaka ze spustem...*

– Styl pysk, Cutter – warknął Ardo. – Pani porucznik chce, żebyś tu przyszedł, więc rusz się!

– *Idę – odparł Cutter lodowatym tonem. – Choćby po to, żeby się z tobą spotkać. Mam nadzieję, żeś dopilnował dla mnie tej kobiety, gołowąsie. Po tym, jak musiała znosić twoje towarzystwo, z radością zobaczy wreszcie prawdziwego mężczyznę.*

Ardo ze złością wyłączył kanał taktyczny i odwrócił się w stronę windy.

– Przykro mi, Meredith. Dopilnuję, żeby Cutter nie...

Drzwi windy były zamknięte. Wskaźniki we wnęce pokazywały, że winda zjeżdża na parter.

Meredith znikła.

Ardo błyskawicznie obrzucił wzrokiem pomieszczenie. Fragment dachu, który zwałił się do środka leżał powykrzywiany na podłodze. Konsole po lewej stronie centrum operacyjnego zostały zgniecione i zrównane z ziemią, ale prawa strona stała nietknięta. Ardo szybko ruszył

w tamtą stronę, omijając wgniecenia i szczeliny wyżarte przez kwas.

– Melnikov – odezwała się Breanne, jakby się nagle zbudziła ze snu. – Do diabła, co ty wyprawiasz?

– Leżała na podłodze, dwa metry ode mnie – mruczał, zaglądając między konsole po prawej stronie.

Skrzynka również znikła.

Ardo ryknął wściekle na całe gardło. Teraz ogarnęła go prawdziwa furia. Zerknął na windę. Za późno, tędy jej nie dogoni. Odwrócił się i wciągnął po drabince na podest pod oknem, z którego teraz zostały tylko płyty powyginanej stali. Chwycił się ramy okiennej i wychylił na szalejącą wicher.

Spojrzał w dół. W zapadającym zmierzchu widać było tylko zarysy budynku. Okna świeciły bladą poświatą, a między nimi na sterzących rozmaitych urządzeniach mrugały smętnie antykolizyjne światełka przeszkodowe. Na samym dole przed głównym wejściem do centrum dowodzenia kładła się na ziemni jasna plama żółtego światła.

Nagle pojawił się na niej długi cień pojedynczej kobiecej sylwetki taszczącej ciężką skrzynię.

Ardo zerknął na wskaźniki zasilania w hełmie. Nie zeszły jeszcze do poziomu rezerwowego. Wystarczy z nawiązką, żeby ją dogonić.

Jednym ruchem precyzyjnie się przez otwór okienny i rzucił biegiem w dół po pochylej ścianie centrum dowodzenia. Ciężkie buty kombinezonu dzwoniły o pancerne mury budynku. Rzecz jasna bez kombinezonu bojowego taki samobójczy skok byłby niemożliwy, a i teraz przeciążone serwomechanizmy skafandra wyły ostrzegawczo, ale Ardo nie zważając na nic, pędził w dół po coraz bardziej stromej ścianie. Meredith uciekała na zachód, w stronę fabryki.

Wkrótce ściana stała się już zbyt stroma, żeby po niej biec, nawet w skafandrze, ale był już niespełna osiem metrów nad ziemią. Przytrzymał się uchwytu rakiety sterującej, wystającej ze ściany i skoczył.

To było twarde lądowanie. Przeturlał się tak, jak go uczono na ćwiczeniach. Kombinezon zamortyzował znaczną część wstrząsu, serwomechanizmy zawodziły rozpaczliwie, lecz Ardo poderwał się na nogi i puścił dalej w pościg.

Kiedy skręcił za róg, zobaczył rząd pojazdów zaparkowanych przed zautomatyzowaną fabryką. Były wśród nich różne modele SCV-ów, pojazdy pomocy naziemnej i napowietrzne vultury, porzucone razem z resztą bazy i wystawione na pastwę smagającego, oślepiającego piachu.

Zatrzymał się. Gdzieś tam musi być Meredith. Trzeba ją tylko znaleźć.

Włączył zewnętrzne czujniki dźwiękowe, chociaż wicher wyl wokół hełmu. Wyłączył natomiast kanał taktyczny. Breanne zacznie go niebawem szukać, a Ardo nie chciał, żeby go coś rozpraszało.

Ruszył powoli między pojazdami, stawiając nogi ostrożnie i po cichu. Zdumiewające,

pomyślał mimo woli, że tak ciężki i skomplikowany wojskowy sprzęt jak kombinezon bojowy, kiedy trzeba, potrafi się poruszać bezszelestnie. Podniósł karabin i położył palec na spuście. Nie miał wątpliwości, że jeśli będzie trzeba, strzeli Meredith w głowę bez wahania... a kto wie, czy nie zrobi tego nawet, jeśli nie będzie trzeba.

Ogromne SCV-y stały za zasłoną dmącego piasku ciche i nieruchome niczym żołnierze na warcie. Były to opancerzone ponad trzymetrowe olbrzymy. Ardo kluczył między nimi szybko i bezgłośnie, z karabinem gotowym do strzału.

Wtem po prawej stronie coś trzasnęło. Ardo obrócił się błyskawicznie i wycelował w kierunku źródła dźwięku. Wizjer natychmiast pokazał mu winowajcę – otwarta kłapa w nodze SCV-a łomotała na wietrze. Ardo ruszył dalej przed siebie.

Gdzieś z przodu rozległ się odgłos uruchamianego silnika. Motor jednak obracał się rozpaczliwie powoli i nie zaskoczył. Uśmiechając się pod nosem, Ardo ominął SCV-a, który zasłaniał mu widok.

Uruchamianym pojazdem był holownik, ciężarówka prawie tak wysoka jak SCV. Zawieszenie holowników wspierało się na sześciu ogromnych oponach balonowych. Z kabiny, usytuowanej w przedniej części samochodu, bił słaby blask.

Wejście do kabiny holownika nie należało do najprostszych. Żeby dostać się do drzwiczek, trzeba było wspiąć się po pionowej drabince. Oczywiście w kombinezonie bojowym Ardo mógł to zrobić bez większego trudu, ale podejrzewał, że Breanne wołałaby dostać Meredith żywą, a bezpośredni atak nie był na to najlepszym sposobem. Niespodziewanie przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Uśmiechnął się do siebie i podszedł do pojazdu od tyłu, uważając, żeby Meredith nie zobaczyła go w bocznych lusterkach. Schylił się, wszedł pod zawieszenie i zaczął się czołgać wzdłuż pojazdu. W połowie drogi znów usłyszał rżenie silnika. Przyspieszył, ale silnik prychnął dwukrotnie i zamilkł.

Na wysokości kabiny Ardo przykucnął tuż pod drzwiczkami kierowcy. Widział cień poruszający się w kabinie, słyszał przełączane przyciski i ciche mamrotanie Meredith.

Poderwał się błyskawicznie, szarpnął za drzwiczki, drugą ręką złapał Meredith za ramię i jednym ruchem ściągnął ją z siedzenia. Wspomaganie kombinezonu nadało pociągnięciu niewiarygodną siłę. Kobieta wypadła z kabiny, chwytając się rozpaczliwie rąk Arda i wierzgając nogami. Niespodziewanie trafiła stopami na bok kabiny i z całej siły odepchnęła się w tył. Oboje potoczyli się na ziemię, ale Ardo poderwał się szybciej i zanim jeszcze stanął na nogi, trzymał już broń gotową do strzału. Meredith leżała u jego stóp, jęcząc i wijąc się z bólu.

– Wstawaj – powiedział. – Wracamy.

Meredith podniosła wzrok. Dyszała ciężko.

– Jesteś więźniem – powiedział beznamiętnie, podnosząc broń.

– Więźniem? – zakasłała szyderczo. – Więźniem czego?

– Więźniem Konfederacji – wyjaśnił Ardo służbiście.

Merdith prychnęła pogardliwie.

– No to jest nas dwoje.

– Zamknij się! – warknął Ardo.

– Przysłuchiwałam się stąd rozmowom na kanale otwartym. – Merdith wskazała na kabinę ciężarówki. – Konfederacja zakończyła ewakuację. Prawdopodobnie są już teraz poza układem.

– No to znajdziemy inne połączenie. Wezwiemy statek ratunkowy. Wrócą po nas i...

Merdith prychnęła niecierpliwie.

– Obudź się wreszcie, żołnierzyku! Dla nich jesteśmy martwi! Uważasz, że ta atomówka spadła z nieba ot tak sobie? To my mieliśmy ją połknąć, Ardo. Dowództwo korpusu wysłało was tu, żebyście odszukali mnie i moją skrzynkę... to przekłete jadowite pudło!... A kiedy się upewnili, że je macie, odwołali desantowiec, narysowali wam na czołach tarcze i wystrzelili swoją zabaweczkę. Doskonale znali wasze położenie. Wystawili was. Waszym jedynym, prawdziwym zadaniem w tej misji było znaleźć mnie i tę parszywą skrzynkę i zginąć!

– Jesteśmy żołnierzami, droga pani. – Ardo zrobił się czerwony. – A żołnierze giną. To nasze zadanie.

– Nie – powiedziała Merdith cicho, ale dobitnie. – Waszym zadaniem jest walczyć! Walczyliście dzisiaj i przeżyliście. Dowództwo bez mrugnięcia okiem spisało was na straty, ale wy nadal walczyliście i przeżyliście. Ardo, kiedy to do ciebie dotrze? Dla nich jesteśmy martwi i o to im właśnie chodziło. Jezu, nie rozumiesz? Oni to wszystko tak właśnie zaplanowali! Nikt nie może się dowiedzieć o tej skrzynce. Jeśli się z nią zjawicie w dowództwie, dopilnują, żebyście byli jeszcze bardziej martwi.

– Zamknij się! Dlaczego, do diabła, nie możesz się zamknąć?!

Merdith nie dawała za wygraną.

– Nie odrzucaj swojego życia dla urojeń, żołnierzyku. Konfederacja cię okłamała, okradła cię z miłości, rodziny i całej przeszłości. Wysłała cię tu, żebyś wykonał za nich brudną robotę, a kiedy to zrobiłeś, z lekkim sercem postanowili cię zamordować. Pod powierzchnią całego tego programowania, prania mózgu i „wtórnego socjowarunkowania” nadal drzemie człowiek, Ardo Melnikov, który zasługuje na własne życie i ma je prawo przeżyć. – Westchnęła. – Gdzieś głęboko nadal tkwi ten szlachetny młodzieniec, wychowany przez kochających rodziców.

Ardo zamrugał. Był zlany potem, nawet system chłodzenia kombinezonu niewiele pomagał.

– Co... co to ma znaczyć? Do czego zmierzasz?

Merdith pokiwała głową. Ich oczy się spotkały.

– Zmierzam do tego, że trzeba się stąd wynieść. Myślą, że zginęliśmy i niech tak zostanie. Wydostaniemy się z tej planety, zaczniemy gdzieś nowe życie i niech kto inny odważa umieranie za nas.

Ardo uśmiechnął się smutno.

– I niby jak masz zamiar się stąd wydostać? Na piechotę? Wszystkie siły konfederacyjne odleciały. Ostatni statek handlowy poleciał razem z nimi. Nawet gdybym powiedział „tak”, nawet gdybym ci zaufał, z tej planety nie ma ucieczki.

Merdith podeszła doń z uśmiechem na twarzy.

– Nieprawda. Wiem, jak się stąd wydostać.

Ardo uniósł broń. Merdith zrozumiała i cofnęła się.

– Z Synami Korhala – powiedziała spokojnie.

– Z Synami Korhala? – prychnął Ardo. – Garstką zaślepionych fanatyków?

– Owszem. – Merdith skinęła głową z uśmiechem. – Ponieważ tak się składa, że flota statków transportowych tych „zaślepionych fanatyków” jest teraz pięć godzin drogi stąd i zmierza dokładnie na tę planetę. Wylądują tu, żeby ewakuować, kogo się da, wszystkich, którzy jeszcze zostali i... mój grzeczny żołnierzyku, sądzę, że z ochotą przyjmą nasz bilet podróżny.

Ardo pokręcił głową, ale nie powiedział ani słowa.

– Ardo! Jeśli damy im tę skrzynkę, odlecimy stąd pierwszym transportem! – zapewniała gorąco Merdith. – Jedyne, co musimy zrobić, to wydostać się z bazy i przeżyć sześć godzin. Znam tu bezpieczne schronienie, enklawę, do której Zergi na pewno nie dotrą. W pierwszej kolejności rzucają się na miasta. To nie ulega wątpliwości.

– Co takiego? – zapytał Ardo wstrząśnięty.

– Tam będziemy bezpieczni do czasu, gdy zjawi się flota ratunkowa. Miasta zatrzymają Zergi na jakiś czas. To wystarczy, żebyśmy...

– Miasta? – Ardo zelektryzował sens słów, które dotarły do jego świadomości. – Tysiące mieszkańców zostanie pożartych przez te koszmarnie potwory, a ty je odliczasz minutami, które dzięki nim zyskasz?

Merdith głośno przełknęła ślinę.

– Wszyscy musimy czasami ponosić ofiary, Ardo. Niekiedy są one bolesne, ale...

*Patriarcha Gabittas mówił do niego na zajęciach seminaryjnych: „Cóż przyjdzie człowiekowi z tego, że zdobędzie cały świat, skoro straci duszę...”*

Melani uśmiechnęła się do niego w złocistym blasku słońca.

– A więc ofiara tysiąca ludzkich istnień nabiera sensu, ponieważ dzięki niej ty i twoi bezcenni rebelianci przeżyjecie? – Ardo aż się zatrząsł z gniewu. – Littlefield oddał za ciebie życie! Wszedł w paszczę śmierci po to, żebyś ty mogła żyć. Czy to jeszcze za mało? Ile ludzkich istnień warte jest twoje życie, Merdith? Setki? Tysiące?

Oczy Merdith zabłysły. Ardo odwrócił się ze złością, podniósł karabin nad głowę i z wściekłym okrzykiem grzmotnął rękojeścią w szybę pojazdu. Nic to jednak nie pomogło. Jeszcze raz ryknął gniewnie i cisnął broń przez stłuczone okno do kabiny holownika. Potem odwrócił się do Merdith i chwycił ją za ramiona.

– A co z moim życiem, Merdith? Ile ludzkich istnień warte jest moje życie? Ile ludzi powinno dla mnie umrzeć?

Ścisnął ją jeszcze mocniej. Merdith skrzywiła się z bólu.

– I co z moją duszą, Merdith? Moja dusza należy do mnie. Nikt nie może jej sobie wziąć. Ani Konfederacja, ani twoi drodzy rewolucjoniści. Nie kupisz mi zbawienia. Ile jest warte moje życie, Merdith? Ile? Ile ludzi mogę za nie kupić?

*Ojciec czytał całej rodzinie. „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle.”*

Ardo zamarł.

Merdith, nadal zakleszczona w jego żelaznym uścisku, spojrzała nań pytająco.

– O co chodzi?

*Melani stała wśród łanów złocistej kukurydzy. Wręczała mu skrzynkę i recytowała fragment Biblii.*

– Ardo! To boli! – skrzywiła się Merdith.

*Lepiej, aby zginął jeden człowiek, niż gdyby cały naród miał marnieć i zginąć w bezbożności...*

Nagle Ardo ją puścił.

– Ile statków nadlatuje?

– Co? Około setki. Pewnie wszystko, co im się uda wyskrobać. Ale nie zdążą dotrzeć do miasta na czas, żeby je ocalić.

– Owszem, ale co, jeśli Zergi nie zdążą dotrzeć do miasta, żeby je zniszczyć? – Mówiąc to, Ardo odwrócił się do ciężarówki, otworzył drzwiczki i wsiadł do kabiny. – Wtedy tysiące ludzi byłoby uratowanych? Prawda?

– Nie powstrzymasz Zergów, żołnierzyku!

Ardo wyskoczył z powrotem z kabiny. W rękach trzymał metalową skrzynkę.

– Nie – powiedział Ardo. – Ale może uda nam się nieco spowolnić ich marsz.

## Rozdział 20

# Syreny

– Do reszty postradałeś ten swój pogruchotany rozum, wiesz o tym?

Ardo rozejrzył się po kwaterze sztabowej. Twarze, które patrzyły na niego, w większości zdawały się zgadzać z opinią Cuttera.

Z sufitu sypał się snop iskier. Tinker był na zewnątrz w SCV-ale. Udało mu się uprzątnąć większość połamanych anten i czujników i przyspawać na miejsce odłamany fragment dachu. Teraz przylutowywał wzmocnienia na szczelinach wyżartych przez kwas.

Cały oddział wezwano z powrotem do sztabu. Ardo stał przed ocalałą resztką plutonu, który tego ranka wyruszał na misję do Oazy. Zdawało się, że lata minęły od tamtej pory.

Szeregowy Mellish siedział zniechęcony i wyczerpany na platformie podokiennej, nogi dyndały mu w powietrzu. Tylko on jeden przeżył z oddziału Jensena i starał się teraz patrzeć wszędzie, byle nie na Arda. Naprzeciwko opierali się o konsole szeregowcy Bernelli i Xiang. Oczy tego ostatniego błędziły gdzieś w oddali, podczas gdy Bernelli przeszywał Arda wzrokiem na wskroś jakby dwoma laserami. Porucznik Breanne stała na podeście za Xiangiem i Bernellim. Odwróciła się tyłem do sali i skrzyżowała ręce na piersi. Można by pomyśleć, że wypatruje czegoś w zmięczeniu za oknem bez szyb, ale Ardo wiedział, że ich dowódca niczego tam nie widzi, a każdą myślą jest tu, w sali sztabowej.

Podobnie jak Cutter. Olbrzymi wyspiarz nie miał najmniejszych problemów z wygłoszeniem swojej opinii. Maszerował w tę i z powrotem po świeżo zespawanej podłodze przed windą.

– Mózg ci roztopiło!

– Może – odparł Ardo.

Przejechał palcem po metalowej skrzynce leżącej krzywo na zdewastowanej podłodze centrum operacyjnego. Meredith stała oparta o jedną ze zdeformowanych płyt. Ręce włożyła w kieszenie kombinezonu i zamyślona wpatrywała się w podłogę.

– Może i tak – powtórzył Ardo – ale dla nas to bez różnicy, a dla innych może mieć



ogromne znaczenie.

– Dla nas bez różnicy? – Cutter aż rozdziawił usta. – Chcesz włączyć sygnał przyzywający Zergi, ściągnąć nam na głowę każdego mutaliska, hydraliska i nie wiem, co tam jeszcze, co się czai w promieniu tysiąca kilometrów, i uważasz, że to nas nie obchodzi?

– Tego nie powiedziałem – pokręcił głową Ardo.

– Boże, mam nadzieję, że nie!

– Powiedziałem, że to nie ma dla nas znaczenia. – Ardo odłożył hełm na skrzynkę i zdjął rękawice. – Posłuchaj. Konfederacja zostawiła nas tu na śmierć... do diabła, skazała nas na śmierć! Nie wróciliby tu po nas, nawet gdyby się dowiedzieli, że żyjemy. Spisali na straty cały ten świat razem z każdym jednym kolonistą. Pomyśl tylko, Cutter! To sekretne urządzone Konfederacji ściągnęło Zergi na tę planetę. Tu, w tej skrzynce, jest na to dowód. Myślisz, że pozwolą, żeby ktoś się o tym dowiedział? Że ponoszą winę za unicestwienie całej planety? Odezwał się Bernelli.

– A co z tymi... Synami Kohoła czy Korhala, czy jak im tam... Przecież lecą tu ze statkami ewakuacyjnymi, no nie? Nie możemy się z nimi zabrać?

Ardo skinął głową.

– Moglibyśmy pójść z Synami Korhala na wymianę, sprzedać im tę skrzynkę i prawdopodobnie uciec z tej planety, jeżeli to w ogóle będzie jeszcze możliwe. Musielibyśmy przedrzeć się przez linie Zergów, znaleźć tamtych i dobić z nimi targu. Tylko że ci Synowie Korhala mają własne plany. Nie wystarczy im statków, żeby ewakuować całą planetę. To kwestia prasy, trzeba pokazać trochę obrazków, jak ratują ludzi, których Konfederacja zostawiła na pewną śmierć. Ale oni także mają co nieco do ukrycia, na przykład fakt, że też przyłożyli ręki do ściągnięcia tu Zergów.

Xiang obrócił się gwałtownie do Arda.

– Ta zgraja Korhala? Myślałem, że to zabawka Konfederacji.

Ardo spojrział na Meredith.

– Powiedz im.

Meredith poruszyła się niespokojnie.

– To prawda, że moglibyście dobić targu z Synami Korhala...

– Nie – przerwał jej Ardo, a Meredith skrzywiła się pod wpływem jego tonu. Powiedz im, kto włączył urządzenie!

Meredith patrzyła w podłogę.

– Pewne ofiary są nie do uniknięcia. Dla sprawy. Okrucieństwa Konfederacji nie pozostawiły rebeliantom innego wyjścia, jak tylko wykorzystać jej własną broń przeciwko dalszej agresji.

– Bogowie drodzy! – Xiang był wstrząśnięty. – Melnikov, przecież to ludobójstwo! Eksterminacja na skalę planety!

Meredith podniosła wzrok. Oczy jej pałały.

– Synowie Korhala mają w pełni uzasadnione prawo do...

Mellish splunął na podłogę z obrzydzeniem.

– Ech, zamknij się lepiej, damulko! Synowie Korhala mają w dupie życie niewinnych ludzi tak samo jak Konfederacja. Z tego, co słyszę, to tylko druga strona tej samej monety... i w dodatku tak samo splamiona.

Ardo pokręcił ze smutkiem głową.

– I kiedy to wszystko się skończy, zgraja Korhala z całą pewnością też nie będzie miała ochoty oglądać nas żywych. Wprawdzie to Konfederacja skonstruowała urządzenie do ściągania Zergów, ale uruchomili je tamci. Wiemy, co się tu stało, ilu ludzi zginęło... z winy obu stron. – Westchnął. – Nie, chłopcy, wszyscy jesteśmy już martwi, a jedyne, co jeszcze możemy zrobić, to zdecydować, jak zginiemy i w imię czego.

– Śliczna przemowa! – prychnął Cutter, rozdymając nozdrza. – To co? Już się czujesz bohaterem, Melnikov? Chcesz się poświęcać dla innych, tak? Tylko że ja widziałem, co z ciebie za bohater, chłoptasiu! Poświęciłeś Wabowskiego bez mrugnienia okiem, bardzo ochoczo, moim zdaniem. A teraz strugasza wielkiego człowieka, żeby poświęcić nas wszystkich!

– Cutter, tam są rodziny – odezwał się zmęczonym głosem Bernelli. – Kobiety, dzieci...

– Tak, i moja rodzina też! – Czarne oczy Cuttera zaokrągliły się i zaszkliły. – Ale nie pisałem się na coś takiego!

– Zdawało mi się, że nie możesz się doczekać walki. – Mellish podniósł głos, nie okazując najmniejszego strachu przed potężnym firebatem. – A teraz szukasz tylnego wyjścia?

– Cutter nigdy w życiu nie wyszedł tylnym wyjściem, siostrzyczko! Daj mi stanąć do walki z podniesionym czołem, a pożrę ich serca na śniadanie. Ale ten – Cutter wskazał na Arda – ten latryniarz każe mi siedzieć na tyłku i ginąć za garstkę cywilów, których na oczy nie widziałem, którzy się nawet nie dowiedzą, co dla nich zrobiłem, a prawdopodobnie nawet gdyby się dowiedzieli, gównem by ich to obchodziło! Pomyłony pomysł!

– A więc po to tu przyjechałeś, Cutter?! – zawołał Ardo. – Żeby ktoś cię pochwalił? Urządził paradę na twoją cześć i ronił łzy? Czy naprawdę to jest dla ciebie najważniejsze? Żeby cię wszyscy pamiętali jako bohatera? Tam niedługo zginą niewinni ludzie, Cutter, i tylko my w tej chwili możemy im pomóc, bez względu na to, czy się o tym dowiedzą, czy nie!

– Przyjechałem, żeby odnaleźć braci. Oni gdzieś tam są i ja ich muszę znaleźć!

Ardo już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Bracia Cuttera. Nie zastanawiał się nad tym wcześniej, ale skoro jego własne wspomnienia zostały tak radykalnie stłumione i przetworzone w zbiornikach resocjalizacyjnych, co zrobiono z umysłem ogromnego wyspiarza? Czy jego bracia rzeczywiście są na tej planecie? Czy w ogóle Cutter miał braci? I jak to wszystko wytłumaczyć porywczemu firebatowi?

Bernelli westchnął.

– W każdym razie, jeśli mamy zginąć, chcę przynajmniej wiedzieć, że oddaję życie za coś więcej niż marny żołd.

– A jeśli ja mam zginąć – zasyczał Cutter – to na pewno nie przez tego dupowycierucha... i nie w pojedynkę!

To powiedziawszy, skoczył tak błyskawicznie, że Ardo nie miał czasu zareagować. Dopadł chłopaka dwoma susami i chwycił za gardło.

Ardo próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Szarpał się, ale na próżno. Kombinezon firebata zwiększył siłę uścisku i po kilku sekundach Ardowi przed oczami zabłyśły gwiazdy. Świat się zaczął rozmywać. Gdzieś na granicy pola widzenia poruszały się cienie, słychać było krzyki, ale widział przed sobą tylko wściekłą twarz wyspiarza, a w jego oczach krwiożerczy instyngt.

Nagle usłyszał wyraźny głos.

– Puść go, Cutter! Puść go w tej chwili!

Wyspiarz zwolnił uścisk i Ardo potoczył się na podłogę jak szmaciana lalka. Rozpaczliwie łapał powietrze.

Spojrzał w górę.

Porucznik Breanne stała z lufą karabinu przyłożoną do skroni Cuttera.

– Chcesz uratować braci, Cutter? A czy przyszło ci do głowy, że oni są właśnie wśród tych cywilów, czekających, żeby się stąd wydostać? Czy pomyślałeś, że jedynym sposobem uratowania twoich braci jest dopilnowanie, żeby Zergi nie dostały się do miasta przed przybyciem statków ratunkowych?

Cutter zamrugał gwałtownie. Kiedy się odezwał, mówił niskim, cichym głosem.

– Nie, pani porucznik... Nie pomyślałem o tym.

– Więc lepiej nie próbuj już więcej myśleć! – wrzasnęła Breanne rozkazującym głosem. – Ja pomyślę za ciebie!

Cofnęła karabin i machnęła lufą w stronę Cuttera.

– Całe życie walczyłam w czyichś wojnach, za czyjeś idee i sprawy! Melnikov ma rację! Życie każdego z nas tutaj może uratować setki, może tysiące ludzi. Oni nigdy się o tym nie dowiedzą, nigdy nie będą mogli tego docenić, ale jeśli mam umrzeć, chcę umrzeć za coś, co jest tego warte!

To powiedziawszy, odwróciła się w stronę skrzynki i szybkim, stanowczym ruchem zwolniła zamki. Metalowe wieko odskoczyło.

Breanne odwróciła się do osłupiałych twarzy.

– Mamy, z grubsza licząc, półtorej godziny przed nadejściem pierwszego Zerga. Proponuję, żebyśmy wykorzystali ten czas jak najlepiej.

\* \* \*

Ardo obracał już czwarty raz do kolejnych bunkrów. Był zmęczony, ale pocieszał się, że niedługo już będzie musiał znosić zmęczenie. Czeką go odpoczynek długi i ostateczny. Zauważył, że właściwie wygląda go z niecierpliwością. W pamięci zaczęły mu odzywać wspomnienia lekcji z czasów młodości: opowieści o wierze, nadziei i pokoju, które wypełniają życie po śmierci. To niezwykle, rozmyślać o takich sprawach w samym środku tego piekła.

Za pomocą SCV-ów Tinker budował nowe bunkry wokół centrum dowodzenia. To miał być główny punkt obrony na terenie garnizonu. Pierwszy opór stawiają poza murami, z daleka ostrzeliwując zbliżających się napastników. Dopiero kiedy zewnętrzna linia defensywna zacznie się załamywać, wycofają się za mury i skupią obronę na linii bunkrów. Tam muszą wytrzymać najdłużej, jak się da, i mieć nadzieję, że to wystarczy.

Mellish razem z kilkoma innymi pozbiarał wszystkie miny, jakie znaleźli w składach, i wyjechał transporterem opancerzonym poza bazę. Rozsiewał je według precyzyjnie obmyślanego schematu, a robił to tak pieczołowicie, jak farmer uprawiający swój najżyźniejszy zagon.

Ardo uśmiechnął się od ucha do ucha. Mam nadzieję, że będzie miał dużo pociechy, kiedy jego wybuchowy zasiew wyda plony, pomyślał. Sam zajmował się w fabryce produkcją nowej amunicji do gaussów. Breanne zgodziła się z jego spostrzeżeniem, że Zergi bynajmniej nie przejmują się swymi rannymi towarzyszami.

To była prosta przeróbka. Przeprogramował replikator z produkcji zwykłych naboju przeciwpiechotnych na płaskie rozpryskowe. W przeciwieństwie do standardowej amunicji, te po uderzeniu w cel ulegną spłaszczeniu, a potem rozerwaniu. Nie będą ranić, tylko zabijać, i to tak, żeby zadać jak największe straty. Ardo nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy, jak działają.

Przy bunkrze pod wschodnim murem pracował Tinker. Od katastrofy desantowca, którym leciał jego brat, Jans nie wypowiedział chyba więcej niż dziesięć słów. Ardo poważnie się o niego martwił, ale to nie była pora na zajmowanie się osobistymi problemami żołnierzy. Prawdopodobnie zresztą dla nich taka pora już nigdy nie nadejdzie.

Przez otwarty wąż wszedł do środka niskiej kopolastej budowli.

Bunkry należały do standardowych konstrukcji konfederacyjnych i śmiało można było powiedzieć, że jeśli się widziało jeden z nich, widziało się wszystkie. Pod grubymi pancernymi osłonami starczało miejsca dla czterech żołnierzy. Cztery otwory strzelnicze wychodziły na cztery strony świata. Chociaż mało wygodne, były to jednak najbezpieczniejsze budowle w każdej bazie Konfederacji. Kiedy już je raz zmontowano, dużo trudu wymagało ich „zdemontowanie”, a jak dużo – o tym się właśnie mieli przekonać.

Ardo wszedł do środka obładowany skrzyniami z amunicją i ku swemu zdumieniu zobaczył Merdith wyglądającą przez jedną ze strzelnic.

– Och, przepraszam. Już ci schodzę z drogi.

– Nie, nie, w porządku. Nie przeszkadzasz mi. – Ardo postawił skrzynki i zaczął je układać pod otworami strzelniczymi. – Ale jeśli przyszedłeś tu oglądać widoki, to patrzysz w złym kierunku.

– No cóż, nigdy nie przepadałam za turystyką – zaśmiała się Merdith słabo i znów spojrzała przez otwór. – Jak myślisz, skąd najpierw nadejdą?

– Nie wiem – odparł Ardo. Stał obok niej i też się zaczął wpatrywać w czerwoną równinę. – Ostatnie oddziały, jakie widzieliśmy, szły na zachód, więc gdybym miał zgadywać, stawiałbym, że te nadejdą pierwsze. Stamtąd oczekiwałbym pierwszych nieproszonych gości.

Merdith skinęła głową. Nastąpiła chwila milczenia.

– Ej, żołnierzyku.

– Słucham.

– Na wypadek, gdybym ci nie zdążyła tego powiedzieć później: uważam, że to, co tu robicie, jest...

Ardo zerknął na nią z ukosa.

– Jest co?

– Właściwie nie wiem. Miałam zamiar powiedzieć „dobre” albo „słuszne”, ale to za mało.

– Oparła złożone ramiona na parapecie strzelniczym i położyła na nich głowę. – Może nawet... wzniosłe.

Ardo wybuchnął śmiechem.

– Wzniosłe?

Merdith też się roześmiała.

– No dobra, może wzniosłe też nie. Nieważne zresztą jakie jest, chciałam ci podziękować.

– Ja bym sobie nie dziękował. W końcu mam zamiar nas wszystkich pozabijać.

– Tak, ale ile ludzi będzie mogło dalej żyć dzięki temu, co tu robimy! Tak naprawdę wcześniej nie przyszło mi to do głowy. – Spojrzała na Arda. – Oni ci pewnie nie podziękują. Pewnie się nawet nie dowiedzą, co tu zaszło, ale ja to powiem za nich: dziękuję.

Ardo skinął głową i zamyślił się na chwilę.

– Wiesz... właściwie nie mam pojęcia, kim jestem. Tyle razy mnie programowano, a potem przeprogramowywano, że zapomniałem już, kim byłem, po co żyję i dokąd zmierzam. A jednak gdzieś w głębi duszy przetrwała jakaś częśćka, jakieś ja, którego nie mogli zagłuszyć kolejnym programowaniem. Kiedyś się tego bałem, ale teraz to jest jedyna rzecz, której się mogę uchwycić. Pomogłaś mi odnaleźć duszę i za to z kolei ja ci chcę podziękować.

Schylił się, wziął do ręki nowy karabin i rzucił go Merdith.

– Chyba umiesz się z tym obchodzić?

Merdith złapała broń i przeładowała ją jednym szybkim ruchem.

– Aż do tego stopnia mi ufasz?

– Jeśli zabijesz któregoś z nas, tyle na tym zyskasz, że będziesz miała jedną osobę mniej

do ubezpieczania ci tyłów – uśmiechnął się Ardo.

Merdith odwzajemniła uśmiech.

– W takim razie muszę się z tym obchodzić naprawdę ostrożnie.

– Szkoda, że nie poznałaś Melani. Raczej nie jesteście do siebie podobne, ale ona...

– *Tu Mellish. Melduję kontakt wzrokowy. Mamy towarzystwo z zachodu.*

Ardo uśmiechnął się kwaśno.

– Są przed czasem.

## Rozdział 21

# Obleżenie

– *Chłopcy, przygotować się!* – to był głos Breanne. – *Najpierw bronimy się na zewnątrz, potem na mój rozkaz wszyscy cofają się za mury. Status priorytetowy!*

Ardo dwukrotnie wcisnął przycisk nadawczy.

– *Tu Melnikov, zewnętrzny numer pięć, południowy zachód.*

– *Mellish, zewnętrzny cztery, północny zachód! Zbliżają się piekielnie szybko i...*

– *Skończ tę gadkę, Mellish! Status priorytetowy!*

– *Tu Xiang. Zewnętrzny trzy, północny wschód.*

– *Bernelli w zewnętrznym numer dwa. Jestem na eee... południowym wschodzie.*

– *Cutter zewnętrzny jeden, południe, pani porucznik.*

– *Koniec statusu priorytetowego. Nie strzelać, dopóki nie przedrą się przez zewnętrzne miny. Kiedy zaczną się przedostawać, zameldować, a potem otworzyć ogień. Zrozumiano?*

Ardo uśmiechnął się do siebie. Nawet w obliczu przegranej sprawy Breanne miała zamiar przeprowadzić wszystko zgodnie z procedurą. Gdyby przewidziano procedurę umierania, prawdopodobnie też by ją zastosowała co do joty.

– *O co chodzi?* – spytała Meredith, widząc uśmiech na twarzy Arda.

Ardo pochylił się i wyrztał przez otwory strzelnicze bunkra. Oczy mu się zwięzły.

– *O, bogowie! Co to jest?* – wyszeptała Meredith z niedowierzaniem.

Horyzont na południowym zachodzie zaszedł mgłą, ostra linia widnokregu się rozmyła. Mogłaby to być burza piaskowa zbliżającą się w ich stronę z groźnym rykiem, gdyby nie było to coś dużo bardziej krwiożerczego. Ardo włączył kanał taktyczny.

– *Pani porucznik, widzę linię Zergów, zbliżają się szybko z zachodu... odległość około trzech kilometrów. Nie widzę końców linii.*

– *Tu Mellish. Chyba mam tu koniec, na kursie dwa-dziewięćdziesiąt. Do diabła, nie sądziłem, że ich wszystkich może być aż tyle...*

– *Tu Cutter, z mojej strony nie widać końca linii.*

– Ardo, co się dzieje?

Melnikov spojrział na Meredith.

– Co? A, no tak, przecież nie masz hełmofonu! Nadchodzą. Zasłoniły prawie cały horyzont, a Bóg jeden raczy wiedzieć, co się dzieje dalej. Ta twoja skrzynka przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

Meredith głośno przełknęła ślinę. W ustach jej zaschło. Palce zacisnęła na karabinie prawie do białości.

– No i...? Co teraz?

– Czekamy.

– Czekamy? Na co?

– Aż dotrą do pola minowego.

Potrząsnął ramionami i przetoczył głową po karku i ramionach. Był spięty, a ruszanie do bitwy spiętym nie należało do najlepszych pomysłów.

– Mellish i Bernelli rozsiali dwa rzędy min wokół bazy. Jeden pas ma szerokość kilometra, drugi pięćset metrów. To rodzaj min kumulacyjnych połączonych heurystyczną siecią czujników...

– Hola! Trochę wolniej! Heurystyczne co?

– Heurystyczną sieć czujników. Miny komunikują się ze sobą przez specjalną sieć o małym zasięgu i uczą się od siebie nawzajem, czego mają szukać u przechodzących wrogów. Im więcej ich wybucha, tym się robią sprytniejsze w zabijaniu intruzów. Mogą zmieniać schemat przebiegu eksplozji w celu zadawania większych ran. Musieliśmy je trochę przeprogramować...

– Ponieważ nie chcecie, żeby zadawały rany, tylko zabijały, i to jak najwięcej i jak najszybciej – dokończyła za niego Meredith i spojrzała przez strzelnicę. Zamglona linia zbliżała się bardzo szybko.

– Tak jest – odparł Ardo i przysunął się bliżej do otworu. – To niewiarygodne! Posłuchaj tylko.

Zanim odgłos dobiegł ich uszu, najpierw go poczuli – nerwowe drżenie ziemi, które wstrząsało wszystkim, co po niej stąpało. Chwilę potem urosło do słyszalnego dudnienia tysięcy rozjuszonych Zergów, pędzących na oślep w stronę garnizonu. Z ogólnego ryku wybijały się od czasu do czasu pojedyncze skrzeczące głosy, mrożące krew w żyłach.

– *Boże, co myśmy narobili?! – wrzasnął Bernelli.*

– *Nie strzelać!* – zatrzeszczał w odpowiedzi głos Breanne. – *Musimy wiedzieć, gdzie uderzą najpierw!*

Nagle bunkrem wstrząsnął głuchy grzmot. Z półek na amunicję posypał się na podłogę kurz. Ardo zobaczył, jak oczy Meredith robią się okrągłe. Zaraz potem doszły ich kolejne, szybko po sobie następujące dudnienia.

– *Tu Bernelli! Kontakt z polem minowym na kursie dwa-dwadzieścia!*



Wybuchy min rozrywały teraz powietrze jeden po drugim, prawie zlewając się ze sobą. Coraz bardziej też zbliżały się do Arda.

– *Skręcają!* – zawołał Bernelli. – *Odbijają w lewo! Melnikov!*

Ardo błyskawicznie podniósł do oczu lornetkę. Odepchnął Merdith i spojrział przez pierwszy otwór po prawej stronie.

Widział je teraz wyraźnie. Nieprzenikniona ściana Zergów kłębiła się i jazgotała niespełna tysiąc metrów przed nim. Były wśród nich chyba wszystkie najobrzydliwsze podgatunki tej koszarnej rasy. Gnały prosto w jego stronę, lecz po chwili, jakby posłuszne jakiejś niesłyszalnej muzyce tanecznej, zaczęły skręcać w prawo.

W ślad za nimi podążyły ogłuszające eksplozje. W powietrze wystrzeliła ściana pyłu, płomieni i porozrywanych ciał niczym nieprzenikniona zasłona śmierci. Zergi zaczęły biec pojedynczo przed siebie, szukając słabego punktu w liniach obronnych – szczeliny, którą ludzie zawsze zostawiali na polu minowym, aby móc się wydostać i ruszyć do ataku.

Ardo uśmiechnął się przebiegle. Zaglądał do umysłów swoich wrogów i wiedział coś, czego oni nie wiedzieli – że nie ma żadnej szczeliny, którą mogliby przejść bez szwanku, ponieważ tym razem ludzie nie mieli zamiaru stąd wychodzić.

– Tu Melnikov! – zawołał do hełmofonu, przekrzykując ogłuszającą kanonadą. – Rzucają pierwszą linię na pole minowe! Kierują się na wschód, okrążają pierwszy pas. Cutter? Masz ich?

– *Widzę! Słodka siostrzyczko! Patrzcie! Otaczają bazę! Wżyciu nie widziałem tylu szkaradnych drani naraz! No, chodź do mnie, moje ty słodkie mięsko! Kopię tu dla ciebie dołek! Upiekę cię na obiad, brzydalę. Uwaga! Wchodzą!*

Ardo widział przed sobą tylko nieprzerwaną zasłonę eksplozji. Gorączkowo wypatrywał przez lornetkę, czy żaden Zerg nie przedarł się przez pole minowe.

– *Uwaga, wieże!*

Najpierw to usłyszał. Z wieżyczek obronnych wystrzeliły rakiety. Wrzask Merdith zagłuszyło wycie wysokoobrotowych silników pędzących w stronę stada mutalisków przelatujących nad polem minowym. Było ich tyle, że prawie całkowicie zasłoniły jasnoblękitne niebo. Rakiety uderzyły w cel ze śmiertelnością precyzją. Skrzydlate stwory zamieniły się w ogniste wykwitki i zaczęły spadać na ziemię jak monstrualny deszcz. Niektóre, uderzywszy w pole minowe, powodowały wybuch, ale – co Ardo zauważył z ponurą satysfakcją – miny szybko się zorientowały, że ten nowy nieprzyjaciel, który opada z nieba, jest już martwy i lepiej poczekać na inny, groźniejszy cel.

Wtem, zupełnie niespodziewanie zapadła ogłuszająca cisza. Pył i dym osiadały bardzo powoli.

Merdith i Ardo popatrzyli po sobie. Po ogłuszającej kanonadzie tak raptowna i kompletna cisza działała deprymująco.

– Udało się. – Merdith uśmiechnęła się oszołomiona. – Ardo, to niewiarygodne!

Powstrzymaliście je!

Ardo znów podniósł do oczu lornetkę. Kiedy wreszcie zdołał przebić wzrokiem kurz i dym, zobaczył, jak Zergi się przegrupowują i krążą niespokojnie.

– O, do diabła! – Głos mu zadrżał. – Zorientowały się.

Merdith wyjrzała przez otwór, próbując dojrzeć to, co widział Ardo.

– Zorientowały się?

Ardo wcisnął mikrofon.

– Tu Melnikov! Uwaga, rozpraszają się! Bądźcie gotowi! – Potem odwrócił się do Merdith. – Załaduj broń! Zergi się rozpraszają, żeby miny zabijały je pojedynczo. Ruszą przez pole minowe ze wszystkich stron.

Merdith szczęka opadła.

– Chcesz powiedzieć... przecież to samobójstwo!

– Nie – powiedział Ardo, błyskawicznie repetując gaussa i wystawiając lufę przez otwór strzelniczy. – Takie są Zergi. Życie jednostki nie ma dla nich wartości. Dlatego nie przejmują się rannymi. Są wyrachowane i przebiegłe i zrobią dosłownie wszystko, żeby dopaść nas i tę skrzynkę. Rzucą na nas tysiące swoich wojowników i zrobią to bez chwili namysłu. Wiedzą, że miny skończą nam się wcześniej niż im wojsko.

– *Wysyłają zerglingi!* – To był głos Cuttera. – *Pewnie dużych chłopców zostawiają na później, jak oczyszczą pole minowe.*

– *Nastawić wybiórczość min. Przepuścimy maluchy przez oba pasy, a miny skierujemy na większe cele.*

– *Rozumiem, pani porucznik. No chodźcie tu, kici, kici, kici...*

Nawet gołym okiem Ardo zauważył zmianę w oddalonych szeregach nieprzyjaciół. Larwalne zerglingi były najmniejszymi znanymi Zergami i najbardziej wśród tych potworów przypominały dzieci. To jeszcze jedna rzecz, która odróżnia je od nas – pomyślał Ardo ponuro. Kiedy jednak zastanowił się nad tym głębiej, zaczął powątpiewać w tę różnicę. W końcu ludzie równie ochoczo posyłają na wojnę swoją młodzież, a on sam jest tego najlepszym przykładem.

– *Uwaga, nadchodzą!* – ogłosił Bernelli podniesionym głosem. – *No to, panowie, porachujmy im kości!*

Wielonożne zerglingi pomknęły po szerniałym, podziurawionym polu, ledwie dotykając ziemi. Ardo zatrzasnął hełm i od razu zobaczył włączający się wyświetlacz celownika. Wymierzył w najbliższego stwora.

Celownik działał z niewiarygodną skutecznością. Laserowy znacznik ustalał precyzyjnie miejsce trafienia obiektu. Karabin podskakiwał przy każdym strzale, podczas gdy Ardo błyskawicznie przesuwiał celownik z jednego zerglinga na drugiego. Nowa amunicja spełniała swoje zadanie nadzwyczajnie. Rozpryskowe kule dosłownie rozpruwały pancerze nadbiegających Zergów, zostawiając w ciałach ofiar przerażające, ziejące dziury.

– *Hej-ho! To dopiero strzelnica, co się zowie!*

– *Panowie, mam zamiar ustanowić dzisiaj nowy rekord!*

Jak się ta gra kończy? – zastanawiał się Ardo. Namierzał jeden cel po drugim, coraz szybciej i szybciej, aby nadążyć za nadbiegającymi wrogami. To było jak powstrzymywanie przyływu – zerglingi napływały kolejnymi falami i coraz bardziej zbliżały się do wewnętrznego pola minowego.

Nagle powietrze rozdarł wysoki, ogłuszający jazgot tysięcy Zergów.

Ardo wstrząśnięty otworzył szeroko oczy.

– *Ruszają!*

Na zewnętrzny pas pola minowego ruszyła druga linia napastników, tym razem hydalisków. W jednej chwili cały teren wybuchł ogłuszającą kakofonią wściekłości i śmierci. Odezwały się również wieżyczki przeciwlotnicze, ponieważ razem z siłami lądowymi do ataku rzuciły się mutaliski. I znów na pole minowe posypał się deszcz rozszarpanych ciał, ale martwe fragmenty zestrzelonych potworów spadały coraz bliżej murów obronnych bazy.

Ardo nie pozwolił sobie nawet na chwilę dekoncentracji. Pełznący dywan zerglingów przesuwiał się właśnie po wewnętrznym polu minowym i był zaledwie pięćset metrów od murów, a dystans ten zmniejszał się z minuty na minutę.

Broń Arda zamilkła. Odpiął pusty magazynek, sięgnął do skrzyni po nowy i załadował. Kiedy ponownie uniósł broń, zerglingi były w odległości czterystu metrów.

– *Pani porucznik! Jeszcze trochę i zerglingi przedrą się przez wewnętrzny pierścień!* – zawołał Ardo, przekrzykując serie własnego gaussa. – *Nie powstrzymamy ich!*

– *Musicie! Potrzebujemy min na większe Zergi!*

Zerglingi były już sto metrów od bunkra. W miarę zbliżania się do bazy musiały się zbić w ciaśniejszy, prawie jednolity dywan, który wyglądał jak skarabeuszokształtna szarańcza, opętana – w wyobrażeniu Arda – tylko jednym celem: pożreć właśnie jego. Przełączył karabin na opcję maszynową i zaczął razić nadchodzącą hordę na oślep.

Tak był pochłonięty masakrowaniem zbitej masy zerglingów, że nie zauważył nawet, kiedy dalekie dudnienie wybuchających min nagłe ucichło. Zorientował się dopiero, kiedy detonacje rozległy się na nowo, lecz tym razem nie dalej niż pięćset metrów od niego. Pośród tumanów dymu, piasku i skalnego pyłu pędzące Zergi eksplodowały na drobniutkie kawałeczki. Ogłuszający ryk rozniósł się dookoła murów bazy. Stwory ruszyły do ataku ze wszystkich stron naraz. Fala wybuchów zaćmiła światło słońca. Nie było już słychać poszczególnych eksplozji, tylko jeden ciągły diabelski ryk.

Na bunkier posypał się grad kamieni i zwęglonego zergańskiego mięsa. Pierwsza linia zerglingów była już teraz kilka metrów od kryjówki Arda. Za nimi maszerował demon śmierci. Jego dudnienie wstrząsało ścianami bunkra, o mało nie zwalając z nóg ukrytych w środku ludzi. Ściana eksplozji była już tylko sto metrów od nich, ale Ardo wiedział, że pole minowe kończy się osiemdziesiąt metrów przed murem.

– *Pani porucznik! Przedzierają się!*

– *Wycofać się! Wycofać się natychmiast!*

Ardowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Złapał Merdith za ramię i odciągnął od strzelnicy.

– Musimy uciekać! Już! – krzyknął.

W tej samej chwili, kiedy Merdith odsunęła się od otworu, metalowe brzegi strzelnicy zaczęły się wyginać na zewnątrz i kilka sekund później do środka wpadł zergling. Zdawało się, że jeszcze nie dotknął łapami ziemi, a już leciał w stronę zaskoczonych kobiety. Ardo wypalił z gaussa. Stwór, trafiony w locie, rozprysł się na kawałki na przeciwległej ścianie.

– Uciekaj! – wrzasnął Ardo. – Biegiem!

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zamykając za sobą właz bunkra, była zbita masa brzuchów napierających szaleńczo na rozdarty otwór strzelnicy.

## Rozdział 22

# Pozegnanie

Odgłosy były ogłuszające. Wieżyczki przeciwlotnicze strzelały bez przerwy, wypluwając w niebo szaleństwo płomieni i zniszczenia. Rakiety uzbrajały się natychmiast po opuszczeniu pokryw ochronnych, bo ich cele były blisko i napierały coraz bardziej.

Merdith biegła przed Ardem. Piaszczysty teren między murem a wewnętrznymi bunkrami zniknął za zasłoną popiołu, dymu i płonących Zergów, opadających z nieba jak czarny śnieg. Na ziemi tu i ówdzie dymiły rozprysnięte kałuże kwasu. Ardo biegł pędem w ślad za kobietą. Nigdy przedtem żadna konfederacyjna baza wojskowa nie wydawała mu się tak niemilosierdzie wielka.

Wypadł na ulicę i nie zatrzymując się, spojrzał w górę. Wieżyczki przeciwlotnicze były już mocno pokiereszowane od strumieni kwasu, a dwie z nich skręcały się nawet pod własnym ciężarem na przeżartej metalowej podstawie. Niebo nad nimi zamieniło się w rozszalałą ścianę płomieni i dymu, przez którą od czasu do czasu, jakimś kapryśnym zrządzeniem chaosu, przebłyskiwał skrawek błękitu.

Bunkier był tuż-tuż. Główny wjazd stał otworem. W środku Ardo zobaczył jakąś postać machającą do nich ręką.

Wtedy to usłyszał. Słyszał już przedtem ten dźwięk – grzmiący ryk, który zagłuszył nawet odgłosy ich rozpaczliwej walki.

Spojrzał w górę. Statki ratunkowe! Nadlatywały rozpalone do czerwoności, krwawiące od zbyt szybkiego przejścia przez atmosferę planety. Flota Synów Korhala zataczała na zachodnim niebie łuk, ciągnąc za sobą smugi kondensacyjne i zniżając się ku lądowisku Mar Sary. Niebawem usiądzie na ziemi. To będzie najniebezpieczniejszy moment – w czasie załadunku uchodźców statki będą praktycznie bezbronne.

Czas. Potrzebują więcej czasu...

Nagle ze strzelnic bunkra, po obu stronach wjazdu zaterkotały gaussy. Ardo oprzytomniał. Skoczył w stronę klapy i w tym samym momencie jakieś ręce złapały go i wciągnęły do

środku. Ułamek sekundy potem właz zamknął się z hukiem.

Ardo stanął na nogi i rozejrzał się. To Bernelli wciągnął go do środka. Krzyknął jeszcze coś niezrozumiałego, po czym wystawił przez otwór lufę karabinu. Meredith również nie traciła czasu i strzelała już przy jednej ze strzelnic.

Ardo szybko zajął miejsce obok Bernellego, ustawił karabin i... spojrzał w piekło.

Na teren bazy wlewały się zastępy hydrylisków. Zergi tak długo rzucały na pole minowe kolejne fale potworów, aż wreszcie nie została tam ani jedna mina. Teren za murami garnizonu zaścieniały tysiące martwych ciał, lecz wciąż nadchodzili następni napastnicy. Właśnie prześlizgiwali się nad murem i całą ławą maszerowali w stronę bunkra.

Kanał taktyczny nie cichł.

– *Xiang, zgłoś się!*

– Xiang nie żyje, pani porucznik! Musimy się stąd wydostać! Nie dam rady ich powstrzymać!

Bernelli strzelając, wrzeszczał na całe gardło. Ardo poszedł za jego przykładem. Odprężający krzyk nappełnił go rozpierającą energią.

Tymczasem fale czarnej grozy próbowały przelewać się nawet po ciałach swych poległych pobratymców, lecz mniejszy teren, a tym samym mniejsze pole rażenia karabinów marines, działały przeciwko Zergom. Stos martwych ciał piętrzył się coraz wyżej, ale napastnicy nie posuwali się ani trochę bliżej do bunkra.

– *Melnikov! Słyszysz mnie?*

Ardo wyrzucił pusty magazynek i nie spuszczać palca ze spustu, podpiął nowy.

– Jesteśmy tu trochę zajęci, pani porucznik!

– *Wchodzimy do środka!*

– Słucham?

– *Wycofujemy się na waszą pozycję!*

– Rozumiem – odpowiedział Ardo. – Bernelli, trzymaj ich na dystans. Otwieram tylne drzwi.

To powiedziawszy, ruszył do służby awaryjnej. Przez strzelnicę po lewej stronie widział fragment parkingu. Za nim, po obu stronach centrum dowodzenia leżały dwa inne bunkry – jeden był przedtem obsadzony przez Xianga, teraz zaś roił się od hydrylisków. Ardo widział, jak Zergi rozrywają poszycie i rozdrapują spoiny płonącej konstrukcji.

Żegnaj, Xiang, powiedział w myśli.

Kilka hydrylisków atakowało również drugi bunkier, po prawej stronie, lecz tam właśnie zajaśniało czerwone światło. Cutter, pomyślał Ardo. Płomienie tryskające z plazmowego miotacza firebata były coraz bliżej. Ardo wystawił karabin przez otwór i odstrzelił kilka hydrylisków, które w poszukiwaniu łatwiejszego łupu próbowały oskrzydlić jego bunkier. W ostatniej chwili odblokował zamek i otworzył tylną służę.

Do środka wpadła Breanne, ciągnąc ze sobą przekłętą skrzynkę i Tinkera Jansa. Oboje

potoczyli się na ziemię bez tchu. Cutter stał w otwartych drzwiach i miotaczem piekł kilka rozwścieczonych hydrylisków. Wreszcie po raz ostatni plunął w nieprzyjaciół ogniem i cofnął się do środka. Ardo natychmiast zatrzasnął za nim właz.

Strzelali teraz na wszystkie strony z każdego otworu bunkra. Ciała zabitych potworów piętrzyły się wokół nich w błyszczących stosach.

Nagle Zergi przestały atakować. Hydryliski wycofały się w cień, gdzieś pomiędzy zabudowania bazy. W ciągu kilku chwil wszystkie cele znikły żołnierzom z oczu. Nie mieli nawet do kogo strzelać.

– Hej, co się dzieje? – zapytał Cutter. – Poddają się czy co?

Breanne dyszała ciężko, może z wysiłku, a może z nadmiaru adrenaliny.

– O, nie. One się nigdy nie poddają. Czekają na posiłki... zbierają siły. Jak tylko będą gotowe, przyjdą po nas.

Bernelli zaśmiał się nerwowo.

– Och, dopóki nie przegrywamy...

– My już przegraliśmy, Bernelli – powiedziała Breanne, uchylając hełm i przeczesując palcami krótkie włosy. – Kiedy zdecydują się zrobić następny ruch, nie wytrzymamy nawet dziesięciu minut. Widziałeś te statki? Właśnie wylądowały. Zgarniają cywilów... tłusciutkie, pełne transporty. Są jak kaczki wystawione na odstrzał. Najlepsze z nich będą gotowe do odlotu nie wcześniej niż za czterdzieści minut, a niektóre jeszcze później.

– No to co? – Bernelli wzruszył ramionami. – Te zergańskie łamagi nie doszłyby tam nawet w pół dnia, a co tu mówić o godzinie.

– To nie piechurzy stanowią problem, tylko te skrzydlate paskudztwa. Mutaliski. Jedyne, co je tutaj trzyma, to ta skrzynka. Kiedy zostanie zniszczona, mutaliski pomkną do kosmodromu w mgnieniu oka. A wtedy cała nasza akcja pójdzie na marne.

– W takim razie jedyne, co musimy zrobić, to wytrzymać pół godziny – powiedział Ardo. – Nędzne trzydzieści minut.

– Jasne – prychnęła szyderczo Breanne. – Ciekawe, kto ci skołuje te trzydzieści minut.

– Ja.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę.

To był Tinker Jans.

– Ja to zrobię. Skołuję wam trzydzieści minut – powiedział spokojnie technik. – Ale ktoś mi musi pomóc.

Bernelli wyjrzał przez strzelnicę.

– Hej, chyba wracają!

– Muszę się dostać do SCV-a – powiedział Jans. – I to zaraz!

Breanne myślała chwilę, po czym podjęła decyzję.

– Cutter! Melnikov! Słyszeliście. Zaprowadźcie go do SCV-a.

– Wyrażnie coś się tam kotłuje – krzyknął Bernelli.

Ardo otworzył tylną śluzę. Z zaciętym wyrazem twarzy Cutter wyskoczył na zewnątrz, a za nim Jans. W swoim wyświechtanym mundurze polowym technik robił wrażenie bezradnego i przerażonego. Ardo schylił głowę i ruszył za nimi, w biegu zatrzaskując hełm, chociaż wątpił, żeby mu to dużo pomogło.

Cały teren zaścielały porozrywane ciała zergańskich napastników. Nie mieli jednak czasu się rozglądać. Pomknęli w stronę parkingu, ślizgając się po drodze na mazistych, lepkich kałużach krwi i kwasu.

Najbliższy SCV stał przed płonąca fabryką. Jans otworzył właz, który odskoczył i otworzył się z cichym szmerem hydraulicznych siłowników.

– Szybciej! Szybciej! – nerwowo poganiał technika Cutter.

Jans wdrapał się po stopniu i usadowił w kabinie operatora.

– *Uwaga, nadchodzą!* – zawołała Breanne.

Ardo też je zobaczył. Krążyły wokół fabryki, wokół centrum dowodzenia, przechodziły nad murem obronnym... Były wszędzie.

– Co teraz? – zapytał Cutter technika.

– Wracajcie do bunkra! Szybko! – odparł Jans.

– Mamy cię tu zostawić? – Ardo był wstrząśnięty.

– Róbcie, co mówię! Po prostu próbujcie je trzymać z dala ode mnie, najdłużej jak się da!

Nie było czasu na dyskusje. Ardo i Cutter popędzili z powrotem do bunkra. Z otworów strzelniczych sypał się już we wszystkich kierunkach grad pocisków smugowych. Zza budynków wylewały się strumienie kolejnych hydralisków i wszystkie pędziły w stronę bunkra z nastroszonymi pancierzami, postawionymi kołnierzami, gotowe do wystrzelenia zatrutych kolców.

Ardo wpadł do środka dokładnie w momencie, kiedy zaatakowały. Za nim przez otwartą śluzę wleciało kilka ostrzy i przebiło zewnętrzne powłoki kombinezonu, jakby ciężka zbroja zrobiona była z bawełnianej tkaniny. Upadł na podłogę. W nodze poczuł przeszywający ból. Jeden z kolców przeszedł przez skafander na wylot i utkwiał w neostalowym wzmocnieniu.

Cutter pomógł Ardowi wstać.

– Jużś trup?

Ardo skrzywił się z bólu. Nie miał ochoty patrzeć na nogę.

– Jeszcze nie.

Obaj wrócili na swoje pozycje przy strzelnicach, z dreszczem grozy myśląc o tym, co będzie dalej.

Nagle kadłub bunkra zadzwonił od tysiąca strzał, z których każda mogła przebić najtwardsze pancierze. Śmiercionośny grad nie ustawał, a każdy kwasowy kolec przeżerał metalową powłokę kawałek po kawałku.

– Wybić je! Pozabijać je wszystkie, zanim nas dopadną! – wrzasnęła wściekle Breanne.

Strop bunkra zaczął się uginać nad głowami żołnierzy.



Nie przerywając ognia, Ardo zobaczył, że SCV ruszył z miejsca. Na szczęście nie zwróciło to uwagi rozjuszonych Zergów, które zbyt były zaślepione żądzą zdobycia bunkra i skrzynki, żeby zauważyć pojedynczy pojazd.

Gdyby udało mi się dobiec do któregoś z tych vulturów, myślał gorączkowo Ardo. Mógłbym się wymknąć, mógłbym...

Potrząsnął głową. Ilu ludzi przypłaciłoby życiem to, że on przeżył? Ilu by zginęło dlatego, że on uciekł, kiedy mógł ocalić tak wielu innych? Nikt by się nie dowiedział, kim był ani co tu robił. Nikogo by nie obchodził jego los. Może tylko Boga. Nieważne, co mu wmówiła Konfederacja. On sam nareszcie wiedział, kim jest i że może coś ofiarować innym.

SCV toczył się niezdarnie w stronę bunkra. Nieopodal głównego wjazdu leżała sterta pancernych płyt, które Tinker zostawił tu przed walką. Czyżby zaplanował to wcześniej? Potężnym ramieniem SCV-a technik podniósł arkusz blachy, przyjrzał się bunkrowi i wyszukawszy najsłabsze miejsce, rzucił na nie płytę. Następnie w drugim ramieniu pojazdu uruchomił plazmową spawarkę i zaczął przytwierdzać wzmocnienie.

Zergi musiały zrozumieć, co się święci, bo nagle kilka hydrylisków rzuciło się na SCV-a.

Cutter i Ardo zobaczyli to równocześnie i natychmiast skierowali ogień w tamtą stronę.

– Trzymać je z dala! – prychnął z kwaśną miną Cutter, rozpryskując strugi potu z twarzy.

– A niby jak mamy to zrobić?

Jans uwijał się jak w ukropie. Spawał, wzmacniał, wymieniał płyty w gorączkowym tempie, podczas gdy żołnierze kładli pokotem kolejne fale hydrylisków, które zjawiały się na miejsce zabitych.

Bitwa utknęła w czymś w rodzaju krwawego pata. Karabin parzył Arda nawet przez rękawice kombinezonu. Jakimś cudem Jansowi udawało się naprawiać bunkier równie szybko, jak szybko hydryliski go niszczyły.

– Hej, zdaje się, że to działa! – roześmiał się Bernelli. – Myślę...

W tym momencie Zergi przypuściły wściekły szturm.

– Nie! – wrzasnął Ardo.

Jans w SCV-ale nie mógł ich zauważyć. Już wcześniej kilka kwasowych kolców trafiło w pojazd konstruktorski i porządnie go podziurawiło, ale nie zniszczyło całkowicie. Teraz jednak niepowstrzymana piekielna ława dopadła go i zaczęła roznosić na strzępy. Jans próbował zrzucić napastników z pancerza, lecz w ciągu kilku sekund hydryliski porwały go i powlokły gdzieś razem z SCV-em. I jeden i drugi zniknął towarzyszą z oczu.

– Mają Jansa! – wrzasnął Cutter.

– Tracimy go. Teraz już po nas! – odkrzyknęła Breanne.

Z piekielnym okrzykiem Cutter rzucił się do wjazdu i wyskoczył na zewnątrz.

Po chwili za otworami strzelnic wybuchły strumienie plazmowych płomieni, ale Ardo nie mógł dojrzeć, co się tam dzieje. Dopiero po chwili mignęła mu ogromna sylwetka Cuttera. Firebat stał przed służą, a jego miotacz siał dookoła ognistą jatkę.

Ardowi skończyły się naboje. Błyskawicznym ruchem sięgnął po nowy zasobnik, ale skrzynia była pusta.

– Skończyły mi się! – zawołał.

Breanne rzuciła mu świeży magazynek.

– Zaczynij je szanować, mały! Wszystkim się kończą.

Załadował broń i odwrócił się z powrotem do strzelnicy.

Cutter tymczasem zniknął. Ardo rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie mógł dojrzeć znajomej zwałistej sylwetki firebata.

– Tinker! – zawołał w hełmofon. – Gdzie Cutter?

– *One... już po nim. Nie dam rady... one są wszędzie!*

Wtem gwałtowny impet odrzucił Breanne w tył. Zabłąkany kolec hydryaliska trafił przez otwór prosto w jej hełm, przeszedł przez głowę i przyszpilił kobietę do neostalowej ściany po drugiej stronie bunkra. Porucznik L.Z. Breanne zwisała bezwładnie w pozycji pionowej.

Ardo zerknął na Bernellego, a potem na Merdith.

– Wychodzę. Idę uratować Jansa. On wam zyska trochę czasu. Bernelli, został ci jakiś magazynek?

– Tak – westchnął marine.

Ardo zwrócił się do Merdith.

– On się tobą zajmie.

Merdith skinęła głową i odwróciła wzrok.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – powiedział do nich obojga Ardo i ruszył w stronę drzwi.

– Hej, żołnierzyku.

Odwrócił się.

– *Ardo, błagam! – Ikała. – Nie zostawiaj mnie samej!*

– Dzięki, żołnierzyku.

Ardo skinął głową i otworzył właz.

Broń odezwała się natychmiast w jego wyćwiczonej ręce. Konfederacja dobrze go wyszkoliła. Celne, błyskawiczne serie szybko strąciły hydryaliski z SCV-a i trzymały je na dystans.

Stał w samym środku warowni, której los został już przypieczętowany. Wszystkie jego zmysły nagle się wyostrzyły. Po raz pierwszy od długiego, długiego czasu świat wokół Arda wypełnił się niezliczonymi wrażeniami, a on chłonił je wszystkie naraz: grozę, którą starał się trzymać z dala od siebie i swych towarzyszy; dym nad garnizonem, unoszący się pasemkami w bladym świetle zachodu. Dźwięki. Zapachy. Wszystko ożyło.

Nareszcie był sobą. Wiedział, że jest coś, czego nikt mu nigdy nie odbierze – zwycięstwo wspanialsze i radośniejsze niż wszystkie najprawdziwsza zwycięstwa ludzkości.

Kiedy wystrzelał wszystkie naboje, spojrział w górę. W niebo wznosiły się statki i uwożąc

na pokładach swój drogocenny ładunek, oddalały się ku zachodowi tego najchwalebniejszego dnia w życiu Arda. Kaskada setek, a może tysiąca huczących zapłonów startowych popłynęła w górę. Ci ludzie nigdy się nie dowiedzą, kto tak zaciekle walczył o ich życie. Nigdy nie poznają jego imienia, nie zaśpiewają pieśni ku jego chwale. Tylko on jeden będzie wiedział o swoim zwycięstwie.

Kiedy zapadała nad nim ciemność, uśmiechnął się do swej ostatniej myśli: smugi za odlatującymi statkami... wszystkie były złociste.